



AMANA FONTANELLA - KHAN

GANG

RÓŻOWEGO

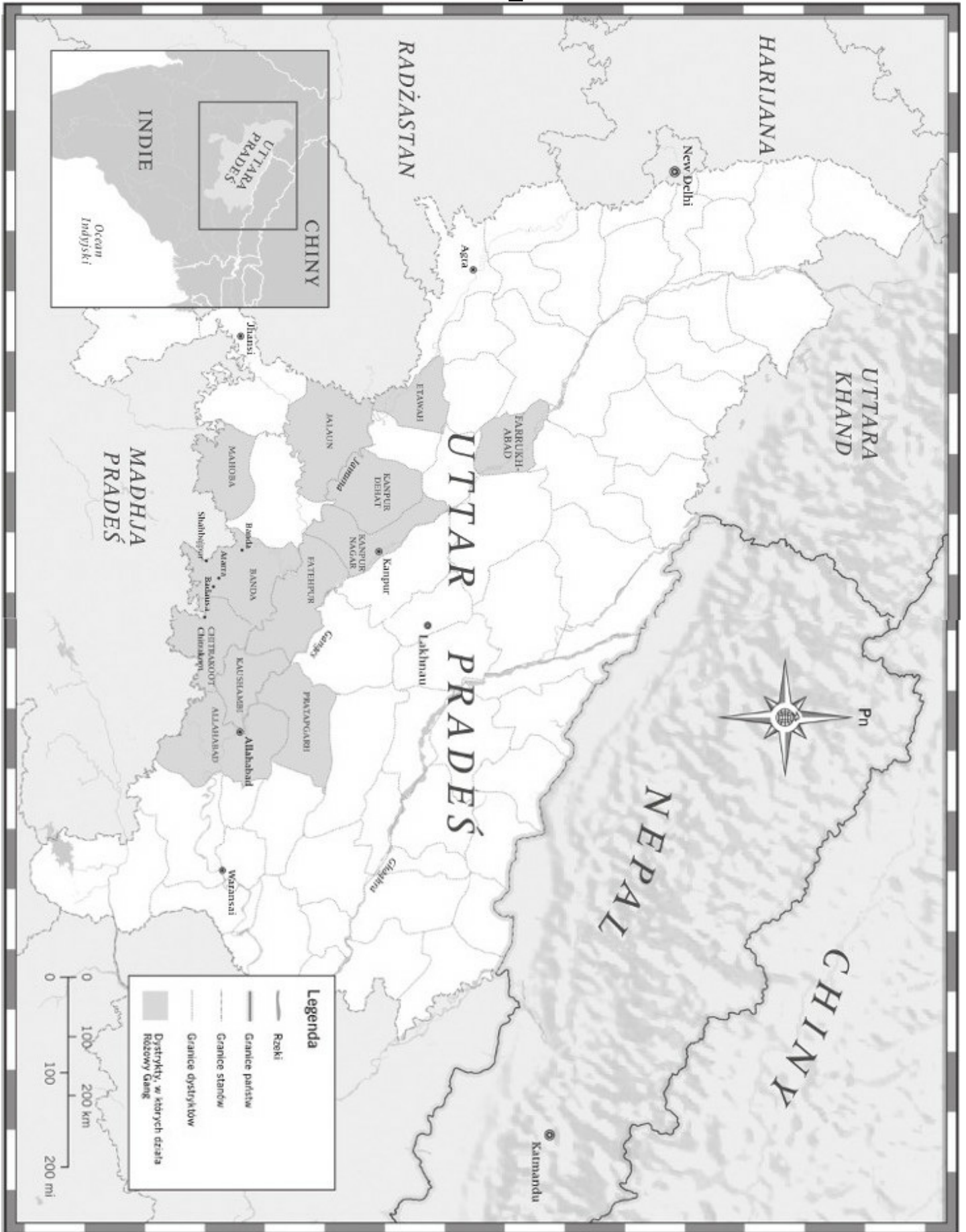
SARI

**Amana Fontanella-Khann**  
**Gang różowego sari**



*Moim rodzicom i, oczywiście, Jamesowi*

# Mapa



# *Prolog*

## **JAK PO MAŚLE**

UCIEKŁA, BY RATOWAĆ ŻYCIE.

– *Achchhe Lal Nishad*

Świtało. W miasteczku Atarra panował całkowity spokój. W ogrodzie Purushottama Naresha Dwivediego, budzącego powszechną grozę potentata alkoholowego i jednocześnie posła zasiadającego w parlamencie stanowym, niepiśmienny rolnik Achchhe Lal Nishad wił się ponad liżącymi go językami ognia. Jego silne, lecz szczupłe ciało podtrzymywało nad płomieniem dwóch osiłków – jeden chwycił mężczyznę za ramiona, a drugi za nogi. Trzeci zaś okładał go po głowie i zadawał ciosy w żebra.

Achchhe nie przebywał tu długo. Najwyżej pół godziny, choć czas płynie znacznie wolniej, kiedy człowiek panicznie boi się spalenia żywcem. Trzynastego grudnia 2010 roku około czwartej nad ranem telefon wyrwał go z niespokojnego, ciężkiego snu. Achchhe zerwał się i usiadł na baczność na swym plecionym łóżku *charpoy*. Spodziewał się, że to będą złe wieści.

– Wstawaj, draniu! Twoja córka wymknęła się z domu posła i uciekła! Albo natychmiast tu się pojawisz, albo sami przyjdziemy i wywlecziemy cię z łóżka! – warknął po drugiej stronie linii głos jednego z ludzi polityka.

Następnie w słuchawce zapadła głucha cisza.

Achchhe, owdowiały ojciec czworga dzieci, w pośpiechu pożyczył od sąsiada motorower i w towarzystwie najstarszego syna, Santoo, wyruszył ze swej glinianej chaty w wiosce Shahbajpur do miasteczka Atarra. Podróż wyboistymi, krętymi drogami z największą prędkością, jaką zdołał osiągnąć motorower, zajęła im dwie godziny. Kiedy dotarli na miejsce, świtało.

Achchhe zaparkował motorower przy drodze, nieopodal głównego wejścia do domu posła. Ponieważ był z natury dość bojaźliwy, nakazał Santoo, by czekał na niego przy pojeździe, podczas gdy sam mroczną alejką udał się na podwórze polityka. Po upływie dłuższego czasu Santoo postanowił od drugiej strony zakraść się na tyły domu i zobaczyć, co się dzieje.

Kiedy doszedł na koniec dróżki, wzdłuż której płynął strumyk ścieków, dostrzegł ojca. Torturowano go pośrodku podwórza, w miejscu doskonale osłoniętym od wścibskich oczu.

– Twoja córka to złodziejka. Dlatego zostawiłeś ją w domu posła? – ryczał jeden z osiłków, podczas gdy Achchhe zwijał się nad płomieniem.

Santoo w milczeniu przyglądał się, jak błagalnym głosem ojciec tłumaczy się i kaja przed napastnikami.

– To nie był mój pomysł, to *vidhayak* powiedział, że ma zostać – skomlał, mając na myśli poślą.

– I co, może też zaproponował, żeby go okradła? – wrzasnął jeden z ludzi Dwivediego.

– Musiałeś maczać w tym palce. To ty jej kazałeś kraść! – szczeknął drugi i wymierzył Achchhemu cios w głowę.

– Nie zrobiłem tego! Możecie przeszukać mój dom! – krzyknął zdesperowany Achchhe.

Na to oprawcy z łomotem upuścili go na ziemię. Wymierzając mu kolejne kopniaki, zawołali:

– Wstawaj! Do samochodu! Zaraz się przekonamy, co tam chowasz w domu. Nie będziesz nam kłamał!

Zaciągnęli Achchhego i Santoo, którego również zauważyli, do czarnego dżipa scorpio i ruszyli tą samą drogą, którą ojciec i syn pokonali w ciemnościach przedświt.

Przybywszy do domu Achchhego, ludzie polityka rozbijali garnki, trzaskali drzwiami, niczego jednak nie znaleźli. Głośno klnąc, wywrócili dom do góry nogami. Mieszkańcy wioski kryli się po kątach, a ci, którzy byli w tym czasie na dworze, robili wszystko, by nie rzucać się w oczy.

– Ten drań myśli, że uda mu się ukryć przed nami łup, ale my już mu pokażemy! – wrzasnął jeden z napastników. Achchhe i Santoo zostali związani, z powrotem wrzuceni do dżipa i odwiezieni na posterunek policji w Atarze.

– Sprawdźcie te psy – nakazali policjantom oprawcy. – Mieli czelność nas okraść.

Santoo i Achchhe, choć nie padło przeciw nim oskarżenie, zostali zamknięci w celi przez usłużnych policjantów.

– Tyłki wam poodcinamy – miał syknąć przez kraty jeden ze stróżów prawa.

Ojciec i syn spędzili w areszcie wiele męczących godzin, zanim znowu pojawili się ludzie polityka.

– Dobra, już można ich wypuścić – nakazali policjantom, którzy posłusznie otworzyli celę.

W rejestrach policyjnych nie istnieją żadne dokumenty potwierdzające uwięzienie Achchhego i Santoo.

Sługusi posła zawieźli ojca i syna z powrotem do domu swego zwierzchnika. Tam Dwivedi poinformował ich, że jego ludzie odnaleźli Sheelu i mają zamiar odstawić ją na policję. Kiedy zaś Achchhe i Santoo zapytali, czy mogą się z nią zobaczyć, zagroził im kolejnym biciem i rozkazał wracać do domu.

Achchhe zignorował groźby i mimo wszystko poszedł na policję. Tak jak się obawiał, został odprawiony z kwitkiem.

– Nie pozwolono mi z nią rozmawiać. Nie mogłem jej nawet zobaczyć... Powiedzieli, że ma się równie dobrze, jakby już nie żyła, i że mam natychmiast wyjść. Inspektor powiedział: „Jeśli natychmiast nie wyjdiesz, połamię ci nogi” – opowiadał później Achchhe.

Achchhe i Santoo, chorzy ze strachu i bezradności, po raz drugi tego dnia udali się do domu. Nie wiedzieli, do kogo zwrócić się o pomoc. Choć sąsiedzi z wioski nie stanęli w ich obronie, kiedy ludzie polityka plądrowali ich dom, Santoo nie winił ich za to.

– Wszyscy w Shahbajpurze są biedni, kto więc mógłby nam pomóc? To rolnicy, którzy jedzą tylko to, co uda im się wyhodować – dodał później.

Widząc, że kruche struktury sprawiedliwości i praworządności, na których polegał, zawodzą jedna po drugiej, Achchhe zaczął rozważać przyłączenie się do rozbójników. Jak głosiły legendy, w jarach i lasach wokół jego wioski z dawien dawna kryli się banici, którzy, nie zaznawszy sprawiedliwości od państwa, postanowili wziąć prawo we własne ręce.

Już miał zdecydować się na ten krok, kiedy zupełnie nieoczekiwanie pojawiło się inne rozwiązanie.

# *Rozdział pierwszy*

## **RÓŻA NA PUSTYNI**

SAM BÓG NIE BYŁBY W STANIE OGRANICZYĆ PRZESTĘPCZOŚCI  
W UTTAR PRADEŚ

– nagłówek w „*Times of India*”

Zimowy poranek w Bundelkhandzie. Mimowolnie szcękają zęby, a ciało jest zupełnie zeszywniałe. Z domów, które w czasie nieznośnych upałów mają dawać jak najwięcej chłodu, w mgnieniu oka ucieka wszelkie, nawet najmniejsze ciepło – takie jak to spod rozgrzanego nocą koca. Najtrudniej jest wstać. W nieizolowanym budynku z cegły wilgotny, podstępny ziąb czai się na betonowej podłodze i przywiera do gołych stóp.

Sampat Pal była nieugięta nawet w takich warunkach. Czternastego grudnia 2010, jak co rano, szefowa Gangu Różowego Sari wstała o świcie i wyszła z dwupokojowego biura, by umyć się pod pompą na podwórku domu swego gospodarza.

Chwycała zimną, stalową dźwignię ręcznej pompy i poruszyła nią kilkakrotnie w dół i do góry. Przenikliwy, metaliczny dźwięk odbił się echem od lodowatych ścian. Parę sekund później do starego wiadra po farbie chlusnęła woda. Kiedy wiadro napełniło się, kobieta zanurzyła w nim plastikowy dzbanek, po czym wylała jego zawartość na swe brązowe, pokryte gęsią skórką ciało.

Sampat Pal prawie nie zwracała uwagi na dotkliwe zimno. Jej myśli, niczym nieustępliwy pies gończy, śledziły szczegóły pewnej podejrzaney historii, którą przedstawiono jej poprzedniego dnia. Jedną z jej podwładnych, Geeta Singh, szefowa dystryktu, zwierzyła się Sampat, że jej szwagier, Suraj Singh, poprosił ją o pomoc.

Pracował w małym sklepiku z butami, mieszczącym się nieopodal domu Purushottama Naresha Dwivediego – członka zgromadzenia ustawodawczego stanu Uttar Pradeś. W związku z tym znał syna polityka – Mayanka – który zapraszał go czasem do siebie. Suraj dowiedział się ostatnio, że mieszka tam tajemnicza nieznajoma dziewczyna. Wkrótce potem był świadkiem, jak zabiera ją z domu Dwivediego policja. Ludzie mówili, że ukradła coś z domu vidhayaka, ale Surajowi wydało się to podejrzanym. Zaalarmował więc Geetę, która z kolei poinformowała Sampat.

Zielone, nakrapiane złotobursztynowymi plamkami oczy Sampat zwężają



się, kiedy kobieta się zamyśla. Jej puszyste brwi, normalnie łagodnym łukiem wygięte do góry, opadają w dół. Goniąc jakąś myśl, nieświadomie wysuwa koniuszek języka. Wszystko to sprawia, że w chwilach głębokiego skupienia jej twarz przypomina buzię dziecka, pochłoniętego jakimś trudnym obliczeniem.

– To wszystko nieprawda! – powiedziała Sampat sama do siebie, kolejną porcją zimnej wody spłukując ze skóry mydlaną pianę. – Jak to możliwe, by dziewczyna ukradła coś politykowi? Kim mogłaby być? Jego służącą? Kochanką?

Sampat miała powody do podejrzliwości. W Uttar Pradeś – na indyjskim Dzikim Zachodzie – ponad jedna czwarta posłów zasiadających w zgromadzeniu ustawodawczym była oskarżona o przestępstwa. Przeciwno dziewiętnastu procentom z nich toczyły się w sądach niebłahe sprawy karne – o morderstwo, gwałt, szantaż czy porwanie. Sampat, teraz już rozgrzana emocjami, zaczęła niezwłocznie szykować się do wyjścia. W pośpiechu zawsze narzuca na siebie sari, a zimą wkłada na nie rozpinany sweter, który ma chronić ją przed zimnem. Chwyta grzebień i zapalczywie rozczesuje na gładko ociekające wodą czarne włosy do ramion. Przeważnie zbiera je w wilgotny kucyk, który następnie skręca jednym szybkim ruchem i spina metalową klamrą. Na tym kończy się krótki czas, który Sampat co dzień poświęca tylko sobie. Po raz ostatni ścierając spod powiek resztki snu, kobieta wyrusza z domu w pięciopalczastych skarpetkach i klapkach na gumowej podeszwie – czyli w swym zwyczajnym zimowym obuwiu – by stawić czoło kolejnemu dniowi.

Patio biura Sampat wychodzi na Bisanda Road – ulicę, która nazywa się tak, bo prowadzi do pobliskiego miasteczka Bisanda, a jest jedną z głównych arterii komunikacyjnych w Atarze. Miasto, w którym żyje 10 700 mieszkańców, wciąż w znacznym stopniu zacofane, zostało zbudowane dość przypadkowo i chaotycznie. Jego sporą część stanowi rolnicza wioska, złożona z prostych glinianych chat. Na ruch uliczny na Bisanda Road składają się ręcznie pchane wózki, jaskrawo pomalowane samochody dostawcze, trójkołowe riksze, dzwoniące blaszanymi dzwoneczkami, szwendające się bez celu krowy i ludzie, którzy w plecionych z palmowych liści koszach, pieczołowicie ustawionych na głowach, dźwigają plony swych pól i ogródków. Nad ziemią unosi się stale niska chmura kurzu, wzbudzanego nieustannym ruchem.

W zimowe poranki po przeciwległej w stosunku do biura Sampat stronie ulicy często utrzymuje się mgielka, a powietrze wypełnia ostry smród palonego plastiku. Podczas srogich zimowych miesięcy ogniska, w których pali się śmieci, stanowią cenne źródło ciepła, a przy tym pozwalają pozbyć się nieczystości. Widok z biura Sampat jest równie przygnębiający jak spowijający całą okolicę zapach. Stożące wzdłuż Bisanda Road ceglane domy i rodzinne sklepiki kształtem przypominają pudełka. Gdyby nie wesołe, żywe kolory: miętowy, kobaltowy, jaskraworóżowy, można by je wziąć za warsztaty samochodowe. Żadna z tych prymitywnych budowli nie posiada okien, natomiast ściany frontowe w całości zasłonięte są metalowymi żaluzjami, ozdobionymi ręcznie wymalowanymi reklamami mało ekskluzywnych marek, na przykład największego indyjskiego producenta taśm klejących – Fevicol. Co rano żaluzje suną w górę, odsłaniając wnętrza małych sklepików, sprzedających plastikowe rury melioracyjne, opony do traktorów i sklejkę.

Atarę ze wszystkich stron otaczają nieprzewidywalne, podatne na suszę pola. Ostre słońce oświetla sylwetki wychudzonych wieśniaków, ubranych w *dhoti* – przepaski biodrowe i podkoszulki. Schyleni, w pocie i znoju plewią zagony lub orzą zaprzężonymi wołami. Rolnicy rok w rok modlą się o zbawienne monsunowe deszcze, po których dobrze rosłyby młode sadzonki ryżu, ciecierzycy, nikli indyjskiej, pszenicy i żółto kwitnącej gorczycy. Sezony, w których pada wyjątkowo mało, kończy zazwyczaj fala samobójstw zadłużonych rolników. Nie mając z czego spłacić długów, zaciągniętych na zakup drogich środków owadobójczych, wielu z nich postanawia zakończyć życie. Najpowszechniejszym sposobem jest wypicie tej samej substancji chemicznej, której zakup doprowadził nieszczęśnika do ruiny. W niektórych częściach Bundelkhand – rejonu, gdzie leży Atarra, w wyniku suszy całe wioski zadłużają się u lichwiarzy.

Mimo okropnego wrażenia, jakie robiła tego ranka Bisanda Road, Sampat, spoglądając na nią, czuła rozpierającą ją dumę. Asfaltowa nawierzchnia nie istniała bowiem przed jej przybyciem do miasta w 2005 roku. Ulica była wówczas kamienistą drogą z koleinami. Jadącym po niej wozom koła spadały z osi, a podróż trwała dwa razy dłużej niż obecnie.

– Widzisz tę drogę? – mawiają ludzie w Atarze. – To dzięki Sampat Pal położyli na niej asfalt.

Pewnego dnia w 2006 roku Sampat wraz z grupą niezadowolonych kobiet wyszła na drogę z drewnianymi motykami w rękach, skandując głośno:

– To ma być droga? Wygląda jak pole! Chodźcie, zasadzimy tu warzywa, przynajmniej będzie co jeść!

Zaczęły siać, sadzić, spulchniać kamienisto-piaszczyste podłoże i wstrzymywać ruch. Przechodnie przystawali i patrzyli. Aby lepiej widzieć, schodzili z wozów, wózków i rowerów. Sampat zadzwoniła do urzędnika lokalnej administracji, pokazała mu stan, w jakim znajduje się droga i zmusiła, by w obecności tłumu zobowiązał się ją naprawić.

– Tak, Sampat-ji. Naprawimy tę drogę. Z całą pewnością.

Tego dnia jej kobiecey gang, którego członkinie nosiły jaskraworóżowe sari, a w rękach trzymały pomalowane na różowo kije, po raz pierwszy pokazał się publicznie. Miejscowi dziennikarze, opisujący to wydarzenie, ochrzcili grupę Gangiem Gulabi, co w języku hindi oznacza „Różowy Gang”. Organizacja liczyła wówczas tylko kilkadziesiąt członkiń. Do 2008 roku ich liczba wzrosła jednak do około dwudziestu tysięcy. Gang był więc dwukrotnie liczniejszy niż armia irlandzka, a ośmiokrotnie – niż afgańska al Kaida.

– Jestem teraz taka *feh-mas* – lubiła mawiać Sampat, twardo wymawiając zapożyczone z angielskiego słówko (*famous*, czyt: fejmes, sławna), i szeroko rozkładając ramiona, by oddać skalę swej złej sławy. Jeden z jej przyjaciół twierdzi, że w ciągu paru lat awansowała „z zera na bohatera”.

Biuro Sampat, a w zasadzie główna kwatera Różowego Gangu – bo właśnie ta nazwa najbardziej się upowszechniła – to pomieszczenie bez okien na parterze dwupiętrowego domu z cegły. Mieści się obok budynku, w którym jej zięć prowadził kiedyś mały gabinet lekarski.

Choć Sampat nazywa je „biurem”, nie ma tam ani biurek, ani komputerów, ani żadnych innych sprzętów, których można by oczekiwać w miejscu pracy. Gdyby nie megafon na jednej z półek, rzut okiem na wysprzątane do czysta pomieszczenie nie zdradziłby, że dzieje się tam cokolwiek, co wykracza poza normalność.

Drzwi frontowe biura wychodzą na małe, zadaszone patio, osłonięte przed słońcem i zawsze pełne komarów. Przeważnie tu właśnie, na tym kawałku betonu, Sampat przyjmuje nieprzerwaną stróżkę rozżalonych interesantów – i kobiety, i mężczyzn. Zaczynają napływać już o świcie i opowiadają o swych kłopotach aż do nocy. Jak pacjenci w poczekalni u lekarza, z nadzieją

wypisaną na twarzach przesiadują na rachitycznych plastikowych krzesłach i plecionych pryzkach *charpoy*, poustawianych na patio jedna przy drugiej. Niektórzy ściskają w dłoniach kiepskiej jakości fotokopie dokumentów – raportów policyjnych, zaświadczeń o własności, aktów małżeństwa (które przydają się, kiedy mężczyzna bierze sobie inną żonę, a poprzednią wyrzuca z domu, odmawiając jej jakichkolwiek praw). Bywa, że kobiety przychodzą tu bezpośrednio po pobiciu przez męża – z fioletowym siniakiem pod okiem czy rozciętą, opuchniętą wargą.

Dni Sampat wypełniają wizyty na posterunkach policji, protesty przed budynkami sądów i odwiedziny u kobiet w szpitalu. Dlatego często zdarza się, że nie ma jej w biurze, kiedy przybywają interesanci. W takiej sytuacji albo czekają, albo przyjeżdżają następnego dnia. Niewielu z nich pracuje od dziewiątej do piątej, więc swobodnie dysponują czasem i zmieniają plany.

Z tego właśnie powodu Sampat – kobieta tuż przed pięćdziesiątką – podjęła decyzję, by wyprowadzić się z domu w pobliskim miasteczku Badausa, w którym pozostał jej mąż i czworo dzieci. Dopóki mieszkała u siebie, jej życie rodzinne było wywrócone do góry nogami przez nieustający napływ ludzi przynoszących przerażające historie.

W miejscu takim jak Atarra to nie do pomyślenia, by kobieta zameżna mieszkała z dala od rodziny. Sampat nie boi się jednak czynić wyjątków od ogólnie przyjętych zasad. Wychodząc z tego samego założenia, nie zawahała się zamieszkać w jednym pokoju ze swym współpracownikiem – Jaiem Prakashem Shivhare – byłym nauczycielem liceum, teraz działaczem społecznym, mężczyzną wielkiej łagodności. Shivhare ma krótko ostrzyżone, srebrzyste włosy, pięknie kontrastujące ze śniadą cerą, ciężkie, opadające powieki, które zawsze sprawiają wrażenie, jakby za chwilę miały zamknąć się na czas drzemki, i senny, miękki głos. Swego wiernego towarzysza, który prawie nigdy jej nie odstępuje, Sampat nazywa „Babuji”. Jest to określenie pełne szacunku, używane wobec starszych mężczyzn i nauczycieli. Stosowanie go pozwala Sampat uniknąć plotek.

Sampat i Babuji wprowadzili się do biura w Atarze w 2005 roku. Oboje pracowali już wtedy społecznie, ale ich działalność nie była jeszcze znacząca. W owych czasach wstawali ze świtem, zjadali skromne śniadanie, niekiedy po prostu *chapatti* – płaski, niewyrośnięty chlebek – z surową cebulą i pastą z zielonej papryki, po czym na rowerach ruszali do pobliskich osad, rozsianych

pośród otaczających Atarrę rozległych pól ryżowych. Ich zadaniem była organizacja „grup samopomocy”. W ramach programu rządowego kobiety mogły składać do wspólnej puli niewielkie kwoty. Zgromadzenie pewnej puli, stanowiącej wkład własny, pozwalało otrzymać pożyczkę od państwa. Sampat od 2003 roku pracowała w tym programie jako mediator. Wtedy też założyła własną organizację pozarządową – Organizacja na rzecz Wsparcia i Równouprawnienia Kobiet. Rząd uważał, że program grup samopomocy mógł wyciągnąć miliony rodzin ze skrajnego ubóstwa. To właśnie wtedy jedna z grup samopomocy Sampat zapoczątkowała nową organizację samozwańczych strażniczek prawa i sprawiedliwości.

Niewiele było w Indiach regionów, w których sprawiedliwość byłaby równie pożądana, jak w wyjałowionym Bundelkhandzie, leżącym na południowo-zachodniej granicy największego stanu Indii – Uttar Pradeś. Ten monolityczny ogromny, jednolity stan (którego nazwa oznacza dosłownie „stan północny”) liczy nieco poniżej dwustu milionów mieszkańców, przewyższając tym samym liczbę ludności Brazylii. Jako odrębne państwo zajmowałby piątą pozycję na liście najbardziej zaludnionych krajów świata. Równocześnie byłby krajem najuboższym – panuje tu większy niedostatek żywności niż w Afryce subsaharyjskiej. Na domiar złego szerząca się w Bundelkhandzie przestępczość nie ma sobie równych w innych częściach Uttar Pradeś. Bundelkhand to ojczyzna cieszących się najgorszą sławą indyjskich rozbójników, którzy, nie doczekawszy się sprawiedliwości od państwa, postanowili wziąć prawo w swoje ręce. Wielu zamordowało swoich wrogów, po czym zaczęło wieść życie bandytów, napadając i plądrując wioski. Widok mężczyzn ze strzelbami przewieszonymi przez ramię nie należy tu do rzadkości ani nie wzbudza sensacji. Z takich właśnie powodów rząd indyjski zaliczył Bundelkhand do najbardziej zacofanych rejonów kraju, a co za tym idzie – na świecie. Ogromne obszary Uttar Pradeś uważane są powszechnie – nawet przez władze – za miejsce, w którym panuje całkowite bezprawie.

Już sam kamienisty, nierówny krajobraz Bundelkhandu, z gołym horyzontem i spłowiałym niebem, nie może budzić nadziei. Jednolitą paletę barw, na którą składa się spalona słońcem pszenica, ochra, a także brąz krowiego łajna i szarość popiołu, przełamuje tylko zieleń poletek ryżowych i bujnych tamaryndowców, drzew *mahua* i *sheesham*. Podróżując przez te ziemie, z łatwością można napotkać rozmaite metafory surowości tej krainy:

leżący w rowie szkielet ogiera pożartego przez zdziczałe psy, stracha na wróble z czaszką byka zamiast głowy, rolnika okładającego batem wychudzonego muła.

Babuji i Sampat przemierzali te tereny wzdłuż i wszerz na wspólnym, zardzewiałym rowerze. Łatwo sobie ich wyobrazić: Babuji na siodełku w bawełnianej tunice, a Sampat bokiem na bagażniku, z sari powiewającym na wietrze. Z oddali mogli wyglądać na męża i żonę, a ich rozmowy mogły przypominać małżeńskie pogaduszki. Tak jednak nie było. Jadąc wyboistymi drogami w nieznośnie prażącym słońcu, godzinami szukali odpowiedzi na pytanie: „Jak wyciągnąć kobiety z domów?” lub na bardziej zasadnicze: „Jak stworzyć lepsze społeczeństwo?”. Nigdy nie rozprawiali o niczym innym.

– Kobiety żyją w niewolnictwie – podsumowywała ich całodzienne rozważania Sampat. Żywiła nadzieję, że grupy samopomocy pomogą kobietom osiągnąć niezależność finansową, a co za tym idzie, i co ważniejsze wolność.

Jedna z wiosek, w której Sampat i Babuji stworzyli najbardziej zaangażowaną grupę samopomocy, nazywała się Uraiya Purva. Niedaleko stamtąd właściciel budynku, w którym wynajmowali biuro, posiadał dwanaście i pół hektara ziemi. Choć Sampat od roku 2003 zakładała grupy w całym rejonie Banda, gdzie mieszkała, to wyjątkowo gorliwych członków udało jej się zwerbować właśnie w Uraiya Purvie. Jednym z powodów sukcesu tej grupy była bliskość Atarry. Obie miejscowości dzieliło tylko pięć minut jazdy rowerem. W skład grupy weszły kobiety, które potem stały się pierwszymi członkiniami Różowego Gangu.

W Uraiya Purvie nie istniało pojęcie toalety. Każda chata miała w ścianie zewnętrznej dziurę, przez którą fekalia wpadały do szarej strużki ścieków, płynących wzdłuż przecinających wioskę drózek. W osadzie była jedna pompa, ustawiona przez misjonarzy. Mieszkańcy czerpali nią wodę do picia i kąpieli. Kiedy Sampat i Babuji przyjeżdżali tam na spotkanie, nie mieli na czym siedzieć – w wiosce nie było ani jednego krzesła. Ludzie kucali po prostu lub wyciągali na dwór swoje *charpoy*, siadali na nich i słuchali, co ma do powiedzenia Sampat.

Sampat to utalentowana mówczyni. Stosuje skuteczne techniki, dzięki którym na dłuższy czas udaje jej się przyciągnąć uwagę nawet najbardziej otepiałych od słońca rolników. Poszturchuje siedzących obok niej ludzi, gwałtownie odwraca głowę i zadaje pytania retoryczne albo patrzy

słuchaczom prosto w oczy, kiedy najmniej się tego spodziewają, i głośno klaszcze, by podkreślić pointę. Gdyby przyjrzeć się jej z daleka, spoza zasięgu słuchu, z samej jej wyrazistej mimiki można by odczytać każdą emocję – wielki gniew z chmurnie zmarszczonego czoła, szczęście – z dziecięcego uśmiechu, zdziwienie z uniesionych brwi. Nadzwyczajna ekspresyjność Sampat sprawia, że jest ona niezwykłą aktorką i potrafi wywrzeć wielkie wrażenie, co bardzo jej się przydaje w snuciu barwnych opowieści o tym co złe, a co dobre.

Bogaty język ciała Sampat to jednak nie wszystko. Prócz niego kobieta dysponuje mocnym, skupiającym uwagę głosem. Potrafi przemawiać z taką siłą, że słuchacz niemal czuje, jak jej słowa celują prosto w niego niczym wystrzelone z katapulty, a ich prędkość można by mierzyć w skali Beauforta. Spora szpara między górnymi jedykami nadaje jej mowie jeszcze więcej dramatyczności. Przemawia zawsze wielkimi literami – pogrubioną i podkreśloną czcionką, każde zdanie wieńcząc kilkoma wykrzyknikami. Mówi donośnym głosem – zarówno w domu, jak wtedy, gdy rozmawia przez swą nokię wielkości cegły, do której nieustannie wykrzykuje rozkazy, porady i przestrogi. Nic więc dziwnego, że ma wieczną chrypkę, a w jej głosie dźwięczy ciepła, zgrzytliwa nuta. To wynik stałego, nadmiernego wysiłku strun głosowych, skutek lat przemawiania do tłumów kobiet siedzących po turecku w cieniu banianów.

Mimo że Sampat była doskonałą mówczynią, to przekonanie kobiet, które wcześniej samodzielnie nie podejmowały przecież absolutnie żadnych decyzji finansowych, by wpłaciły pieniądze na wspólny fundusz, z którego potem mogłyby zaciągać pożyczki, wymagało wielkiej cierpliwości. Niektóre mówiły:

– Nie ufam nawet własnemu bratu, więc jak mam zaufać tobie?

Sampat tłumaczyła, że wyciągnięcie pieniędzy ze wspólnego rachunku oszczędnościowego będzie wymagać zgody przynajmniej dziesięciu sygnatariuszy, a w każdej z grup samopomocy nad sprawami finansowymi czuwać będzie skarbnik, sekretarz i przewodniczący. Babuji udzielał bardziej poetycznej odpowiedzi:

– Świat nie może istnieć bez wiary – perswadował. – Przed wami umarli tysiące. Dlaczego więc wy wciąż oddychacie? W każdej minucie życia istnieje ryzyko śmierci, więc jak możecie mówić, że nie macie wiary?

Babuji dodawał dyskusji wyrafinowania. Jako najstarszy z ośmiorga rodzeństwa ukończył studia licencjackie – filologię angielską i socjologię

w Atarra Degree College, więc jest znacznie lepiej wykształcony od Sampat, która – jak większość mieszkańców Bundelkhandu – nie mówi po angielsku. Porozumiewa się tylko w hindi lub bundeli – narzeczu typowym dla Bundelkhandu. Ojciec Babujiego, choć prosty rolnik, był „najbardziej wykształconym człowiekiem w wiosce”, jak wspomina sam Babuji, ponieważ ukończył szkołę odpowiadającą w amerykańskim systemie edukacyjnym gimnazjum. Kiedy Babuji dorastał, matka, gorliwa hinduistka, zachęcała go, by uczył się na pamięć fragmentów świętych tekstów i recytował je na głos po obiedzie. Dzięki temu jako dorosły Babuji ma w zanadrzu setki celnych powiedzeń, które czerpie z różnych źródeł – od *Mahabharaty* po *Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi* Dale’a Carnegiego, którą to książkę w przekładzie na hindi kupił sobie w mieście Kanpur. Babuji ma zwyczaj parę razy dziennie cytować głośno maksymy i przysłowia. Znany jest też z tego, że swoje argumenty ilustruje przypowieściami i ludowymi podaniami. To dla niego normalne, by codzienne, zwyczajne rozmowy okraszać wtrętami typu: „Nostradamus twierdził, że XXI wiek będzie należał do kobiet” czy „Choć Gandhi ważył tylko czterdzieści kilo, zdołał potrząsnąć całym światem”.

Kiedy zdarzało się, że Babuji w czasie spotkań grup samopomocy odpływał za daleko w swoje rozmyślania, Sampat naprowadzała rozmowę z powrotem na sprawy praktyczne, by nie stracić uwagi kobiet. Ona zawsze stoi twardo na ziemi, jest mocno zakotwiczona. Być może to kwestia ciężaru przywództwa, który spoczywa na jej barkach. To ona ma odwagę stawić czoła policji, agresywnym mężom, a nawet przestępcom – ona, nie Babuji.

– W obliczu niebezpieczeństwa Babuji znika jako pierwszy. Bardzo się boi!  
– droczą się ich znajomi.

Większość kobiet w Uraiya Purvie to podeszłe w latach wdowy, pozostawione przez młodsze pokolenie, które w poszukiwaniu źródła utrzymania wyprowadziło się do jednego z kipiących życiem indyjskich miast. Z historycznego punktu widzenia wdowy to najgorzej traktowani członkowie indyjskiego społeczeństwa. Indie to kraj *sati* – obecnie zabronionego przez prawo obyczaju, nakazującego owdowiałej kobiecie rzucić się na stos pogrzebowy, na którym płonęły zwłoki męża.

Nieokreśloną liczbę wdów wepchnięto w płomienie siłą, jeśli opierały się samodzielnie zakończyć życie. W Bundelkhandzie – rejonie powierzchnią zbliżonym do Belgii – tradycji *sati* przestrzegano szczególnie zagorzale.



Nawet bohater książki Juliusza Verne'a *W osiemdziesiąt dni dookoła świata*, Jean Passepartout, podróżując przez te okolice, uratował młodą kobietę od śmierci w płomieniach. Dziś, choć w Bundelkhandzie od wdów nie oczekuje się już złożenia życia w ofierze, często czeka je powolne konanie na skutek porzucenia i zaniedbania.

– Wszyscy odeszli. Sama tu zostałam – mówi Kodia Dai, bezzębna siedemdziesięcioparolatka, jedna z najdawniejszych członkiń Różowego Gangu. Pozytywną stroną pozostawiania wdów na pastwę losu jest to, że choć muszą radzić sobie zupełnie same, krewni nareszcie przestają rządzić ich życiem. Zapomniane kobiety z Uraiya Purvy jesień swego życia mogły przeżyć tak, jak chciały – w końcu były wolne. Dlatego właśnie one w pierwszej kolejności zgodziły się wstąpić do grupy samopomocy. Kiedy grupa ta powstała, Sampat i Babuji zarobili pierwszą gażę rządową – około dwóch tysięcy rupii, czyli mniej więcej czterdzieści dolarów. Taka suma należała się bowiem za założenie każdej grupy samopomocy. Pieniądze podzielili równo między siebie. Jako mediatorzy w programie mogli zarobić dodatkowo osiem tysięcy rupii, wypłacone w czterech równych ratach, pod warunkiem, że ich grupa wypełni wszystkie zobowiązania i cele wyznaczone przez rząd w ramach projektu. Wkrótce po tym, jak zaczęli razem pracować, Sampat i Babuji postanowili:

– Cokolwiek dostaniemy, choćby był to nawet jeden *chapatti*, podzielimy się po równo.

Organizatorzy grup samopomocy w ramach programu rządowego mieli również obowiązek organizować comiesięczne spotkania członków każdej grupy i przeprowadzać na nich swego rodzaju kurs gospodarowania własnymi finansami i przedsiębiorczości. Sampat i Babuji mówili o tych sprawach, ale zebrania grup dostosowali przede wszystkim do potrzeb własnej misji, której najważniejszym celem było głoszenie równości i sprawiedliwości wobec kobiet, niższych kast i biedoty. Sampat swym donośnym głosem mówiła o rozmaitych problemach, jakie miała w życiu. Należały do nich na przykład: zamążpójście w wieku dwunastu lat, wieczna walka z trudną w kontaktach teściową, brak wykształcenia. Nie wahała się podejmować tematu przemocy rodzinnej, z którą sama się w życiu spotkała – na przykład mówić o sąsiedzie, który ustawicznie bił żonę – i nawoływać kobiety, by zjednoczyły siły i podjęły wspólną walkę.

– Kiedy się zjednoczymy, będziemy silne! – wołała, wyrzucając w powietrze zaciśniętą pięść.

Ze względu na wyrazistą osobowość Sampat i na fakt, że wielokrotnie udzieliła wsparcia i pomocy potrzebującym, kobiety z Uraiya Purvy wkrótce zaczęły zwracać się do niej ze swoimi problemami. A tych było wiele. Niektóre narzekały na brak drogi do wsi. Inne, jak Kodia i jej znajoma Lungi Dai, potrzebowały pomocy w uzyskaniu legitymacji emeryta, których wydania odmawiał im miejscowy urzędnik, bo nie chciały dać mu łapówki. Nie mając zaś kart, chodziły głodne. Z czasem Sampat zaczęła zachęcać kobiety z grupy samopomocy, by wspólnie szukały rozwiązań swych problemów. Choć te proste wieśniaczki nigdy dotąd nie brały udziału w protestach, dopingowała je, by zbierały się przed budynkami rządowymi, domagając się lepszych dróg i urzędów bez łapówek.

Na początku urzędnicy drwili z Sampat i jej współpracowniczek.

– Kim wy właściwie jesteście? – pytali i prychnali pogardliwie, kiedy kobiety wkraczały na posterunek policji lub do punktu wydawania żywności. Wkrótce jednak, dzięki zwykłemu przeblyskowi geniuszu, nikomu niepotrzebne starsze wdowy i natrętki w średnim wieku stały się przekleństwem skorumpowanych urzędników. Bardzo szybko w mieście zaczęło być o nich głośno.

\*

Sampat po raz pierwszy zaczęła zastanawiać się nad wprowadzeniem jednolitego stroju dla kobiet ze swych grup w 2005 roku, w czasie Diwali – hinduskiego festiwalu świąteł. Wtedy to zabrała część kobiet ze swej grupy samopomocy na małą pielgrzymkę do miasta Chitrakoot. Choć sama nie była szczególnie religijna, uznała, że dzięki wyprawie kobiety będą mogły doświadczyć samodzielnego podróżowania. Niestety, kiedy wysiadły z pociągu, okazało się, że jednej z nich brakuje.

– Nie mogę sobie teraz przypomnieć jej imienia. Wszyscy mówiliśmy do niej *Pappu ki didi*, czyli siostra Pappu. Zasnęła i pojechała dalej, do Jabalpuru. Wszystkie płakałyśmy, kiedy się okazało, że została w pociągu – wspominała potem Sampat.

Kobiety martwiły się o współtowarzyszkę całą noc. Najbardziej oczywiście Sampat, która osobiście wzięła na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo grupy i obawiała się represji ze strony rodziny zaginionej.

– W Bundelkhandzie można wpaść przez coś takiego w prawdziwe tarapaty. Mogli oskarżyć mnie, że ją porwałam. U nas bardzo łatwo o aresztowanie, więc naprawdę się obawiałam.

Po powrocie do Atarry zasepione kobiety siedziały na patio Sampat i czekały na pojawienie się zguby. To właśnie wtedy Sampat nagle przyszło do głowy, że nie doszłoby do tej przygody, gdyby wszystkie jej podopieczne podczas wszelkich wyjazdów i wyjść rzucały się w oczy i dawały łatwo rozróżnić w tłumie. Może mogłyby nosić jakąś odznakę? – zastanawiała się, ale szybko tę myśl porzuciła. Wpadła bowiem na pomysł, by wszystkie, łącznie z nią samą, ubierały się w jednakowe sari – czyli codzienny strój wszystkich kobiet na Półwyspie Indyjskim. W ten sposób najłatwiej będzie je rozróżnić w tłumie, pomyślała. Natychmiast dostrzegła inne zalety jednolitego stroju. Doszła do wniosku, że nie tylko pomoże on zapobiec takim sytuacjom, jaka właśnie się zdarzyła. Przede wszystkim będzie doskonałym sposobem na zbudowanie mocnej tożsamości zbiorowej – sposobem wyrażenia jedności. Czyż nie to właśnie zawsze starała się przekazać kobietom?

– Pomyślałam sobie, że taki strój zatrze nawet różnice między biednymi a bogatymi. Często zdarzało się, że zamożniejsze członkinie nosiły ładne sari, a te z kasty dalitów brzydkie – wspominała. Dalici to niska kasta, o której członkach mówiono niegdyś „nietykalni”.

Przypominając, że starsze kobiety pomagały sobie przy chodzeniu kijem, Sampat stwierdziła, że kobiety z jej „gangu” mogłyby również nosić przy sobie laski. Pomyślała, że mogłyby one przydać się w różnych sytuacjach, najczęściej – do odpędzania zdziczałych psów.

Sampat postanowiła na początek kupić czterdzieści sari dla najbardziej zaangażowanych członkiń grup samopomocy. Każda mogła dostać je za dwieście rupii – jednorazową opłatę, będącą jednocześnie wpisowym do pozarządowej organizacji Sampat – Tribal Women Upliftment and Empowerment of Women Organization. Różowy Gang miał działać właśnie pod auspicjami tej organizacji.

Zanim jednak Sampat kupiła sari, podzieliła się swoim pomysłem z samymi członkiniami.

– Jeśli je kupimy, czy będziecie chciały je nosić? – zapytała. Kobiety obiecały, że tak. Pierwsza partia strojów kosztowała cztery tysiące rupii, czyli mniej więcej osiemdziesiąt dolarów. Suma ostudziła nieco zapał Sampat. – I skąd ja wezmę takie pieniądze? – pytała przyjaciół. Po paru dniach

rozmyślał przyszedł do niej dr Khanna, dobry przyjaciel, który sporo czasu przesiadywał z Sampat na jej patio. zaproponował, że pożyczycy jej pieniądze na sari. Sam należał do niższej kasty, wspierał więc działania Sampat na rzecz najgorzej traktowanych członków społeczeństwa. Cała trójka: Babuji, Sampat i dr Khanna, już następnego dnia wsiadła w pociąg do Kanpuru, pobliskiego miasta z dużym targiem tekstyliów, by zakupuć sari.

Błądzili wśród labiryntu straganów, na których sprzedawano wszelkiego rodzaju tkaniny. Mieniające się cekinami sari wisiały obok tych ślubnych, ze złotą lamówką, i innych, zdobionych brokatem, w kolorach ciemnej czerwieni i ochry. Kupcy prezentowali misternie tkane suknie ośmiometrowej długości, a przyszłe panny młode i sprzedawcy z mniejszych miasteczek wnikliwie przyglądali się towarom wystawianym na sprzedaż. Strojne sari nie nadawały się jednak na potrzeby Sampat, która szukała czegoś prostego, funkcjonalnego i taniego – najchętniej sztucznie farbowanego poliestru, który najlepiej posłużyłby celom grupy. Wreszcie natknęli się na niewielkie stoisko, na którym sprzedawano dokładnie takie sari, jakich potrzebowali. Bezradnie wpatrywali się w bogatą paletę barw i odcieni: niebieskiego od turkusowego po akwamarynę, zieleni od głębokiej, leśnej po jaskrawą, przywodzącą na myśl światła uliczne. Który wybrać? Początkowo Sampat wskazała na niebieski.

– Powiedziałem: „nie”, nie podoba mi się – wspominał później dr Khanna. – Razem z Babujim stwierdziliśmy, że lepszy będzie różowy, więc się zgodziła.

Nad wyborem trzeba było się naprawdę poważnie zastanowić. W Indiach każdy kolor wywołuje skojarzenia polityczne lub religijne. Czerwony zarezerwowany jest dla socjalistów. Zielony – dla muzułmanów, niebieski – dla partii niższych kast, Bahujan Samaj. Pomarańczowy noszą hinduiści, żółty należy do Gayatri Pariwar – dużej organizacji religijnej, której członkiem był również Babuji. Każdy kolor, nawet biały, wydawał się już „zajęty”.

– Nie chcieliśmy, aby ludzie brali nas za kogoś innego – wspomina Sampat. Dlatego ostatecznie padło na różowy, jedyny, jak się wydawało, kolor wolny od skojarzeń.

Podczas podróży powrotnej, kiedy wielka paka z sari leżała już bezpiecznie na półce, cała trójka z podekscytowaniem rozprawiała o przyszłości.

– Kiedy się dokądś wybierzemy, ludzie będą ciekawi! – mówiła Sampat, z radości klaszcząc w ręce. – Jeśli będziemy jednakowo ubrane, wzbudzimy jeszcze większy respekt! – zawołała.

Następnego ranka Sampat wybrała się do pobliskich wiosek – Uraiya Purvy, Gokul Purvy i Sudama Purvy, w których wraz z Babujim założyli grupy wzajemnej pomocy.

– Przyjechały sari! – obwieściła kobietom. – Powiedzcie wszystkim, żeby przyszły po sari!

Przez kolejne tygodnie kobiety schodziły się z pieniędzmi, jedna po drugiej. Te, które nie mogły pozwolić sobie na zakup sari (wiele z nich żyje w wielkiej biedzie, mówiła Sampat), dostawały je za darmo.

Dlaczego kobiety, które nigdy dotąd się nie buntowały, na tym etapie życia decydowały się przyłączyć do rodzącej się grupy obrońców prawa, tworzonej przez Sampat? Jedna ze starszych kobiet imieniem Lungi Dai ujęła to w ten sposób:

– Nadzieja to wielka sprawa. Sampat dawała nam ją za każdym razem, kiedy pojawiała się w naszej wiosce.

Najlepsza przyjaciółka Lungi, Kodia Dai, dodała, wsysając wargę w bezzębne usta:

– Przyłączało się wiele kobiet, więc ja też się zdecydowałam!

Owego zimnego, grudniowego poranka w 2010 roku Sampat, z włosami wciąż wilgotnymi po kąpieli, zdecydowanym krokiem podeszła do mężczyzn siedzących na betonowym patio przed biurem. Byli to Babuji i właściciel budynku, w którym wynajmowali biuro – Lakhan Upadhyay. Lakhan, właściciel wielu hektarów pól wokół miasteczka, ojciec czworga dzieci, jest przystojny, mocno zbudowany i zdecydowanie wyróżnia się wyglądem. Zawsze ma na sobie świeżo odprasowany garnitur *khadi*, trzy razy droższy od bawełnianego, jaki można dostać na miejscowym targowisku. Co rano podczas modlitwy o godzinie szóstej – *puja* – uroczyście maluje sobie na czole pastą sandałową dwie białe, poziome linie, a między nimi kropkę czerwonym proszkiem *kumkum*. Symbole te oznaczają wysoką pozycję w hinduskim systemie kastowym i pozostają na czole przez cały dzień. Szpakowate włosy ma krótko ostrzyżone (choć Lakhan siwieje, wąsy farbuje na kruczoczarno), z tyłu głowy zwisa mu maleńki warkoczek.

Słyszając nadchodzącą Sampat, Lakhan podniósł wzrok znad gazety i utkwił go w kobiecie. Na jego twarzy malowało się pytanie. Już od poprzedniego wieczoru chciał podnieść pewną kwestię, o której nieustannie myślał.

Poprzedniego dnia dowiedział się o kradzieży w domu posła. W małym

miasteczku, takim jak Atarra, wieści rozchodzą się szybko. Wymienia się je na targowisku podczas wybierania ketmii i bakłażanów, pomiędzy narzekaniem na rosnące ceny żywności a pytaniem o nie. Dyskutuje się przy studniach komunalnych, podczas wspólnej kąpieli pod szerokim, przepastnym niebem. Czasem zaś przybywają na rowerze wraz z zawzięcie pedaującym przyjacielem – plotkarzem.

Lakhan mieszka nad biurem Sampat. O zmierzchu odpoczywał na swoim patio, kiedy po drodze do domu wstąpił tam mężczyzna imieniem Kallu i zapytał, czy jest Sampat. Należał do niższej kasty i był oddanym sojusznikiem Różowego Gangu. Chciał poinformować Sampat o najnowszych wydarzeniach. Ponieważ jej nie zastał, przekazał wieści Lakhanowi, pozostawiając przedtem rower na skraju zakurzonej drogi.

Obaj podeszli do opowiedzianej przez niego historii z pewną dozą podejrzliwości.

– Kto uwierzy, że coś takiego mogło w ogóle się zdarzyć? – zapytał Kallu.  
– Niech się tylko Sampat o tym dowie. Dopiero będzie z tego historia – ciągnął.

– *Hao*, tak – odpowiedział w miejscowym dialekcie Lakhan. – Przekażę jej. Kiedy następnego ranka zapytał ją, czy wie, co się stało, Sampat prychnęła tylko i machnęła ręką.

– Pff! Bracie, już o tym wiem! – odparła. Czasem zachowywała się szorstko, ale Lakhan się tym nie przejmował. Usposobienie Sampat zawsze budziło respekt. Jej wybuchowy temperament czaił się tuż pod skórą, i jeśli tylko nie został wykorzystany dla dobra społecznego (na przykład podczas kłótni ze skorumpowanym policjantem), często obracał się przeciwko tym, którzy byli najbliżej – na przykład przeciwko Babujiemu, z którym się wiecznie sprzeczała.

Uspokoila się.

– Dobrze, więc kto przeczyta mi na głos ten artykuł? – zapytała. Nauczyła się wprawdzie odczytywać podstawowe słowa, napisane dużą czcionką, ale rozszyfrowanie zwyczajnego artykułu drobnym drukiem wymagało od niej ogromnego wysiłku. Słowo pisane było dla niej niczym język obcy, którego nie opanowała i który rozumiała tylko w ulotnych chwilach wzmożonej koncentracji.

Kiedy Sampat była dzieckiem, wielu chłopców z jej wioski chodziło do

małej szkółki, w której lekcje odbywały się pod drzewem. Ona sama i inne dziewczynki nie mogły jednak brać w nich udziału. Sampat chowała się często za krzakami i z zazdrością podglądała zajęcia, przez gałązki i liście próbując dojrzeć, co też było zapisane na tablicy. Kiedy chłopcy w szkolnych mundurkach wysypywali się z klasy, Sampat nie dawała im spokoju. Stanowili dla niej chodzące źródło cennej wiedzy, którą również chciała osiąść.

– Często łapałam te dzieciaki i mówiłam im: „Albo będziecie mnie uczyć, albo was pobiję!”. Powoli, powoli nauczyłyśmy się od nich. Najpierw patrzyłyśmy, co jest zapisane na tablicy, i próbowałyśmy to przepisać. Widziałyśmy, że oni się uczą, ale nami nikt się nie zajmował, mimo że też chciałyśmy się uczyć. To tak, jakby ktoś robił *chapatti* – samemu wtedy też chce się je robić. Tak się wtedy czułyśmy – przypomina sobie Sampat.

Za każdym razem, kiedy Sampat próbowała wyłudzić od któregoś z chłopców sekrety kryjące się za symbolami i cyframi na tablicy, zabierała ze sobą koleżanki: Gayatri i Premę. We trzy ćwiczyły nowe słowa.

– Zapisywałyśmy je sobie na ziemi. Pisałyśmy, a potem ścierałyśmy to, co napisane.

W przeciwieństwie do koleżanek, u których nieliczne wyuczone słowa zapadały się gdzieś w czarną otchłań niepamięci, Sampat wyrzyła je sobie w głowie tak mocno, by ich nigdy nie zapomnieć.

– One wszystko zapomniały, ale ja pamiętam do dziś. One mieszkają u teściów i zapomniały. Wszystkie na dobre weszły w rodziny swych mężów. Wciąż utrzymujemy kontakt, więc kiedy się spotykamy, śmieją się i wołają: „Ty wszystko pamiętasz, a my wszystko zapomniałyśmy!”.

Jeden z chłopców, który najbardziej pomagał Sampat i jej koleżankom – Ramesh Gupta, wciąż pamięta tamte czasy. Nigdy nie zdołał znaleźć pracy, więc teraz, kiedy wpada na nią na targu, mówi:

– Widzisz, co zrobiłaś? Pozbawiłaś mnie całej wiedzy! – śmieje się Sampat.

Wróćmy jednak na wybetonowane patio. Babuji wziął na siebie odczytanie artykułu o rzekomej kradzieży w domu Dwivediego. Odczyty publiczne, recitale i perorowanie należały do jego ulubionych zajęć. Sennym głosem, tym samym tonem, którym recytował poezję, miejscowy orator odczytał z pierwszej strony gazety „Hindustan” – jednej z głównych krajowych gazet w języku hindi – następujący nagłówek:

## SETKI TYSIĘCY RUPII SKRADZONE POSŁOWI – O KRADZIEŻ PODEJRZEWANA JEST DZIEWCZYNA MIESZKAJĄCA W JEGO DOMU

Autorem artykułu był Amit Tripathi, miejscowy dziennikarz, z którym Sampat nawiązała niedawno przyjacielskie relacje. Lubiła Amita. Uważała go za jednego z nielicznych uczciwych dziennikarzy, jakich znała.

Babuji przeczytał na głos, że dziewczyna, której nazwiska nie wymieniono, rzekomo zatrudniona w domu urzędnika jako pomywaczka, oskarżona jest o kradzież dwustu tysięcy rupii (około czterech tysięcy dolarów), dwóch telefonów komórkowych, biżuterii i strzelby. Z artykułu wynikało, że informacji tej nie potwierdza wprawdzie ani policja, ani Dwivedi, choć sam polityk „wini swych oponentów” za, jak to nazywa, „spisek”. „Kim była dziewczyna? Skąd pochodziła? Tego nie wiemy” – pisał Amit. Wiadomo tylko, że „od pewnego czasu” mieszkała i pracowała w domu pośła. Babuji przeczytał, że wiadomość ta wzbudziła zainteresowanie sąsiadów. Wielu z nich zgromadziło się wokół domu polityka w nadziei, że uda im się zobaczyć coś ciekawego. „Sprawa ta jest tematem gorącej dyskusji w całej okolicy”, zakończył reporter.

– Strzelbę? Powiedźcie mi, jak dziewczyna może w ogóle pokazać się ze strzelbą? – zadała pytanie retoryczne Sampat.

Jeszcze zanim Babuji skończył czytać, myśli Sampat już wskoczyły na inną orbitę. Zwróciła się do Lakhana:

– Spróbuję się czegoś na ten temat dowiedzieć, ale ty, ponieważ jesteś braminem, powinienesz poszukać informacji w swoich źródłach.

Lakhan, podobnie jak urzędnik, o którym była mowa w artykule, należał do wyższej kasty. Sampat była zdania, że uda mu się dowiedzieć czegoś z pierwszej ręki – od zwartego kręgu wyżej postawionych mieszkańców.

Sampat, przydzieliwszy mu to zadanie, zerwała się z krzesła i ruszyła, by zmierzyć się z nową misją.



## *Rozdział drugi*

# **BANDYCI NA LISTACH WYBORCZYCH**

NIE KAŻDY MA ODWAGĘ ZOSTAĆ SAMPAT PAL I PODJĄĆ WALKĘ  
Z POSŁEM.

– *Sampat Pal*

„Co pani sobie właściwie wyobraża? Że kim pani jest?”. Sampat przyzwyczaiła się już do tego pytania. Czasami zachowuje się, jakby prowadziła małą agencję detektywistyczną, a czasami – jak policjant patrolujący Bundelkhand. Nieustanne wtrącanie się Sampat w rozmaite sprawy jednych irytuje, a innych wprawia w zakłopotanie.

Sampat sama do końca nie rozumie, dlaczego wciąż coś popycha ją do działania na rzecz innych ludzi. Uważa to za jedną z największych tajemnic swojego życia. Powiedziała raz: „Nawet ja sama nie rozumiem Sampat Pal”. Przerwała na chwilę i ze zmarszczonym czołem zastanawiała się nad zagadką, którą sama dla siebie stanowiła, po czym wpadła na pomysł: „Kiedy umrę, rząd indyjski powinien zajrzeć do mojego mózgu i stwierdzić, jak to się stało, że jestem, jaka jestem”. Sugestia była szczerą, aczkolwiek nieco humorystyczną. Po chwili Sampat dodała: „Powinni też zajrzeć do mojego serca, to powinno wyjaśnić sprawę”.

Sampat jest pewna, że wykonana po jej śmierci sekcja mózgu odkryłaby fascynujący, wysoko rozwinięty intelekt – sądzi, że jest jedną z najinteligentniejszych osób, jakie zna.

– Dlatego ludzie mnie słuchają. Mówią, że jeśli Sampat-ji coś robi, niemożliwe, aby to nie miało sensu. Wysiadają przy mnie nawet świetnie wykształceni profesorowie. Oni też zgadzają się z tym, co mówię. Twierdzą, że choć nie mam wykształcenia, zdobyłam szeroką wiedzę w wyniku rozmaitych doświadczeń. Jeden z profesorów zapytał mnie: „Sampat-ji, nie masz żadnego wykształcenia, skąd więc u ciebie takie doświadczenie? Przemawiasz tak świetnie, że nikt nie jest w stanie z tobą dyskutować. Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś?”. Odpowiedziałam, że nie wiem, a potem spytałam go: „Gdzie uczył się człowiek, który wymyślił szkołę? Przecież ktoś po prostu musiał ją wymyślić, prawda?” – wspomina. Niewielu spośród najbliższych znajomych Sampat zaprzeczy, że surowa, nieokiełznana siła jej intelektu to jej własna zasługa.

– Sampat jest bystrzejsza ode mnie. Ja jestem bardzo prostolinijny.

Dlatego nawet jej nie dorównuję. Choć jestem od niej lepiej wykształcony, pozostaję za nią daleko, daleko w tyle – przyznaje chętnie Babuji.

Spojrzenie na historię życia Sampat niespecjalnie wyjaśnia fenomen jej doskonałego zrozumienia i wyczucia mechanizmów kierujących władzą i społeczeństwem. Pochodzi z Kairi – małej, chłostanej wiatrami wioski w samym sercu Bundelkhandu. W czasach, gdy dorastała, czyli w latach 70., w Kairi, jak w wielu innych miejscach Bundelkhandu, niesprawiedliwość wobec kobiet, niższych kast i biedoty była na porządku dziennym. Krzyki kobiety bitej w środku nocy przez pijanego męża; odmówienie dalitowi prawa do udziału w świątecznych obchodach ze względu na przekonanie, że on i jego rodzina, uważani za „nietykalnych”, „skażą” *thaali*, czyli wspólne metalowe naczynia, wypełnione *biryani*; dziewczęta wydawane za mąż za starszych, owdowiałych mężczyzn, którzy traktowali je jak służące – tego rodzaju okoliczności składały się na rzeczywistość. „Tak po prostu było”. Rodzice, dziadkowie i kuzyni – wszyscy – ze stoickim spokojem, bez mrugnięcia okiem znosili niesprawiedliwości życia. Jeżeli ktoś nie był w stanie ich znosić, miał marne szanse na przetrwanie.

Rodzice Sampat byli rolnikami.

– To byli prości ludzie, nie za bardzo interesowały ich różne rzeczy – mówi Sampat – ale wpoili mi dobre wartości. Wszyscy byliśmy wobec siebie życzliwi. Nikt w naszej rodzinie nie traktował źle kobiet.

Sampat miała siostrę i dwóch braci. Z czwórki dzieci dwoje było nad wiek rozwiniętych i wyrosło na dość znanych ludzi.

– Ja byłam najżywsza i najsprytniejsza z całej rodziny – stwierdza po prostu. Brat Sampat, Ram Lal Pal, również wybijał się spośród dzieci w wiosce. W wieku dziesięciu lat został *saddhu*, świętym mężem, ascetą. Wyszukiwał małe kamienie i modlił się do nich. Kiedy w wiosce był jarmark, zaczął uderzać w dzwon i modlić się. Zbierał mrówki do pudełka, karmił je cukrem i *ghee*. Palił drewno i robił sobie *tilak*, hinduski znak, kreślony na czole pastą z drzewa sandałowego lub czerwonym proszkiem *kumkum*. Pewnego dnia odszedł z domu i odtąd żył z *baba*, świętym mężem. Został jego uczniem. Wszyscy płakaliśmy. Byliśmy tacy nieszczęśliwi. Zapuścił włosy i przeniósł się do świętego miasta Vrindavan. Myślę, że matka nigdy się po tym nie otrząsnęła. Było jej trudno pogodzić się z tym, że dwójka jej dzieci poświęciła życie: jedno Bogu, drugie społeczeństwu – dodaje.

Matka Sampat dość wcześnie musiała zauważyć, że jej córka nie jest zwyczajną dziewczynką. Po pierwsze, Sampat była najbardziej otwartym i śmiałym dzieckiem w Kairi, po drugie, dość wcześnie, bo już w wieku pięciu lat, zaczęła wspinać się na drzewa.

– W wiosce rosło drzewo mango. Widziałam, jak chłopcy włączają na nie i myślałam sobie, czemu ja nie mogę? Koleżanka podtrzymywała mnie, a ja się wdrapywałam. I tak to się zaczęło. Raz z innymi dziewczynkami stałyśmy pod drzewem *jamun*. Powiedziałam do nich: „Chodźcie, wdrapiemy się na górę”. Odpowiedziały: „Nie, nie możemy”, ale pomogły mi wejść. Drzewo miało bardzo kruche gałęzie, więc spadłam. Potem chowałam się przed dorosłymi, bo wszystko mnie bolało.

Prócz tego, że Sampat była odważna, bardzo szybko uczyła się różnych rzeczy. Jako pierwsza w wiosce nauczyła się szyć.

– Nikt w Kairi nie potrafił szyć. Ani moja mama, ani siostra. Bóg obdarzył mnie tą umiejętnością, nie mam pojęcia, czemu, ale zrobił to – opowiada Sampat. W szyciu zakochała się, odkąd Chunni Lal, jej wujek, zabrał ją do krawca. Wujek ten, w owych czasach pierwszy w rodzinie absolwent wyższej uczelni (skończył studia licencjackie w Atarze, był więc człowiekiem wykształconym), był ulubieńcem Sampat. – Traktował mnie jak mężczyznę. Udzielał lekcji życiowych typu: „Jeśli cię ktoś uderzy, oddaj mu”. Sampat, chcąc zadowolić Chunniego, który traktował ją lepiej niż większość ludzi, stosowała się do jego zasad tak często, jak tylko mogła.

Stojąc u boku wuja przed warsztatem krawca, zafascynowana przyglądała się jego wprawnym ruchom, obserwowała taniec jego stóp na pedale maszyny, a jednocześnie sposób, w jaki uważnie przesuwiał materiał pod miarowo podskakującą igłą. Kiedy przyglądała się, jak szyje ubranie dla któregoś z klientów, pomyślała sobie o swojej lalce – jedynej, jaką miała – w podartej, wystrzępionej sukience. A może udałoby się uszyć sukienkę dla lalki, przyszło jej do głowy. Zapytała więc krawca, czy może wziąć ścinki materiału, które spadły na podłogę. Zachęcił ją do tego, a potem wskazał na stos kolorowych szmatek z tyłu pomieszczenia. Było ich więcej, niż dałaby radę udźwignąć.

Tego samego dnia po powrocie do domu Sampat za ukradzione rodzicom pieniądze kupiła igłę i nitkę, po czym w tajemnicy, w przerwach między pracą w polu a obowiązkami domowymi, ćwiczyła szycie, które wkrótce przerodziło się w swego rodzaju obsesję. Wraz z koleżankami dzień w dzień wędrowała do

krawca, by w stosie ścinków wyszukiwać ładne kawałki materiałów.

– Kłamałam mamie, że idę na pole, a zamiast tego biegłam do krawca.

Pewnego dnia, kiedy nie miała czasu iść do krawca po ścinki, oderwała kawałek sari matki, z samego dołu.

– Wtedy nie obszywano skraju sari, więc nic nie zauważyła! Miałam brzydki zwyczaj, żeby kraść skrawki materiałów, ale bałam się, żeby mnie na tym nie przyłapano, więc chowałam je w majtki albo pod pachę, kiedy pojawiała się mama. Patrzcie, zostało mi do dzisiaj! – mówi Sampat i wyjmuje zwinięty strzępek tkaniny z biustonosza, macha nim i głośno się śmieje. Umiejętność szycia zaprocentowała w przyszłości, dała Sampat niezależność finansową.

Na tle mieszkańców wioski Sampat wyróżniała się jeszcze czymś prócz szycia, a mianowicie głęboko rozwiniętą świadomością społeczną. Od wczesnego dzieciństwa doskonale rozumiała poczucie krzywdy towarzyszące wszelkiej niesprawiedliwości – cierpiała przy każdym z nią zetknięciu. Gdy miała siedem–osiem lat, była świadkiem sytuacji, kiedy dziewczynka imieniem Gayatri Patel, córka potężnego właściciela ziemskiego, spoliczkowała kolegę Sampat, wiejskiego pastuszka Chand Pala. Mały, pocieszany przez inne wiejskie dzieciaki, gorzko płakał. Czym zawinił? Poszedł się załatwić w brudę między pasami zaoranej gliniastej ziemi. Tam dostrzegło go czujne oko córki właściciela pola. Gayatri histerycznie krzyczała, że następnym razem ma nie załatwiać swych potrzeb na jej polu. W tamtych czasach wiejskie dzieci musiały załatwiać się przy drodze, czyli w miejscu, gdzie ziemia była bezpańska. W ten sposób wiele z nich ginęło – potraçały je przejeżdżające ciężarówki, zwłaszcza o zmroku lub przy złej widoczności, kiedy była mgła. Jeśli zaś dziecko załatwiło się na terenie posesji, na której pracowało, bito je.

Sampat i jej koledzy nienawidzili Gayatri. Uważali ją za wstrętne bachora.

– Znęcała się nad słabszymi. Cała jej rodzina była z natury kłótniwa. Gayatri przeklinała, używała obraźliwych słów. Ze wszystkimi się kłóciła. Pod moim adresem skierowała na przykład najgorsze wyzwisko w Bundelkhandzie. Nazwała mnie wdową. „Jak mogę być wdową, skoro nawet nie wyszłam za mąż?”, odparłam – przypomina sobie Sampat. – Stroiła do mnie głupie miny. Ja w odpowiedzi gryzłam się w kciuk lub robiłam wielkie oczy.

Ojciec Sampat wybrał się do ojca Gayatri na rozmowę, by poskarżyć się na zachowanie jego córki.

– Mój tata poszedł do ich domu i powiedział im, że dzieci się nie bije – wspomina Sampat.

Interwencja jej ojca obraziła jednak ojca Gayatri i wszystko skończyło się wielką kłótnią.

– Po tej sprzeczce nie pozwalali nam już wchodzić na swoje pola – mówi Sampat.

Kiedy mała Sampat usłyszała, co zaszło, krew się w niej zagotowała. Z wściekłości w jej głowie zaczęły kiełkować najbezcześniejsze pomysły. Zebrała grupę znajomych dzieciaków i przekonała je, by następnego dnia o tej samej porze – kiedy spadkobierczyni gospodarstwa z całą pewnością będzie czujnie patrzeć – wszystkie razem poszły załatwić się na polu. Mimo młodego wieku Sampat wiedziała, że ma potężniejszych wrogów, więc należało ich liczebnie przewyższyć. Nietrudno jej było zyskać poparcie innych dzieciaków – już wtedy miała wielki dar przekonywania i potrafiła przełamywać cudze obawy. Zresztą potrafi to do dziś. Pod jej przywództwem wszystkie dzieciaki przykucnęły za miedzą i wydały z siebie wszystko, co mogły, chichocząc przy tym bez opamiętania.

Gayatri zauważyła przestępców i pospieszyła ku nim z dziką wściekłością na twarzy.

– Ich dom stał całkiem daleko, ale dostrzegła nas bez trudu. Miała ze sobą kij. Biegła i krzyczała: „Czekajcie tylko, już do was idę!”. Ja na to: „To ty czekaj! Zaraz ci pokażemy!” – przypomina sobie Sampat. – Zaczęłyśmy się szamotać. Ona miała długie włosy. Chwycałam za nie i pociągnęłam z całej siły. Dopadliśmy do niej wszyscy i przygnietliśmy do ziemi, po czym całą wysmarowaliśmy gównem. Przypominało to zabawę w błocie. Ja wtarłam jej gówno w usta, taka byłam wściekła. Byłam dzieckiem, ale wtedy robienie takich rzeczy nie wydawało mi się obrzydliwe! Paru chłopców, którzy z nami byli, zaczęło uciekać, kiedy pojawili się bracia Gayatri. Ja do nich: „Trzymajcie się z dala, to bójka między dziewczynami”. Potem nadszedł jej ojciec, zabrał ją i wrzasnął: „Po co się wdawałaś w bójkę?”. Tego dnia mojego ojca nie było, ale wujek wszystko mu opowiedział. „Dobrze postąpiłaś – stwierdził. – Stoczyłaś dziś walkę w słusznej sprawie”. Ludzie myślą, że dziś jestem zacięta, ale powinni byli mnie widzieć jako dziecko! – śmieje się Sampat po opowiedzeniu tej historii.

Teraz, kiedy Sampat jest dorosła, przeciwnicy, z którymi ma do czynienia, są dużo więksi i potężniejsi niż za czasów jej dzieciństwa. Rankiem 14 grudnia, kiedy wybrała się zbadać sprawę Sheelu – dziewczyny oskarżonej o kradzież w domu pośła, w pierwszej kolejności postanowiła stanąć twarzą w twarz z najgroźniejszym goliatem w Bundelkhandzie – z policją. Siły policji w Uttar Pradeś to najliczniejsza w świecie jednostka podlegająca jednemu dowódcy. W oczach wielu jest również największą organizacją przestępczą świata.

– Nie istnieje chyba w kraju druga grupa przestępcza, w której liczba popełnianych przestępstw byłaby choć w niewielkim stopniu zbliżona do liczby przestępstw popełnianych w szeregach organizacji znanej jako Indyjskie Siły Policyjne – doszedł do wniosku zapalczywy sędzia i aktywista A.N. Mulla. Jego słowa zostały szeroko zapamiętane.

– Panuje tu bardzo wysoka korupcja, nakręcana przez polityków. Zwycięzcy wyborów, ci, którzy zostają ministrami, chcą rządzić też w policji. Potrzebują pieniędzy, a policja im je zapewnia. Tak dzieje się w Bundelkhandzie i w całych Indiach. Są tacy, którzy twierdzą, że to tylko kwestia Bundelkhandu, ale ja obserwuję to w całym kraju. W dużych miastach również, nie tylko w małych – dodaje Sampat.

Biorąc pod uwagę skąpe zarobki policjanta, które często wynoszą mniej, niż zarabia zamiatacz ulicy, policja jest szczególnie podatna na korupcję. Powszechna jest praktyka wkupywania się w jej szeregi. Przyszli funkcjonariusze muszą wyłożyć od 100 000 do 500 000 rupii, czyli między 1800 a 9 000 dolarów, aby dostać pracę. Liczą na to, że inwestycja się zwróci, kiedy skromną policyjną pensję uzupełnią łapówkami. Jeśli zaś chętny do pracy w policji wyłoży łapówkę i dostanie się na służbę na którymś z posterunków, w przyszłości musi pozostać lojalny wobec swoich protektorów, którzy załatwili mu pracę.

– To jasne, że policja nie może być neutralna. Albo bez zmrżenia oka wykonujesz wszystkie rozkazy płynące od miejscowych polityków, albo odczuwasz silny nacisk ze strony swego protektora. Taka jest tu rzeczywistość, jeśli chodzi o policję – wyznał jeden z nadinspektorów policji w Uttar Pradeś w czasie wywiadu dla Human Rights Watch.

Mimo swej niekwestionowanej i omal nieograniczonej potęgi policja w Atarze żywi połączone z obawą respekt wobec Sampat – kobiety, która pewnym krokiem wkracza na posterunek i żąda natychmiastowych

wyjaśnień, niczym wychowawczyni wchodząca do klasy pełnej rozwrzeszczanych dzieciaków. Wszyscy w Bundelkhand wiedzą już o Różowym Gangu, a to za sprawą samej Sampat, która wślawiła i siebie, i swą organizację na tym właśnie posterunku. Sprawiała w ten sposób, że najwyżej postawieni członkowie elity politycznej – dynastia Gandhi – wyprostowali plecy i nadstawili uszu.

Drugiego sierpnia 2006, czyli w niecały rok po założeniu Gangu, kiedy Sampat siedziała na patio z Babujim i Lakhanem, odwiedziła ją pewna kobieta. Nazywała się Sushila i była żyjącą w skrajnej nędzy matką ośmiorga dzieci. Szlochając, opowiedziała, że kilka dni wcześniej jej mąż, Bare Lal, pokłócił się z sąsiadem, za co policja pobiła go i zabrała. Został zatrzymany, mimo że nie wniesiono przeciw niemu oskarżenia, a policja nie poinformowała rodziny o jego losach.

Historia opowiedziana przez Sushilę nie zdziwiła Sampat, która interweniowała już w wielu przypadkach bezprawnych zatrzymań. Te szerzyły się w różnych regionach Indii – tam, gdzie miejscowe prawo pozwala policji na aresztowanie na podstawie „uzasadnionego podejrzenia”. Bezpodstawnie aresztowani nie mają w zasadzie żadnego wpływu na swoją sytuację, a funkcjonariusze rzadko stosują wobec nich przepisy prawa. W panującym tu systemie policja może aresztować na podstawie niezliczonych bezpodstawnych zarzutów, wymuszać zeznania, zawyżać koszty aresztowania, jak również uciszać obywateli, którzy mają czelność narzekać na niesprawiedliwe traktowanie. Oto dlaczego Sushila czuła się bezradna wobec nagłego aresztowania męża.

– Chodzę na posterunek, by się z nim zobaczyć, ale policjanci zawsze mnie przepędzają – załamana Sushila skarżyła się owego dnia Sampat. – Jak sama zdołam utrzymać dzieci? Jak je wykarmię? – pytała we łzach.

Po wysłuchaniu całej historii Sampat obiecała iść z Sushilą na posterunek.

– Jeśli nie będą chcieli nas słuchać, pobiję ich własnymi rękami – powiedziała z pełnym przekonaniem, kiedy pokonywały ten nieduży dystans. Sampat często ilustruje swoje obietnice gestem, z dziką zapalczywością okładając ciosami i policzkując wyimaginowanego przeciwnika, po czym wybucha serdecznym, ochryplym śmiechem, od którego na jej policzki wychodzi rumieniec.

W Indiach, by złożyć zażalenie na sposób działania policji, trzeba przeważnie udać się na posterunek osobiście. Infolinie telefoniczne,

udzielające pomocy obywatelom, nie istnieją, a jeśli istnieją, to źle funkcjonują. Wielu przeciętnych Hindusów – a zwłaszcza kobiety – zmuszonych do wizyty w siedzibie policji, wchodzi tam z obawą i w napięciu, a po zmroku – wcale. Jakże często gazety donoszą o przypadkach molestowania seksualnego, gwałtach, a nawet zabójstwach interesantów przez funkcjonariuszy. Ostatnio dużego rozgłosu nabrała sprawa kobiety, twierdzącej, że została zbiorowo zgwałcona przez policjantów, którzy wcześniej zmusili ją do wypicia dużej ilości alkoholu. Na posterunek wybrała się, bo – o ironio losu – zaproponowano jej tam pracę.

Kiedy Sampat z Sushilą, drepczącą za jej plecami, dotarły na miejsce, Sampat podeszła do posterunkowego nazwiskiem Zameer Ul Hassan.

– Czemu pan trzyma jej męża? Albo niech pan mu przedstawi zarzuty, albo go wypuści! – wypaliła z marszu.

Oficer zaczął żądać, by się przedstawiła.

– Co, niby pan nie wie, kim jestem? Jestem Sampat Pal, szefowa Różowego Gangu!

Nie zrobiło to wrażenia na posterunkowym.

– Powiedział, że wielu ludzi tu przychodzi i próbuje zachowywać się jak *netas*, czyli członkowie wpływowych sfer. „Nie myślisz chyba, że mam zamiar cię słuchać” – wspomina jego słowa Sampat. – Jeśli teraz pan nie chce słuchać, to może pan zechce, gdy tu wrócę z setką kobiet uzbrojonych w kije? – spytała zaczepnie Sampat.

– A proszę bardzo, niech pani wraca – odpowiedział niecierpliwie i odesłał je.

Kiedy opuściły posterunek, Sampat poprosiła Sushilę, aby wróciła następnego dnia o jedenastej.

– Wtedy ten człowiek się przekona, kto to taki Sampat Pal – powiedziała rozzłoszczona. Zostawiła Sushilę i pomaszerowała do Uraiya Purvy, gdzie mieszkało wiele członkiń Różowego Gangu z najdłuższym stażem. Uraiya Purva leży stosunkowo blisko biura Sampat. Można tam dojść pieszo. Wystarczy po wyjściu z jej patio skręcić w lewo, po pokonaniu niecałego kilometra przekroczyć most nad kanałem o ciemnozielonej wodzie, w którym kąpią się, piorą i zmywają stalowe naczynia wszyscy ci, którzy nie mają w domu wodociągu. Po następnych kilku kilometrach dochodzi się do otoczonego polami skupiska glinianych chat.



Sampat weszła do chaty Kodii Dai i kazała jej „szybko zwołać resztę”. Kodia natychmiast posłuchała. Pokuśtykała od chaty do chaty, wykrzywionymi, starczymi rękami pukając do drzwi. Kiedy kobiety zebrały się pośrodku wioski, Sampat opowiedziała im historię Sushili.

– Tym razem to przytrafiło się mężowi Sushili, ale następnym może spotkać jedną z was. Dlatego musimy dać im nauczkę – powiedziała z mocą. Kobiety skinęły głowami. Sampat przykazała im stawić się na komisariacie następnego dnia o jedenastej.

– Przyjdźcie w różowych sari i z kijami – poleciła.

Obiecały, że będą.

– Tego dnia na moim patio cisnęła się z setka ludzi – relacjonuje Lakhan, przypominając sobie tłum zebrany przy wejściu do jego domu i wylewający się na ulicę. Prócz członkiń Różowego Gangu z Uraiya Purvy i Gokul Purvy zgromadziło się tam sporo gapiów, przybyły też zaintrygowane zamieszaniem media. Sampat poinformowała dziennikarzy z Sahara Samay TV i gazet: „Hindustan”, „Dainik Jagran” i „Amar Ujala”.

Kiedy wszyscy się zebrali, Sampat wygłosiła przemówienie dla prasy. Stała na tle wymalowanego ręcznie na ścianie sloganu: „Nasza krew zawsze popłynie za prawdę i sprawiedliwość – Różowy Gang”.

– Policja zatrzymała mężczyznę, nie stawiając mu żadnych zarzutów – zagrzmiała Sampat w stronę ściskających notatniki dziennikarzy, po czym wskazała na zaleknioną kobietę i dodała: – A oto jego żona, Sushila.

Sampat wysunęła się przed Sushilę, która miała na sobie ładne sari z wykończonymi złotym brokatem rękawami i złotą kropkę na nosie. Wskazała na ciemny siniak pod lewym okiem kobiety i spytała demonstracyjnie:

– Kto ci go nabił?

Kobieta wyjaśniła, że siniak to pamiątka po szamotaninie z policjantami. Sampat odwróciła się w jej stronę, uniosła kij i powiedziała:

– Nasi urzędnicy nie lubią nas słuchać, prawda? Ale jeśli pójdziemy do nich z *laathi*, to posłuchają!

Wyposażona w sznur („Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać”, powiedziała), spory kij i wypchaną, czarną skórzaną torbę na ramieniu, Sampat na czele około sześćdziesięciu kobiet wyszła na Bisanda Road. Ulica ta stanowi część krajowej drogi szybkiego ruchu numer 71. Bezpośrednio za

nią szło dziesięć kobiet w różowych sari, ze skromnie zakrytymi głowami. Za pierwszą linią ustawił się zaś długi szereg około pięćdziesięciu ubranych zwyczajnie chłopek, które oficjalnie nie były członkiniami Gangu, ale spontanicznie przyłączyły się do protestu.

– Poradzimy sobie z policją! – wykrzyknęła swym ochrypłym głosem Sampat, unosząc pięść w górę. Kobiety w różowych strojach w odpowiedzi podniosły głowy i powtórzyły jej okrzyk.

– Utwórzmy więcej Różowych Gangów! – zawołały.

Hałaśliwy marsz kobiet filmowały kamery telewizji. Mężczyźni przyglądali się wszystkiemu z pobocza: niektórzy śmiali się, inni nie kryli zdziwienia. Zatrzymywali się i obserwowali je wszyscy z wyjątkiem tych, którzy byli zaabsorbowani przepychaniem przez tłum wyjątkowo ciężkich ładunków na wózkach lub rowerach.

Kiedy grupa dotarła przed budynek lokalnego komisariatu, wokół maszerujących kobiet zdążył również zgromadzić się spory tłumek mężczyzn (w Atarze większość przechodniów stanowili mężczyźni, kobiety raczej nie wystawiały nosa z domu). Kobiety zatrzymały się na progu budynku i zawołały:

– Poradzimy sobie z inspektorem Hassanem!

Zwracały się bezpośrednio po nazwisku do komendanta policji, który poprzedniego dnia źle potraktował Sampat i Sushilę.

Przed wejściem do biura Hassana stała prawdziwa zbieranina kobiet. Niektóre, jak Kodia Dai, były sędziwe, z trudem mogły ustać na chudych, ptasich nogach i drżąc, wspierały się na bambusowych kijach. Najbardziej zaangażowane członkinie Gangu stały w pierwszym szeregu. Na ich twarzach malowała się powaga, skandowały też najgłośniej. Spomiędzy tych spoza Gangu przynajmniej jedna protestująca – w jasnozielonym sari – trzymała w ramionach niemowlę, inna była w zaawansowanej ciąży, jeszcze inna miała przy sobie metalowe pudełko z lunchem. Wiele kobiet wyglądało na zmieszane i zawstydzone – uśmiechały się z zażenowaniem, nie wiedząc, jak reagować na całą skupioną na nich uwagę. Inne chichotały i w przerwach między wznoszonymi okrzykami plotkowały ze sobą.

Babuji i Lakhan trzymali się w pewnej odległości za kobietami, a kiedy doszli na miejsce, odsunęli się jeszcze bardziej – żaden z nich nie ośmielił się zbliżyć do terenu komisariatu.

– Sampat kazała wszystkim mężczyznom trzymać się z dala od kobiet –

wspomina Lakhan. Dlaczego? Chodziło o ich własne bezpieczeństwo. – Nie chciała, aby ktoś podniósł rękę na mężczyznę i oskarżył go o spowodowanie zamieszek. Sampat była przekonana, że policja może łatwo spreparować przeciwko nam jakieś zarzuty. Uważała, że same kobiety nie są na nie aż tak narażone. W pobliżu nie ma aresztu dla kobiet, więc zatrzymanie kobiety byłoby dla policji kłopotliwe – wyjaśnia Lakhan. – Policja nie stosuje też wobec kobiet praktyki *laathi* – dodaje, mając na myśli zwyczaj rozpędzania protestujących poprzez okładanie ich bambusowymi pałkami. Zgromadził się spory tłum, który zablokował Bisanda Road. Mieszkańcy budynków po drugiej stronie ulicy pootwierali okna lub powchodzili na płaskie dachy, skąd mieli lepszy widok.

Kobiety weszły na teren posterunku i zatrzymały się przed werandą, pod czerwono-niebieskim szyldem: „POSTERUNEK POLICJI ATARRA – 1960”.

– Uwaga, wszyscy! – krzyknęła Sampat do swej grupy. – Niech nikt się nie boi!

Sama przeszła przez werandę i wkroczyła do wąskiego, ciasnego pokoju, w którym urzędował któryś z policjantów. Za nią ruszył przynajmniej jeden dziennikarz z kamerą, a potem kobiety – tyle, ile zdołało wcisnąć się do środka. Reszta tłoczyła się przed drzwiami.

– Proszę usiąść i czekać na zewnątrz! – rozkazał policjant, ale Sampat go zlekceważyła.

– Nie! Tu usiadziemy! – wrzasnęła. Odwróciła się do kobiet i poinstruowała je: – Siadajcie, siadajcie. – Równocześnie pociągnęła Sushilę i inne kobiety, niepewne, co robić, w dół.

Kiedy wszystkie przykucnęły w zatłoczonym pokoju, zajmując całą powierzchnię podłogi, Sampat odwróciła się do młodego policjanta, oskarżycielskim ruchem wysunęła w jego stronę palec wskazujący i krzyknęła:

– Trzymał pan tu męża tej biednej kobiety przez całą noc. Przyszłam, żeby go zabrać. Co to ma być za sprawiedliwość?

Policjant nie odpowiedział. Sięgnął tylko po trzeszczącą krótkofalówkę i nadał zakodowaną wiadomość do kolegów:

– Delta jeden, Delta jeden, odbiór. – Następnie usiadł sztywno i czekał.

Sampat zdała sobie sprawę, że młody policjant nie jest właściwą osobą do rozmowy. Ciężkim krokiem opuściła więc jego biuro i poszła na spotkanie

z podinspektorem Sanghamem Lalem Singhiem – łysiejącym, wąsatym mężczyzną o pokaźnym, piwnym brzuchu. Siedział on za biurkiem, ustawionym przodem do werandy.

– Takim krzykiem niczego pani nie osiągnie – pouczył Sampat ze swego krzesła i pomachał na nią palcem.

– Nie? W takim razie będziemy krzyczeć głośnie! – odparowała Sampat. – Podnieśmy głos, stanowimy jedno! W jedności siła! – zakrzyknęła do swego skandującego chóru, który wstał i w ślad za nią wyszedł na zewnątrz. Wszystkie kobiety podniosły zaciśnięte pięści i przyłączyły się do buntowniczych okrzyków Sampat.

Policjant, na którego skierowało się już kilka kamer, próbował odzyskać uwagę Sampat i nakłonić ją, by położyła kres żarliwemu skandowaniu, które zakłócało panujący dotąd na posterunku spokój.

– Chodźcie tędy, nie wzbudzajcie zamieszania – powiedział rozdrażniony oficer na widok zbliżającej się Sampat.

– Jak śmieliście aresztować jej męża tak po prostu, bez jej zgody? Macie broń, tak? Co z tego, nie boję się policji. Jesteście normalnymi ludźmi, tak samo jak ja! – krzyczała Sampat, wystukując rytm swej wypowiedzi pięścią o blat biurka, za którym siedział oficer.

Właśnie wtedy Sampat wydało się, że słyszy, jak policjant mruczy pod nosem *haram zadi*, co znaczy drań, sukinsyn.

Oczy jej pociemniały.

– Śmie pan nazywać mnie *haram zadi*? Oszalał pan? – krzyknęła chrapliwym, łamiącym się głosem. Raptownie odwróciła głowę w stronę stojących za jej plecami kobiet i powtórzyła histerycznie: – Nazwał mnie *haram zadi*!

Jej wściekłość rosła z każdą sekundą.

Na posterunku zapanował chaos.

– Przyszłyście tu, aby walczyć... – zaczął podinspektor. Zanim jednak skończył, Sampat z hukiem zamknęła gruby segregator, który przedtem wzięła do rąk, i z całej siły walnęła nim policjanta w głowę. Następnie przekazała segregator w ręce Sushili, która trzymała bambusowy kij Sampat oraz linę, wzięła od niej swój *laathi* i uniosła go wysoko nad głowę tak, że jej łokcie znajdowały się na wysokości skroni. Przyjęła postawę drwala, unoszącego topór, by rozrąbać wielki pień na polana.

– Zaraz, zaraz! – zaprotestował przerażony policjant, zerwał się z miejsca i naparł na biurko oddzielające go od Sampat.

Widząc rozwój wypadków, hałaśliwy tłum zebrany przy wejściu zaczął wiwatować i wznosić okrzyki zagrzewające do walki.

– Tłum gęstniał z każdą chwilą. Nawet gapie zaczęli wchodzić do budynku. Droga była zatarasowana. Ludzie mówili do siebie: „Co się dzieje?”. Nic podobnego dotąd nie miało miejsca. Ja stałem na zewnątrz, w bezpiecznej odległości na wypadek ataku z *laathi*. Ludzie patrzyli z okien i dachów, a na ulicy stało z pięćset osób – opowiada Lakhan.

Na posterunku również wrzało. Sampat z dziko rozwianymi wokół twarzy włosami wydawała chaotyczne komendy. Kobiety ze strachu albo stały jak wmurowane, albo ruszały się jak mucha w smole.

– Związać go! – krzyknęła Sampat do Sushili, która dzierżyła w ramionach zwój liny niczym oślizgłego pytona. Ta, popychana przez napierający z werandy tłum kobiet, zawahała się, usłyszawszy rozkaz. Niepewna, obracała w rękach linę, odwijając ją i zwijając z powrotem, i popatrując po towarzyszkach, czy aby nie znajdzie się chętna do pomocy. Zdecydowanie związywanie policjantów nie było czymś, w czym miała doświadczenie. Żadna z kobiet się jednak nie odważyła. W tym czasie rozgorączkowana Sampat nacierała na zdenerwowanego policjanta – waliła go *laathi* po przedramieniu, które wysunął przed siebie niczym tarczę. W ścisku i zamieszaniu niektórym kobietom potłukły się bransoletki z kolorowego szkła.

– Związać go, związać! – powtórzyła rozkaz Sampat. Jej torebka bujała się zamaszyście z boku na bok. Sushila zebrała całą swą odwagę i z liną w ręku wślizgnęła się za biurko, gdzie stał policjant.

– Co to ma znaczyć? Wynoś się! – burknął do niej.

Speszona Sushila wsunęła się z powrotem w tłum. Większość pozostałych funkcjonariuszy wyszła już ze swych pokojów i zastanawiała się, jakie środki zastosować wobec buntowniczek. Zamęt narastał.

Na zewnątrz również wrzało.

„Różowy Gang związał podinspektora policji!” – podawano sobie z ust do ust. „Widziałam, jak Sampat wymierzyła mu policzek!” – ktoś krzyczał, koloryzując oczywiście przebieg wydarzeń. „Krzyczał: Dość, dość, błagam!” – powtarzali zebrani, zachwyceni wyczynami kobiet. „Przywiązały go sznurem

do krzesła! Sampat kilka razy go uderzyła! Był tam policjant ze strzelbą, ale nic nie robił!” – tak Lakhan zapamiętał relacje podekscytowanych gapiów.

Wtedy właśnie przybył oddział uzbrojonych sił policyjnych wraz z sędzią okręgowym S.C. Sharma oraz oficerem okręgowym T.P. Singhem. Młodszy oficer zawiadomił ich o zamieszkach przez radiotelefon. Znalazłszy się na miejscu, postanowili, że ze względu na rosnący wciąż tłum i zainteresowanie mediów decyzja o aresztowaniu którejs z kobiet byłaby nieroztropna.

„Nawet zebrani na ulicy gapie wznosili okrzyki przeciwko policji” – napisano później w raporcie, uzasadniając podjętą decyzję. Policja obawiała się, że nastąpi coś, co nazwano „pogorszeniem sytuacji w zakresie porządku publicznego i prawa”. Ku zdziwieniu mieszkańców Atarry pozwolono więc kobietom spokojnie wrócić do domów.

Przeciwko Sampat, Sushili Lal i jeszcze jednej członkini Różowego Gangu o tym samym imieniu – Sushila – wszczęto sprawę sądową, postawiwszy każdej jedenaście zarzutów, w tym spowodowanie zamieszek, pobicie funkcjonariusza państwowego na służbie i szantaż. Rok później, kiedy sprawa trafiła wreszcie na salę sądową, Sampat i Sushila spędziły jedną noc w areszcie, ale druga Sushila, żona Barego Lala, nie trafiła za kratki – sędzia przyjął jej wniosek o nieoddalanie jej na noc od ośmiorga dzieci.

Na posterunku Sampat posłużyła się popularną w Indiach techniką protestu, zwaną *gherao*. Polega ona na tym, że zdesperowany tłum, przekonany, że tradycyjnymi metodami nie da się wywalczyć sprawiedliwości, jak również o tym, że o jego sile stanowi jedynie liczebność i wściekłość, otacza winny uchybień urząd lub placówkę państwową – na przykład elektrownię, posterunek policji, uniwersytet, a w przypadku sporów związanych z pracą biuro czy fabrykę – i w ten sposób domaga się sprawiedliwości. W wyniku *gherao* tłum dopuszcza się często przemocy – co jest w narodzie indyjskim na porządku dziennym.

W Indiach przemoc ze strony tłumu może wybuchnąć nagle i bez uprzedzenia. Często dochodzi do niej przy okazji nieszczęśliwych wypadków na drogach. Przechodnie spontanicznie zabijają kierowców, których uważają za winnych. Inną powszechną przyczyną takich incydentów są spory w miejscu pracy. Zdarzały się przypadki, kiedy przemęczeni, wyprowadzeni z równowagi pracownicy poparzyli na śmierć lub zaatakowali stalowymi rurkami kierowników lub kadrowych.

Ataków tych dokonują głównie mężczyźni, choć kobietom również zdarzało się angażować w spontaniczne wymierzanie sprawiedliwości. Jeden z najgłośniejszych takich ataków miał miejsce w sierpniu 2004 roku, kiedy to tłum około 200 kobiet brutalnie i śmiertelnie pobił Akku Yadava – seryjnego gwałciela i mordercę. Zdarzenie miało miejsce w budynku sądu okręgowego. W ciągu zaledwie piętnastu minut Yadav otrzymał siedemdziesiąt ciosów nożem, a jedna z jego rzekomych ofiar za pomocą noża do obierania warzyw odcięła mu penis. Wszystkie kobiety pochodziły ze slumsu Kasturba Nagar, gdzie Yadav i jego gang dokonywali podobno napaści, mordów i gwałtów, przez ponad dziesięć lat nękając mieszkańców – wszystko to przy pełnej zgodzie policji, która, jak twierdzili mieszkańcy, działała na korzyść przestępców. Po zamordowaniu Yadava kobiety zbiorowo przyznały się do winy, w związku z czym sfrustrowana policja nie mogła wysunąć oskarżenia przeciwko konkretnej osobie.

Mimo że *gherao* i protesty z użyciem przemocy zdarzały się w Indiach często, szeroko nagłośnione wystąpienie Sampat bezpośrednio przeciw policji mogło oznaczać koniec Różowego Gangu. Prócz kosztów emocjonalnych, jakie poniosły same kobiety biorące udział w akcji, zupełnie nieprzygotowane na przebieg zdarzeń, Sampat ryzykowała, że znajdzie się pod obserwacją policji lub że zostaną przeciw niej wysunięte poważniejsze oskarżenia. Po proteście na posterunku okazało się też, że doszło do swego rodzaju dezercji. Przede wszystkim Sushila Lal – główna bohaterka i beneficjentka całego wydarzenia – kiedy policja przyszła ją aresztować, zaprzeczyła, jakoby w ogóle brała udział w całym zajściu. Uczyniła to mimo szeregu nagrań wideo oraz zeznań świadków, w tym policjantów, że była obecna.

– Słaba z niej kobieta. – Sampat wzruszyła ramionami. – Potem znowu zwróciła się do mnie o pomoc. Czy to się komuś mieści w głowie? Inne kobiety twierdziły, że za to, jak postąpiła, nie powinniśmy jej pomagać. Ja uważałam, że nie musimy przyjmować jej z powrotem do Gangu, ale pomóc – musimy. Tak też zrobiliśmy.

Zamiast publicznie potępić Sampat, politycy, dziennikarze i duża część społeczeństwa poparła jednak i ją, i Różowy Gang. „Hindustan Times” – gazeta anglojęzyczna – napisał, że jej grupa „odegrała kluczową rolę w podniesieniu statusu kobiet”. Najpoważniejsza zachęta do dalszego działania nadeszła jednak od potężnej indyjskiej partii politycznej, rządzącej

krajem w zasadzie od czasów odzyskania przez Indie niepodległości – Indyjskiego Kongresu Narodowego. Ówczesny sekretarz Wszechindyjskiego Komitetu IKN, dr Bholá Pandey, skontaktował się z Sampat niedługo po jej konfrontacji z policją w Atarze.

– Chciał wiedzieć, kim jest kobieta, która odważyła się podnieść rękę na policjanta – domyśla się Sampat. – Powiedział, że podoba im się to, co robię.

Dr Pandey zachęcił Sampat do udziału w lokalnych wydarzeniach związanych z działalnością Indyjskiego Kongresu Narodowego. Zaprosił ją też na spotkanie licznej delegacji działaczy społecznych z Sonią Gandhi – prezesem Kongresu, które miało odbyć się w domu pani polityk. W 2007 roku dr Pandey zapewnił Sampat, że umożliwi jej start w wyborach do zgromadzenia ustawodawczego Uttar Pradeś z ramienia Kongresu. Nie wywiązał się jednak z danego słowa.

– Bholá Pandey powiedział, że załatwi mi miejsce na liście wyborczej, ale nie zdołał – przypomina sobie Sampat.

Sampat nie żywi do niego urazy, że nie dotrzymał obietnicy, złożonej wszak nieformalnie i bez żadnych gwarancji.

– Nawet o tym nie wspomniałam. Nie umieścili mnie na liście wyborczej, więc uznałam, że nie powinnam się upominać, bo jeśli to zrobię, okażę swoją słabość. Nie pytałam więc. Oni nie dali, a ja nie wzięłam. Nawet na nich nie naciskałam – mówi.

Rankiem 14 grudnia 2010 roku Sampat wkroczyła na posterunek policji w Atarze jak do własnego domu – krokiem zdecydowanym i celowym, jaskrawo różnym od postawy większości obywateli, którym przyszło tu zaglądać. Przeciętny Hindus z niskiej kasty zwraca się do funkcjonariusza policji tonem służalczym i błagalnym. Często wykonuje pokłon, by dotknąć jego stopy (na powitanie, a potem, dla dobra sprawy, również na pożegnanie), a podczas pospiesznej rozmowy składa ręce jak do modlitwy i kiwa głową z przesadną wdzięcznością, że w ogóle został wysłuchany. Od policjanta, do którego petent zwraca się w ten sposób, przeważnie bije samozadowolenie i pogarda. Nie wstaje zza biurka, celowo okazując znudzenie lub nieuwagę – ogląda sobie paznokcie, strzepuje pyłki z koszuli lub drapie się po twarzy. Sampat nigdy nie daje policjantom okazji do takiego zachowania.

Tego dnia Sampat udała się na policję, by dowiedzieć się czegoś więcej o niezwyklej kradzieży dokonanej w domu Dwivediego. Poszła prosto do biura oficera okręgowego nazwiskiem Rajendra Yadav. Był to gładko ogolony



mężczyzna w średnim wieku, z włosami po bokach przystrzyżonymi prawie do skóry – tak, że pozostał tylko srebrzystoczarny meszek. Z surowym, wojskowym wyglądem oficera kontrastowały jego miękkie, okrągłe policzki i pełne, kształtne usta, wciąż gotowe do uśmiechu. Tego dnia miał na sobie koszulę koloru khaki z trzema srebrnymi gwiazdkami, oznaczającymi stopień, na naramiennikach. Dotąd, za każdym razem, kiedy Sampat miała z nim do czynienia, okazywał się przyjazny, uczciwy i pomocny.

– To dobry człowiek. Nie jesteśmy przyjaciółmi, bo nie przyjaźnię się z policją – ale jest dobrym człowiekiem – przyznaje Sampat.

Sampat po raz pierwszy zgłosiła się do niego w sprawie rzekomego gwałtu, o który jej petentka posądzała pewnego mężczyznę. Nie było wątpliwości, że jest niewinny – w czasie, gdy popełniono przestępstwo, znajdował się w zupełnie innym miejscu. Sampat czuła, że kobieta chce go zrobić. Przedstawiła jednak dowody oficerowi okręgowemu, który rzeczywiście doszedł do wniosku, że mężczyzna nie popełnił zarzucanego mu czynu. Kiedy jednak chciał go zwolnić z aresztu, ówczesny nadinspektor kazał mu zostawić tę sprawę.

– Prawdopodobnie został przekupiony – prycha Sampat.

Oficer okręgowy nie uległ jednak presji ze strony szefa i uwolnił niewinnego, czym zyskał sobie wielki szacunek Sampat.

Tego grudniowego poranka Yadav kazał młodszemu rangą funkcjonariuszowi podać dwie filiżanki świeżo zaparzonej kawy – dla siebie i dla Sampat. W przeciwieństwie do większości obywateli Sampat w towarzystwie policjanta zachowuje się swobodnie. Przy każdej wizycie na posterunku z wielką pewnością siebie zasiada w fotelu (często po turecku, żeby było jej wygodnie) i we właściwy sobie ożywiony sposób zaczyna niezobowiązującą, towarzyską pogawędkę na temat bieżących wydarzeń, niewłaściwych poczynań polityków, skandali. Ogólnie rzecz biorąc, to ona nadaje kierunek rozmowie. Tym razem jednak przeszła prosto do sedna.

– Co to za historia z tym posłem? – wystrzebiła, kiedy tylko usiadła. – Znaleźliście już skradzione przedmioty? Strzelbę? Telefon?

Stwierdziła, że Yadav, dowiedziawszy się, po co przyszła, bardzo się usztywnił. Siedział wyprostowany za całkowicie pustym biurkiem. Indyjska policja boryka się z potężnym niedofinansowaniem, w związku z czym na wielu posterunkach brakuje nawet najprostszych materiałów piśmiennych. Jeśli trzeba napisać raport, oczekuje się, że papieru dostarczy petent.

Zanim Yadav odpowiedział na jej pytania, zawahał się. Po namyśle rzekł, że nie on prowadzi tę sprawę – odpowiada za nią Radhe Syam Shukla – podinspektor, z którym Sampat powinna na ten temat rozmawiać. Wymawiając nazwisko „Shukla”, znacząco uniósł brwi. Sampat nie musiała się domyślać dlaczego – z doświadczenia wiedziała, że to nazwisko nie wróży niczego dobrego.

\*

Powiedzieć, że Sampat i Shukla byli w nie najlepszych stosunkach, to za mało. W 2006 roku podinspektor Shukla aresztował właściciela budynku, w którym Sampat wynajmowała biuro, zarzucając mu rzekome morderstwo. Lakhani nie miał wątpliwości co do rzeczywistego powodu oskarżenia. Była nim pomoc, jakiej udzielił Sampat w ujawnieniu skandalu dotyczącego punktów dystrybucji żywności, tak zwanych *kohedar*, które nielegalnie, na czarnym rynku sprzedawały rządowe zboże przeznaczone dla ludności żyjącej w skrajnym ubóstwie.

Zgodnie z danymi przedstawionymi przez agencję informacyjną Bloomberg News, która w 2012 roku opublikowała długi raport na temat tego skandalu, skorumpowani politycy w Uttar Prades w ciągu ostatnich dziesięciu lat zrabowali 14,5 miliarda dolarów w żywności przeznaczonej na pomoc dla najuboższych. Indie prowadzą największy w świecie program rozdawania żywności, choć w większości przypadków jedzenie to nie trafia wcale na stoły biednych i głodnych. Działania Sampat, skierowane przeciw skorumpowanym dystrybutorom żywności w Atarze, trwały kilkanaście tygodni. Wraz z innymi członkiniami Różowego Gangu Sampat zebrała informacje dotyczące potajemnego przekazywania zboża z magazynów rządowych w ręce prywatne. Co więcej, dwukrotnie udało jej się zatrzymać ciężarówkę przewożącą skradzioną żywność i wtargnąć do domu właściciela punktu wydawania żywności, który ukrywał skradzione zboże. Długi łańcuch korupcji obejmował siły policji, urzędników opieki społecznej i programu pomocy żywnościowej oraz polityków, a tony zboża co roku znikwały bez wieści. Dopiero Gang Różowego Sari odważył się wtrącić w ten lukratywny biznes i zdemaskować parę nazwisk. Dlatego wysłano Shukłę, aby przekonał Lakhana, by ten „okiełznał” trochę Sampat.

Kto nasłał Shukłę, nie jest do końca jasne, ale można śmiało przyjąć, że podinspektorowi zapłacili politycy lub właściciele przedsiębiorstw – tak samo

jak wielu innym policjantom. Shukla zmusił Lakhana, by ten wymówił Sampat lokal i sprawił, by zarzuciła dochodzenia w sprawie kradzieży żywności na wielką skalę. Kiedy Lakhan odmówił, Sukhla ostrzegł go, że za ten błąd zapłaci. Parę miesięcy później policja aresztowała go pod zarzutem zamordowania biznesmena na stacji kolejowej w Atarze. Ostatecznie został zwolniony z powodu niewystarczającego materiału dowodowego, ale cień oskarżenia wisi nad nim do dziś.

Tego grudniowego poranka Radhe Shyam Shukla miał na sobie jasnozielony filcowy beret, na którym widniały czerwono-niebieskie insygnia policji Uttar Pradeś. Ten siwiejący oficer z workami pod oczami powiedział Sampat, że nie ma dla niej czasu.

– Jestem zajęty, proszę przyjść kiedy indziej – rzekł i odprowadził Sampat do wyjścia.

– Może pan mnie odesłać, ale niech pan posłucha, ja tu wrócę – ostrzegła i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Odprawiona przez Shukłę wróciła do biura Yadava, żądając odpowiedzi na pytania.

– Powiedział mi: Sampat-ji... to bardzo trudna sprawa. Nie chcę być w nią wmieszany – przypomina sobie Sampat. – Ja na to: „Nie chce pan być wmieszany?”. A myśli pan, że ja chcę? Myśli pan, że ta dziewczyna chce? To pan jest policją. To wy ją zamknęliście. Jak to możliwe, żeby sprawa była dla pana trudna?

Yadav upierał się, że tak właśnie rzeczy się mają i że „z góry jest duży nacisk”.

Sampat żądała więcej szczegółów.

– Po cichutku przyznał, że oskarżenie o kradzież jest fałszywe... Że Shukla robi wszystko, co mu każą, że zgłosił ten przypadek i że wykonuje ich rozkazy... Powiedział, że wchodzi w grę znacznie większe siły... Yadav mówił, że bym nic nie robiła, bo wpadnę w tarapaty.

Yadav nie przesadzał. Biorąc pod uwagę systemowy sposób, w jaki politycy naciskali w przeszłości na Indyjskie Siły Policyjne, nie można było mieć nadziei, by policja sprawiedliwie rozstrzygnęła sprawę. Oficerów wykonujących rozkazy polityków często przenoszono do innych placówek – tak często, że sekretarz ministerstwa spraw wewnętrznych Indii G.K. Pillai w wywiadzie dla „Tehelka”, indyjskiego czasopisma zajmującego się dziennikarstwem śledczym, powiedział, że „przeciętny czas służby

podinspektora w jednej placówce na terenie Uttar Pradeś to niecałe dwa miesiące”.

Świadomość ta nie zmieniła jednak stosunku Sampat wobec Yadava.

– Może ciebie też przekupili, żebyś milczał – wypaliła.

– Powiedział mi: Sampat-ji, to nie tak. Muszę myśleć o swojej pracy. Zwolnię mnie, jeśli się im sprzeciwię.

– Jeśli to prawda, to utrata pracy jest chyba bardziej szlachetna niż korupcja – odparowała Sampat.

Yadav milczał, a potem powiedział:

– Nie będę mógł zrobić nic, żeby pomóc Sheelu. Ani ja, ani żaden inny oficer. Jeśli ktoś może coś zrobić, to tylko ty.

Sampat jedynie potrząsnęła głową, rozczarowana jego tchórzostwem.

– Nie ma w tobie za grosz odwagi – powiedziała szorstko, odwróciła się na pięcie i wymaszerowała.

Wizyta na komisariacie utwierdziła Sampat w przypuszczeniach, że oskarżenie o kradzież w domu Dwivediego jest bezpodstawne. Nie było to dla niej niespodzianką.

– Nigdy się nie mylę – mówi nonszalancko, jakby jej instynkt był kompasem, który nigdy nie zawodzi.

W przeciwieństwie do oficerów policji Sampat nie dawała się zastraszyć politykom, którzy w Uttar Pradeś okryci są złą sławą gangsterów. Indyjskie kino często przedstawia ich jako łajdaków z pękatymi brzuchami i tłustymi włosami, w ciemnych okularach i z wysadzanymi drogimi kamieniami złotymi pierścieniami. W rzeczywistości, tak samo jak w filmie, często otaczają się uzbrojonymi gorylami, również w ciemnych okularach. Ci jeżdżą po ich okręgach wyborczych z karabinami wystawionymi przez okna samochodów, a po zwycięstwie wyborczym – strzelają w powietrze, co skutkuje postrzałami i ofiarami śmiertelnymi wśród przechodniów. Są i politycy, którzy wjeżdżają konno, na oklep, na stacje kolejowe, gdzie na zatłoczonych peronach agitują ludzi, by na nich głosowali, skutecznie unieruchamiając wszystko dokoła aż do chwili, gdy do ludzi dotrze ich złowieszczy slogan wyborczy.

– Kto może być gorszym bandytą niż ten, który włada prawem? Wiedziałaś kiedyś, żeby Centralne Biuro Śledcze wymierzyło sprawiedliwość na korzyść biedaka? Co dzień zdarza się tyle różnych incydentów. Tylu ludzi umiera. Wielu w strasznym bólu. Politycy wychodzą czyści z największych skandali. A najgrubszą rybą jest poseł. Nie ma ważniejszej osoby. Poseł to

największy bandzior z największą kasą. Ma pięć młocarni i sześć mafii. To dopiero wielki człowiek. Może sobie kupić dwie lub trzy wioski. Nie ma potężniejszych od niego. Na drugim miejscu jest Sonia Gandhi lub rząd Uttar Pradeś albo rząd centralny – powiedziała raz Sampat i wielu by się z nią zgodziło.

Sytuacja osiągnęła stan krytyczny w latach 2002–2007, czyli w okresie, kiedy Sampat stworzyła Różowy Gang. W tym czasie w Uttar Pradeś rządziła partia Samajwadi. Mniej więcej połowa kandydujących w wyborach z jej ramienia była skazana wyrokiem sądu za popełnienie przestępstwa lub toczyło się przeciwko niej postępowanie sądowe. Tradycja przestępcza w partii Samajwadi, którą kierował były zapaśnik, ugruntowała się w całym stanie. W Uttar Pradeś nastąpiła mroczna era zwana Goonda Raj – panowanie gangsterów. Babuji wyjaśnia:

– Uderz mnie czterokrotnie i zabierz mi pieniądze – to właśnie Goonda Raj. Wyrzuc mnie z domu – to Goonda Raj. Zgwałć moją córkę – to Goonda Raj. Przemoc fizyczna i nadużywanie władzy – to wszystko Goonda Raj.

Ministrowie z partii rządzącej nie zrobili nic lub prawie nic, by powstrzymać całkowitą samowolę, w którą zmieniły się jej rządy. Jeden powiedział nawet:

– O ile ciężko pracujesz i wykonujesz swoją robotę, możesz nawet trochę kraść.

W czasie Goonda Raj niektórzy z tak zwanych polityków, inaczej – gangsterów prowadzili kampanię wyborczą zza kratki, a po wygranej – reprezentowali swój okręg wyborczy z więzienia. Wyrok nie przeszkadzał bynajmniej politykom *goonda* – podobnie jak potężnym szefom mafii – prowadzić ciemnych interesów tak jak zwykle. Pewien poseł, odbywający karę więzienia za zabójstwo kochanki, nieustannie kursował między celą a jednoosobową salą w szpitalu, gdzie otaczał go tłum wiernych wielbicieli i gdzie spędzał czas z żoną, zajadając domowe jedzenie. „Więzienie to miejsce, do którego politycy z Uttar Pradeś udają się na wypoczynek”, zauważyła jedna z gazet. Politycy zamknięci w zakładach karnych i oczekujący na wyrok mogli ponownie ubiegać się o stanowisko. W obciążonych zaległościami indyjskich sądach sprawy karne mogą ciągnąć się nawet piętnaście lat.

Na ironię losu jednym z powodów, dla których wielu wyborców w największym państwie demokratycznym świata decyduje się głosować na

bandziorów, jest potrzeba bezpieczeństwa. Ludzie uważają, że pod rządami głowy mafii będą otoczeni specjalną ochroną. Drugi powód to korupcja.

– Dobry człowiek nigdy nie wygra tu wyborów. Ludzie to głupcy: interesują ich tylko pieniądze i alkohol. Politycy w zamian za głosy zapewniają jedno i drugie. Takie mamy społeczeństwo – ubolewa Sampat i dodaje: – Ani rząd nie chce nic zmienić, ani ludzie. Nie możemy jednak winić za to tylko rządu. W demokratycznym państwie ludzie sami wybierają władze. U nas wszyscy głosują na tego, kto im proponuje alkohol. Ci, co rozdają alkohol, wygrywają i jadą do Delhi, a reszta zostaje w wioskach i żyje jak psy. Korupcja jest coraz gorsza.

W przeszłości Sampat stawiała już w szranki ze znacznie potężniejszymi niż Dwivedi politykami *goonda*. Z jednym z nich rywalizowała nawet w lokalnych wyborach. W roku 2007 dr Bholá Pandey, ówczesny sekretarz Wszechindyjskiego Komitetu NKI, nie dotrzymał obietnicy, że załatwi Sampat mandat z ramienia swej partii. Ona sama pożegnała się już z nadzieją startu w wyborach, kiedy rozeszły się wieści, że Piyaria Patel – matka Ambiki Patela, przestępcy czystej wody, będzie ubiegać się o miejsce w zgromadzeniu ustawodawczym stanu. Wszyscy rozumieli, że była tylko figurantką, a w razie zwycięstwa u władzy znalazłby się w rzeczywistości jej syn, nazywany również Thokia, co pochodzi od hinduskiego *thokna* – uderzyć. W Indiach często zdarza się, że wpływowi mieszkańcy wsi podstawiają marionetkowych kandydatów, zwłaszcza od czasu wprowadzenia polityki pozytywnego działania, w ramach której stanowisko sołtysa, czyli *pradhana*, zarezerwowane jest dla kandydata z niższej kasty lub dla kobiety. Na tym tle dochodzi do częstych nadużyć – znane są niezliczone przypadki, kiedy za rzeczywistego kandydata podstawiono jego żonę czy nawet kogoś ze służby.

– W wioskach panował strach przed Thokią – wspomina Sampat. – Groził, że jeśli jego matka nie wygra wyborów, będzie zabijał mieszkańców i palił domy. Ludzie byli przerażeni.

Thokia był nieuchwytną postacią w rodzaju Robin Hooda. Legenda głosi, że zszedł na złą drogę, nie doczekawszy się sprawiedliwości wobec przestępcy, który brutalnie zgwałcił jego siostrę. Thokia, który ukrywał się od 2001 roku, znany był z napadów na bogatych właścicieli ziemskich. Wyższe klasy bały się go śmiertelnie. Choć, jak mówią, miał na koncie sto czterdzieści siedem wyroków sądowych, w tym za rabunki, porwanie, wyłudzenie i morderstwo,

biedota uwielbiała go i podobno pomagała mu ukrywać się przed policją w odległych wąwozach i przepastnej dżungli. Na liście jego zasług znajdowało się rozwiązywanie konfliktów w wioskach i finansowanie ślubów w biednych rodzinach.

Matka Thokii kandydowała z ramienia Rashtriya Lok Dal – Narodowej Partii Ludowej – ugrupowania lewicowego, dawniej socjalistycznego, które określa się jako obrońca biedoty i najniższych kast, nieposiadających ziemi rolnej. Jego slogan wyborczy, widniejący na plakatach wyborczych pod obrazkiem pompy ręcznej – symbolem partii – zawierał jawną groźbę: „Jeśli chcesz żyć spokojnie, głosuj na Narodową Partię Ludową”. Wejście matki bandyty do sfery rządzącej nie wróżyło oczywiście niczego innego, jak zaprzeczenie spokoju.

– To straszne, że w naszym kraju ludzie muszą grozić innym, by zyskać ich poparcie. Jak dotąd nie czerpiemy radości z tego, że jesteśmy państwem niepodległym – mówi Sampat.

Sampat żywiła poważne obawy, co się stanie z i tak już mocno zachwianym porządkiem i prawem, jeśli do władzy dojdzie pełnomocniczka przestępcy. Stan od pięciu już lat żył pod rządami Goonda Raj, gdy u władzy była partia Samajwadi. Gdyby najwyższe stanowiska mieli ponownie objąć prominentni przestępcy, oznaczałoby to, że prawo znajdzie się w rękach zbirów. Pod ich rządami nikt zaś nie będzie czuł się bezpieczny.

– Wyobraźcie sobie, do czego by to doprowadziło, gdyby władzę mieli przejąć bandyci? Ludzie uznaliby to za normalne i następnym razem przestępcy zebraliby jeszcze więcej głosów – twierdzi Sampat.

Stosowane przez gang Thokii metody dawały przedsmak tego, jak będzie wyglądać życie pod jego rządami. Same członkinie Gangu ostrzegały przed potwornymi krzywdami, jakie wyrządzał wieśniakom. Jedna z nich, Munki, mieszkanka Panchampur – małej osady w okręgu wyborczym Naraini – pewnego razu przyszła do Sampat zapłakana. Ludzie Thokii co dzień rano bili jej syna, zmuszając go, by zagłosował na matkę bandyty. Grozili, że jeśli tego nie zrobi, nigdy więcej nie zobaczy swojej rodziny.

Sampat w towarzystwie miejscowych członkiń Gangu, Lakhana i Babujiego udała się do Panchampur, by zbadać sprawę. Okazało się, że pogróżki i nadużycia ze strony ludzi Thokii są tam na porządku dziennym.

– Nie chodziło tylko o rodzinę Munki. Szantażował całą wioskę. Poszłam tam, zwołałam ludzi i spytałam ich, czemu tak bardzo obawiają się Thokii.

Odpowiedzieli: „*Didi* – co jest pełnym szacunku zwrotem do starszej siostry – mieszkamy w dżungli, więc nocą on może nam zrobić, co chce. Nie zagląda tu policja, nikt się o nas nie troszczy, dlatego tak się boimy. To są obszary leśne. Nie mamy szkoły, jesteśmy odcięci od reszty świata przez rzekę... tyle mamy trudności. W pobliżu nie ma posterunku policji, a ludzie tu nie są skorzy, by sobie nawzajem pomagać”. Wielu ludzi zmuszał, żeby dla niego pracowali, ale nie wszyscy narzekali, tylko Munni. Ale zawsze, kiedy byłam w ich wiosce, pytali mnie: „*Didi*, co my mamy robić? Jeśli na niego nie zagłosujemy, pozabija nas”. Ich strach napędzała plotka, że Thokia będzie wiedział, kto na kogo głosował. Tłumaczyłam im, że karty do głosowania wrzuca się do urny, że prócz głosującego nikt ich nie widzi, więc nikt nie może widzieć, na kogo zagłosowali. Potwornie ich zastraszył. Do tego stopnia, że wmówił im, że są tam kamery monitoringu, więc jeśli zagłosujesz na kogo innego, aresztuje cię policja. Ludzie bali się straszliwie. Ja im tłumaczyłam, jak jest naprawdę, zapewniałam, że nie ma tam żadnych kamer i że śmiało można przeciwko niemu głosować. Że to bandzior i że zabija ludzi.

Po wizycie w Panchampurze – kiedy zobaczyła strach tamtejszych wieśniaków – Sampat postanowiła startować w wyborach jako niezależna kandydatka. Za swą jedyną misję uważała pokonanie matki Thokii Patela.

– Nie miałam zamiaru kontestować wyborów. Nie miałam nawet na to pieniędzy, ale dręczyło mnie to, że jeśli ludzie dalej będą tak bardzo bać się tych bandytów, gotowi są stać się ich niewolnikami. Zwołałam więc kobiety z wioski, urządziłam zebranie i powiedziałam im, że zostaną niewolnikami i że ci bandyci nie przestaną ich zabijać. Grube ryby pozajmują wysokie stanowiska, a biedni ludzie będą dalej cierpieć. Dlatego nie możemy pozwolić im wygrać wyborów – relacjonuje Sampat. – Kobiety powiedziały: „Chodźmy wszystkie razem”. Ja na to: „Chodźmy”. Nadałyśmy sprawie rozgłos, pogadałyśmy z ludźmi, poprosiłyśmy ich o wsparcie. W głównej mierze namawiałyśmy do tego, by przy głosowaniu nie kierowali się strachem.

Sampat wybrała sobie dość kontrowersyjny symbol wyborczy – kij. Podczas kampanii wyborczej wszystkie mury w Naraini oklejone były plakatami z symbolami politycznymi poszczególnych kandydatów. Każdy z nich miał przemawiać do marzeń, aspiracji i tożsamości głosującego. Znaki innych partii to: latawiec, nożyczki, szklany kufel, samolot, maszyna do szycia, banan, słoń, regał, topór, pierścień i kwiat lotosu.



Na wypadek, gdyby ludzie nie zrozumieli, co ma symbolizować kij, Sampat napisała im to w jednym ze swych odważnych sloganów, o których w wiosce długo nie przestało być głośno.

*Mera chunao chinh chhadi*

*Aur Sampat Pal majdan mein khadi*

*Agar Thokia karega gadbadi*

*Toh marni pardi chhadi*

Mój symbol wyborczy to kij  
Bo Sampat Pal stoi gotowa do walki.  
Jeśli Thokia będzie sprawiał kłopoty,  
Dostanie od niej kijem.

Wojownicze zapędy Sampat potęgował fakt, że jej praca z Różowym Gangiem okryła się już sławą.

– Kiedy przybyłam do wioski, kobiety wyległy z chat i wołały: „*Didi* przyszła, *didi* do nas przyszła”. Wszystkie wiedziały, jak mam na imię. Dzięki gazetom wszyscy mnie znają.

Sampat oczywiście nie spodziewała się wygranej. Nie miała przecież szans w porównaniu z partiami rozdającymi na lewo i prawo gotówkę, wygłaszającymi pełne obietnic przemówienia przy dźwięku fanfar. Wiadomo przecież, że kandydaci, by zyskać poparcie, na równi z groźbami stosowali też przekupstwo. Wielu głosujących uważa, że czas wyborów to jedyna okazja, by wycisnąć coś od polityków. Nie mieli więc zamiaru zrezygnować z wielu proponowanych im korzyści na rzecz Sampat, która nie oferowała niczego.

Sampat miała nadzieję, że skoro ma wspólny elektorat z matką Thokii, zdoła sprawić, że głosy podzielą się i przeciwniczka nie wygra. Liczyła też na to, że na skutek jej otwartej kampanii wyborczej wieśniacy nie zagłosują na matkę Thokii tylko i wyłącznie dlatego, że się go boją.

Zdarzało się tak, że *pradhani*, których poznała podczas kampanii wyborczej, nakłaniali ją, by nie występowała jako przeciwniczka Thokii (tylko niektórzy wymieniali Piyarię jako jej rzeczywistą rywalkę, choć to jej nazwisko, nie nazwisko jej syna, widniało na liście wyborczej) lub by wręcz przyłączyła się do „jego” kampanii. Pewien *pradhan* z Naugawan zaprosił ją do siebie na herbatę i powiedział:

– *Didi*, zrób jedną rzecz: albo udziel Thokii poparcia, albo przyjmij jego poparcie – wspomina Sampat.

*Pradhan* powiedział jej nawet, że Thokia chce poznać ją osobiście.

– Odparłam, że ja za to w ogóle nie chcę go poznać. Nie startuję w wyborach po to, by wygrać lub przegrać. Robię to, by dodać ludziom pewności siebie i uświadomić im, że nie powinni głosować na kogoś tylko dlatego, że się go boją. Dlatego zdecydowałam się na udział w wyborach. Nie poprę go, bo jest złym człowiekiem. Potem policja będzie mnie torturować. Nie chcę go popierać i nie chcę jego poparcia, bo to niedobry człowiek.

Prócz prowadzenia aktywnej kampanii wyborczej *Sampat* usiłowała równocześnie ograniczyć strach, jaki Thokia Patel siał wśród mieszkańców wiosek wokół *Naraini*. Składała skargi na policji, cytując groźby, jakie stosował wobec ludzi z *Panchampur*, i żądała interwencji.

– Donosiłam policji, że grozi ludziom, bije ich, pali ich domy. Złożyłam pisemną prośbę, by policja zatrzymywała należące do niego pojazdy. Podpisałam się pod tym własnym nazwiskiem – mówi *Sampat*, wyjaśniając, że nikt inny nie odważył się złożyć skargi na policji we własnym imieniu. Jej działania przyniosły efekt.

– Z pomocą policji udało mi się wstrzymać jego propagandystów. Policja zatrzymała ich pojazdy i spytała, dlaczego grożą ludziom i ich szantażują, żeby zyskać ich poparcie w wyborach – wspomina *Sampat*. Dwudniowa przerwa w agitacji wyborczej Thokii okazała się poważną wyrwą dla jego kampanii. Po raz pierwszy *Sampat* miała nadzieję, że jego podstawiona kandydatka, *Piyaria Patel*, przegra.

Pewnego upalnego dnia pod koniec kwietnia w *Naraini* odbyło się długo wyczekiwane głosowanie. Należało wskazać jednego z szesnastu kandydatów. Całe państwo dokładnie przyglądało się wyborom do zgromadzenia ustawodawczego *Uttar Pradeś*. Wszyscy byli ciekawi, czy *Goonda Raj* znowu przejmie rządu w tym ogromnym, gęsto zaludnionym stanie.

Kiedy dwa tygodnie później podliczano głosy, obie przeciwniczki – *Sampat* i matka Thokii, *Piyaria* – były jedynymi kobietami wśród kandydatów oczekujących na ogłoszenie wyników.

– Przyglądałyśmy się sobie nawzajem. Wiedziałam, że to musi być *Piyaria*, ale ona nie wiedziała, że ja to ja, bo nigdy nie pokazywała się publicznie ani nie brała udziału w kampanii. Spytała, skąd jestem. Odparłam, że nazywam się *Sampat Pal*. Wtedy spytała mnie: „Też bierze pani udział w wyborach?”. Potwierdziłam. Spytała: „A jaki ma pani symbol wyborczy?”.

Odpowiedziałam, że kij. Wtedy dopierodowiedziała się, że rozmawia ze swoją przeciwniczką. Kobiety traktowały się z wzajemną podejrzliwością. Spytała, czy jadłam już lunch. Ja na to, że nie będę jadła. Poczęstowała mnie paroma orzechami, ale ich nie tknęłam. Trzymałam je tylko w ręku. Ona zaś jadła i spytała, czemu nie jem, więc odparłam, że zjem je później, ale je wyrzuciłam.

Dlaczego Sampat odrzuciła poczęstunek?

– Ponieważ z serca nienawidziłam tej kobiety. Pomyślałam, że kupiła te orzechy za pieniądze pochodzące z korupcji. Wewnętrzny głos nie pozwalał mi przyjąć jedzenia od kogoś takiego, niezależnie od tego, jak bardzo próbowałyby mi się przypodobać.

Kobiety przyglądały się sobie z bliska przez cały czas liczenia głosów.

– Była dumna, że ma nade mną przewagę, ponieważ gdy ona miała tysiąc głosów, to ja, tylko sto – mówi Sampat. Gdy ogłoszono wyniki, okazało się, że na matkę Thokii zagłosowało 27 251 osób. Nie wygrała jednak. Była druga, posłem został Purushottam Naresh Dwivedi, ten sam, który później posądził Sheelu o kradzież. Miał nad nią przewagę 4443 głosów. Dla porównania, na Sampat głosowało niecałe 3000 osób. Ona sama nie kryła jednak zadowolenia. Wiedziała, że gdyby nie startowała, głosy te przeszłyby z pewnością na korzyść Piyarii. Sampat uważa też, że gdyby nie jej wielokrotne odwiedziny u wieśniaków i zachęty, by nie dawali się zastraszyć bandytom, znacznie więcej osób oddałoby głos na Piyarię.

– Wygrałby, gdybym się nie sprzeciwiła, ale pokonałam go – twierdzi Sampat, mając na myśli Thokię. – Jego przegraną uznałam za swoje zwycięstwo – dodaje. – Klaskałam w dłonie, kiedy ogłoszono, że wygrał Purushottam Naresh Dwivedi. Wszyscy byli szczęśliwi, lecz nie z powodu jego wygranej, tylko z powodu przegranej Thokii.

Teraz jednak Sampat żałuje swojego zadowolenia.

– Nie ma żadnej różnicy między Dwivedim a Thokią. A jeżeli jest, to Dwivedi jest jeszcze gorszy.

# *Rozdział trzeci*

## **CZERWONY POKÓJ**

W CIERPIENIU ZNOSZĘ WSZYSTKO, CO BYŁO MI PISANE.

– *Sheelu*

Historia Sheelu – dziewczyny, która znalazła się w domu pośła – zaczyna się w Shahbajpurze, odciętej od świata, ubogiej wiosce złożonej z rozrzuconych glinianych chat krytych słomą i otoczonej polami soczewicy. Tam przyszła na świat i spędziła dzieciństwo. Aby dostać się w to odległe miejsce, trzeba podróżować wąskimi, krętymi drogami, przecinającymi wyżłobione w czerwonawej ziemi jary, które urozmaicają goły, tylko gdzieś tam pokryty niskimi zaroślami krajobraz. Wąwozem płynie anemiczna rzeka Ranj, dopływ świętej rzeki Jamuny. Niedaleko Shahbajpuru, przed przekroczeniem Ranj, ktoś na pniu stojącej po prawej stronie drogi brzozy wyrzył pionowo słowo „Witamy”.

Większość ludzi w Shahbajpurze to kewaci, należący do niskiej kasty szkutników i przewoźników. Całe dni spędzają zwykle na stromych brzegach rzeki, gdzie z włóknistych wodorostów plotą liny, po czym suszą je w palącym słońcu, zarabiając w ten sposób na życie. Dziś jednak, kiedy stan wody w Ranj jest bardzo niski, wielu z nich próbuje swych sił w rolnictwie.

– Jesteśmy ludem rolniczym. Łuskamy ziarno, mielimy je, siekamy słomę – opowiada jeden z tamtejszych mieszkańców. Shahbajpur to miejsce, w którym panuje niesamowity spokój, a wszechobecną ciszę częściej przerywa odgłos zwierzęcia niż hałas wywołany przez człowieka. Siedemnastoletnia Sheelu z pewnością czuła się tam, jakby życie przeciekało jej między palcami.

W rodzinnej wiosce dała się poznać jako śmiała, żywa dziewczyna, bynajmniej nie wstydliva jak większość dziewcząt w jej wieku. Miała lekko wygięte, pieczołowicie wyregulowane brwi i nieskazitelnie gładką – z wyjątkiem paru małych pieprzyków na policzku, górnej wardze i pod lewym łukiem brwiowym – skórę. Godzinami wpatrywała się w swoje odbicie w małym lusterku w plastikowej ramce. Przyglądała się sobie raz pod tym, raz pod innym kątem, ćwicząc kokietyjne miny, jakie zauważyła u bohaterek hinduskich oper mydlanych.

Kiedy się śmiała, robiła to z zapamiętaniem, odrzucając głowę w tył i z zachwytem klaszcząc w ręce. Często śmieszyły ją naiwne, nie do końca przemyślane wypowiedzi. Jeśli jej usta nie były akurat otwarte, bo się śmiała,

to można było mieć pewność, że zaciskają się w złośliwym uśmiešku. Miała zgryźliwe poczucie humoru – fakt, że zduszono w niej inteligencję, zbyt wcześnie zakazując jej dalszej nauki w szkole, sprawił, iż stała się zgorzkniała i rozzalona. Gdy przemawiał do niej autorytet – na przykład ojciec, miała zwyczaj wywracać oczami i pyskować za każdym razem, kiedy nie zgadzała się z jego zdaniem.

Sheelu zrobiła się impertynencka po śmierci matki, czyli przypuszczalnie w wieku dziewięciu – dziesięciu lat. Ojciec, Achchhe, zakazał jej wtedy chodzić do szkoły. Dzięki temu mogła opiekować się trzema braćmi, którzy dalej się uczyli. Pomagała prowadzić dom, podczas gdy ojciec, który zarabiał ledwie tyle, by utrzymać rodzinę na skraju ubóstwa – dwadzieścia pięć rupii (mniej niż dolara) dziennie, prowadził mały sklepik. Sprzedawał w nim towary typu herbata, szampon i tytoń do żucia, zapakowane w małe, kolorowe saszetki wielkości paczuszki z kondomem, warte jedną rupię.

Z czasem Sheelu coraz bardziej nużyły codzienne domowe obowiązki – wyciąganie wody ze studni, sprzątanie i gotowanie. Kiedy ojciec pracował, a bracia byli w szkole, wsiadała na rodzinny rower i ruszała polnymi drózkami, wijącymi się wzdłuż rzeki.

– Wychodziłam po cichu, nikomu nic nie mówiąc. Wszystko mi było jedno, dokąd jechałam, liczyło się, to, że byłam sama.

Za życia matki Sheelu nie wolno było wsiadać na rower.

– Zrobisz sobie krzywdę – mówiła matka.

– Muszę się przewrócić, żeby się nauczyć – odpowiadała Sheelu.

Kiedy okazało się, że dziewczynka nie chce słuchać matki, rower został sprzedany. Następny kupiono dopiero dużo później. Wtedy jednak zdążyła już posmakować wolności i pragnęła zaznać jej więcej.

Po śmierci matki niewiele spraw trzymało Sheelu w domu. Często kłóciła się z ojcem, a po kłótniach wyprowadzała się do ciotki ze strony matki, która mieszkała w wiosce Lacchapurva, w sąsiednim stanie Madhja Pradeś. Innym razem wyjeżdżała z domu na wiele tygodni, tłumacząc, że chce wziąć udział w uroczystościach religijnych lub jarmarku w okolicach Harnampur, gdzie mieszkali dziadkowie. Jej wyprawy poza miejsce zamieszkania trwały coraz dłużej i zdarzały się coraz częściej, a kiedy Sheelu skończyła siedemnaście lat, mieszkała poza domem już półtora roku. Achchhe, który był alkoholikiem, nie robił nic, by ściągnąć córkę z powrotem. Przyjął po prostu, że przeprowadziła się do ciotki.

Kiedy wreszcie postanowił wysłać po nią syna Santoo, ten wrócił z pustymi rękami. Jak powiedział ojcu, Sheelu nie mieszkała już z ciotką. Przeniosła się do Pathary.

Istnieją sprzeczne wyjaśnienia tego, dlaczego Sheelu znalazła się w Patharze. Achchhe twierdził, że ciotka, u której Sheelu mieszkała w Lacchapurvie (i która prowadziła z Achchem spór o ziemię po jego zmarłej żonie), sprzedała dziewczynę za pięćdziesiąt tysięcy rupii (około dziewięćset dolarów) człowiekowi nazwiskiem Rajju Patel, podejrzanemu o kontakty ze światem przestępczym. Innym razem Achchhe twierdził, że to *pradhan* ją sprzedał. Sheelu utrzymywała, że Rajju porwał ją i trzymał w Patharze przez półtora miesiąca. Inni, na przykład wieśniacy z Pathary, twierdzili zupełnie co innego. Według nich Sheelu zakochała się w Rajju i uciekła z nim. W Indiach zdarza się często, że rodzice donoszący na policję o porwaniu córki chcą w ten sposób zatuszować fakt, że sama uciekła z kochankiem. Rząd stanu Uttar Pradeś w rzeczywistości naciskał na policję, by wszystkie przypadki ucieczki w celu zawarcia małżeństwa rejestrowała jako porwanie.

Ludzie z Harnampur zawiadomili Achchhego, gdzie mieszka Rajju Patel, ale ojciec nie chciał na własną rękę szukać Sheelu. Co będzie, kiedy Rajju mu zagrozi? Achchhe rozważał, czy nie pójść na policję, ale obawiał się, że będzie musiał dać łapówkę. Zarabiał zaś tak mało, że absolutnie nie mógł pozwolić sobie na łapówki dla miejscowych policjantów. Zarazem jednak przy tak niskiej pozycji społecznej nie mógł oczekiwać, że uzyska pomoc bez dawania w łapę. Znał jednak jedną osobę, która mogłaby towarzyszyć mu na posterunek. Kogoś potężnego, kto miał władzę nad policją. Posła nazwiskiem Purushottam Naresh Dwivedi.

I Achchhe, i Dwivedi należeli do Bahujan Samaj Party (BSP) – partii rządzącej w Uttar Pradeś, reprezentującej członków niższych kast, właśnie takich jak Achchhe. Kiedy organizacja ta powstała w 1984 roku, pełen nadziei szesnastoletni Achchhe od razu się do niej zapisał.

– Należę do partii od czasów Kanhsiego Rama – mówi z nostalgią, wymieniając nazwisko założyciela BSP.

Wiele ludzi w Shahbajpurze należy do BSP. Nawet most nad rzeką Ranj, tuż obok wioski, nosi imię jej założyciela Kansiego Rama. Achchhe wstąpił do niej z tych samych powodów, z jakich zrobiła to znakomita większość innych wieśniaków.

– Biednych nikt nie słuchał. Nie było też dla nich pracy. Dowiedziałem się, że ci, co wstąpią do BSP, będą mogli liczyć na jakąś pomoc – wspomina. – Regularnie opłacałem składki, pracowałem dla partii od czasów młodości... Chce pani zobaczyć moją legitymację? O, proszę – mówi, sięgając do portfela po skrawek szarego, złożonego na pół papieru.

W 2007 roku Achchhe został wyznaczony na „opiekuna sektora”, co oznaczało, że działał jako koordynator i przedstawiciel BSP na terenie dziesięciu małych wiosek. Jedną z nich było Shahbajpur. Do zadań Achchhego należało udzielanie wszelkiej możliwej pomocy mieszkańcom.

– Spotykałem się z ludźmi, słuchałem ich. Na przykład jeśli ktoś pobił jakiegoś biedaka lub jeśli biedny człowiek kogoś pobił, słuchałem obu stron. Prosiłem władze o wymierzenie sprawiedliwości... Tym się zajmowałem.

Jeśli sam potrzebował pomocy, zwracał się jednak do Dwivediego.

Poznał go w 2007 roku w czasie kampanii wyborczej do zgromadzenia ustawodawczego stanu. Będąc lojalnym członkiem partii, niestrudzenie popierał Dwivediego, a po jego wygranej zyskał jego łaski i wdzięczność. Obaj porównywali swoją relację do stosunków między mistrzem a uczniem.

– Byłem mu posłuszny i mówiłem do niego: „*Guru-ji, guru-ji*” – mówi Achchhe. Jako członek niskiej kasty, zwracając się do bramina, używał religijnego słowa „*guru*”, by okazać mu szacunek. Robił to jednak, jak się okazało, nieco ironicznie. Mimo że BSP utrzymywała, że jako partia reprezentuje dalitów (wcześniej znanych jako kasta nietykalnych) i w teorii sprzeciwia się dyskryminacji społecznej, w 2007 roku oddała prawie ćwierć miejsc na liście wyborczej kandydatom z najwyższej kasty braminów.

Nie wiedząc, do kogo zwrócić się o pomoc w sprawie córki, 8 grudnia 2010 roku Achchhe zadzwonił do Dwivediego. Jego numer miał zapisany w komórce pod hasłem *vidhayak*, czyli „poseł”. Zatrwożony ojciec najpierw opowiedział Dwivediemu o swoich kłopotach z córką, a potem poprosił, by ten poszedł z nim na policję. Poseł tylko parsknął, słysząc, że Achchhe ma nadzieję na pomoc ze strony miejscowych egzekutorów prawa.

– Nie idź na policję. Trzeba będzie ich przekupić, a i tak wrócą z pustymi rękami – doradził mu podobno.

Był jeszcze i inny powód, dla którego Dwivedi sądził, że Achchhe nie powinien oddawać sprawy w ręce policji.

– Jeśli pójdziesz na policję i złożysz skargę, splamisz własne nazwisko –

rzekł jakoby, mając na myśli wstydlivy charakter sprawy.

– „Wyśle moich ludzi do wioski Rajju, już oni ją odnajdą, nie ma potrzeby angażować w to policji” – cytuje słowa Dwivediego Achchhe. Tego samego dnia ludzie posła w towarzystwie Santoo udali się do Pathary. Achchhe miał przeczucie, że wszystko nie potoczy się dobrze, ale w żadnym razie nie mógł przewidzieć, że sprawy przyjmą aż tak tragiczny obrót.

Sampat postanowiła najpierw sprawdzić, co łączyło dziewczynę i posła. Po opuszczeniu komisariatu uznała, że wybierze się do Pathary – miasteczka, gdzie, zgodnie z tym, co pisały gazety, mieszkała Sheelu, i na miejscu zasięgnie języka. Miała tam dobre źródło informacji, bo sołtysem był teść jej drugiej córki, Ambrawatti. Pathara leżała przynajmniej dwie godziny jazdy od Atarry i Sampat stwierdziła, że najlepiej będzie, jeśli weźmie autorikszę do swego domu w Badausie, a stamtąd młody chłopak imieniem Nati, kolega jej syna, podwiezie ją dalej samochodem.

Badausa liczy około pięciuset mieszkańców i rozciąga się pasem szerokości kilku domów wzdłuż autostrady krajowej nr 76. Miasteczko, podobnie jak Atarra, nie sprawia wrażenia, że zostało zaplanowane przez urbanistę – ścieki spływają do otwartych rynsztoków, a niemal żadne gospodarstwo nie ma bieżącej wody. Z elektryczności można natomiast korzystać tylko przez kilka godzin dziennie.

Sampat jechała zatłoczoną główną drogą, mijając wózki wypełnione piramidami granatów i słodkich limonek. Zbliżało się południe. Ludzie kręcili się wokół stoisk z *chai*. Sprzedawcy popychali wózki o zachlapanych tłuszczem szybach, wypełnione smakowitymi przekąskami typu *samosa*, nad którymi brzęczały stada much. Pod nogami, na udeptanym klepisku kręciły się koguty, wydziobujące resztki spośród walających się różnokolorowych śmieci. Starzy mężczyźni siedzieli na hamakach, palili papierosy i patrzyli, jak na poboczu bawią się ich nagusieńkie wnuki.

Zbliżała się do swego domu rodzinnego w Badausie. Przekroczyła most nad płytką rzeką Baghein. Płynie ona szerokim wąwozem, a ludzie uprawiają pola na jej pochyłych, zamulonych brzegach. Kiedy z końcem kwietnia zaczyna się pora gorąca, młodzieńcy pływają w niej, by się ochłodzić. Zimą zaś ci, którzy w domach nie mają wody bieżącej, myją się w niej, piorą i zmywają.

Sampat zeszła z mostu i zatrzymała się przed swym rodzinnym domem, przycupniętym na wale tuż przy głównej drodze. Wszystkie domy tu stojące



połączone są w jeden szereg i wyglądają identycznie: cały front zasłania metalowa żaluzja, fasada pozbawiona jest okien, a do środka wchodzi się przez blaszane drzwi. Płaski dach doskonale nadaje się do puszczenia latawców i do spania w gorące noce. Dom Sampat wyróżnia spośród pozostałych tylko kolor – jest pomalowany na pastelowy róż.

Frontowymi drzwiami wchodzi się do wąskiego korytarza, prowadzącego do spartańskiego pokoju o betonowej podłodze. Ściany pomalowane są na cukierkowe pastele. Jedną z nich przecina pajęczyna sznurków, na których wiszą dziesiątki mundurków szkolnych – czerwone spodnie, białe koszule, krawaty w biało-czerwone pasy, czerwone paski z aluminiowymi klamrami. Wszystkie należą do wnucząt Sampat.

Na tylnej ścianie pokoju mieści się dwoje metalowych drzwi. Wychodzi się przez nie na gołe, betonowe patio, z którego widać kominy cegielni, a w odległości siedmiuset metrów – tory kolejowe. Wewnątrz domu betonowymi schodkami można zejść na niższy poziom, do pomieszczeń przeznaczonych do gotowania i mycia, a również do niewielkiej sypialni, gdzie sypia na zmianę rodzina Sampat.

W domu Sampat całymi dniami wre życie, co częściowo wyjaśnia, dlaczego ona sama tak rzadko spędza tam czas.

– Tu się nie da pracować! Dlatego jeżdżę do biura.

Mieszkają tu: mąż Sampat Munni Lal Pal, ich jedenaścioro wnucząt, siostrzenice i bratankowie, a prócz tego czworo z pięciorga dzieci Sampat. Najstarsza córka ma na imię Prabha, kolejna – Champa, potem jest Munna – jedyny syn Sampat oraz najmłodsza Nisha. Tylko Ambrawatti – druga z kolei córka – mieszka u teściów.

– Mam pod swoim dachem cały dziecięcy świat – powiedziała raz Sampat i zaśmiała się zmęczonym śmiechem.

Teraz, kiedy Sampat jest starsza, łatwiej jej bywać w domu jedynie od czasu do czasu. Nie trzymają jej już obowiązki matki.

– Rodzina nie wywiera na mnie żadnego nacisku. Skupiam się na sprawach wymagających większej uwagi. Jeśli są jakieś problemy w domu, rozwiązuję je i idę dalej. Ból mojej rodziny i ból obcego człowieka są dla mnie tak samo ważne – odpowiada praktycznie.

Kiedy dzieci Sampat były młodsze, nie rozumiały, dlaczego matka dzieli uwagę między tylu obcych, którzy przychodzą do niej wylewać swe żale.

– Rodzina długo nie mogła się z tym pogodzić. Mówili: „Kim się bardziej

przejmujesz: nimi czy nami?”.

Jej odpowiedź była wyjątkowo trudna do zrozumienia, zwłaszcza dla dzieci:

– Jestem matką dla wszystkich. Nie stawiam rodziny na pierwszym miejscu.

Dzisiaj gospodarstwem domowym zajmują się córki Sampat z jej wnuczkami, synową i dwoma siostrzenicami. Ona sama od wielu lat nie ugotowała posiłku ani nawet nie zaparzyła sobie herbaty. Jest przysłowiową głową rodziny. Kiedy już zdarza jej się nocować w domu (średnio mniej więcej połowę dni w roku), spodziewa się, że kiedy wróci po długim dniu pracy, będzie na nią czekał ciepły posiłek. Myśli pewnie, że na niego zasługuje, biorąc pod uwagę, że pracy poświęca niemal każdy dzień, od piątku do niedzieli, od świtu do zmroku. Jej dni wolne to śluby i święta religijne.

Kiedy w 2005 roku Sampat wyprowadziła się z domu, by wraz z Babujim zamieszkać w biurze, i zostawiła opiekę nad Nishą mężowi, jej decyzja nie wzbudziła sprzeciwu, jaki można by sobie wyobrazić w przypadku innej rodziny. Nawet gdy poinformowała męża, że będzie mieszkać z Babujim – żonatym mężczyzną, nie spotkała się z reakcją, jakiej mogłaby się na jej miejscu spodziewać inna kobieta.

– Wytłumaczyłam mężowi, że mężczyzna powinien wspierać kobietę w jej rozwoju. To oczywiste, że kiedy wyjdę z domu, będę musiała nawiązać różne znajomości, ale w mojej relacji z Babujim nie ma nic złego. Jeśli mieszkamy w jednym pokoju, to tylko dlatego, że drugiego po prostu nie ma, jego wynajęcie byłoby zbyt kosztowne. Co z tego, że przebywamy w jednym pokoju? Babuji ma naprawdę dobry charakter. Nigdy nie widziałam, aby wykazywał jakiegokolwiek niecznych zamiarów w stosunku do kobiety. On jest jak diament. Kto inny tak uczciwie pracowałby z kobietą? W ten sposób wyjaśniłam tę sprawę mężowi – mówi Sampat.

Wystarczy poznać i Sampat, i jej męża, by to, co niewyobrażalne – czyli fakt, że w Bundelkhand kobieta zamężna, nie ponosząc sankcji społecznych, na oczach ludzi mieszka z innym mężczyzną – stało się zrozumiałe. Munni Lal – prawie bezzębny mężczyzna o zapadniętych policzkach – większość czasu spędza, nie wychodząc z domu, pogrążony w ponurym, obojętnym, wytrwałym milczeniu. Jest do tego stopnia przygnieciony swoją nieistotnością, że przypomina skurczoną, pofałdowaną łupinę człowieka. W pierwszych latach małżeństwa z Sampat często zdarzało mu się być na

haju po marihuanie, a teraz znaleźć gomożna w jakimś zacisznym kącie na wyplatany łóżku, skąd wydaje przeróżne pokasływania i jęki, zwykle z powodu bólu kręgosłupa. Kiedy Sampat wraca do domu, najczęściej wita ją tylko słabym chrząknięciem. Rzadko się zdarza, by Sampat i Munni Lal rozmawiali ze sobą czy choćby wymieniali spojrzenia. Ale przecież Munni Lal to żaden gaduła.

Ktoś mógłby zarzucić Munniemu Lalowi, że toleruje obecny stan rzeczy tylko dlatego, że oszukuje samego siebie.

– Jedno jest pewne: to Bóg łączy ludzi w pary – mówi on sam o małżeństwie. A gdy wspomina wspólne życie z Sampat, wyraźnie ogarnia go tęsknota za dawnymi czasami. – Kiedy jesteśmy razem, łączy nas wspaniałe poczucie jedności. To cudowne, móc jeść i pić w spokoju, zamiatać dom, rano iść do ubikacji, wykąpać się, zapalić dwa kadzidełka, rano i wieczorem. Życie tak miło upływa... – kończy rozmarzony, przywołując dobre czasy ich małżeństwa. Wreszcie jednak przypomina sobie, że prawie już razem nie mieszkają. – Jest dobrze. Pracuję i jem dwa *roti*, płaskie, niewyrośnięte chlebki. Czego więcej mi trzeba? Od samego początku ciężko pracowałem. Mam wiele zalet. To nie tak, że siedzę tu i nie ma ze mnie pożytku – dodaje defensywnie.

Kiedy Sampat zamieszkała z Babujim, stała już mocno na własnych nogach. Czasy, gdy była wątłą dziewczynką, wydaną za mąż za wdowca starszego od niej o dziesięć lat, minęły. Wówczas wiek dawał Munniemu Lalowi przewagę nad Sampat, ale układ sił już dawno się zmienił na jej korzyść. Kiedy on zaczął wędznąć i słabnąć na skutek lat przepracowanych w znoju na polu, ona właśnie rozkwitała. Jej donośny głos, zdecydowany krok i rosnące zaangażowanie społeczne sprawiły, że przyćmiła męża i odsunęła go w cień. Ich dzieci rzadko prosiły go o zgodę czy radę w ważnych sprawach. Za plecami nazywały go „Buddha”, bo nie robił nic poza siedzeniem w pełnej namaszczenia ciszy. Ponieważ nikt go już nie słuchał, zaczął ograniczać się do pomruków pod nosem, podnosząc głos tylko od czasu do czasu, by krzyknąć na któreś z wnucząt.

– Dziś nikt już mnie nie słucha. Syn wagaruje. Córka pyta: „Masz pieniądze czy nie masz?”. Czy pieniądze to wszystko? Tak odnoszą się do ojca. Sam nigdy w życiu źle się nie zachowałem. Nigdy też nikomu źle nie życzyłem.

Kiedy Sampat nocuje w Badausie, nigdy nie śpi z Munnim Lalem. W zimne noce mości się razem z wnukami, a w gorące, upalne – sama na dachu, gdzie lekka bryza daje nieco wytchnienia.

Munni Lal po raz pierwszy ożenił się w wieku „osiemnastu czy dwudziestu lat”, jak wspomina, ale zanim żona zdążyła się do niego wprowadzić, zmarła.

– Nie widziałem swojej pierwszej żony na oczy. Tylko raz podczas ślubu, ale nie przysłała do mojego domu. Umarła w domu swoich rodziców. Nie wiem dlaczego, pewnie była chora.

Po jej śmierci pierwszy teść Munniego Lala zaproponował mu na żonę swą drugą córkę, ale on odmówił. Wkrótce potem zaaranżowano jego małżeństwo z Sampat, pochodzącą z tej samej społeczności – oboje należą do kasty *gadaria*, czyli pasterzy.

W dniu ślubu Sampat miała zaledwie dwanaście lat.

– Nie wiedziałam, co znaczy małżeństwo, nikt mi tego nie wyjaśnił. Ależ ja tego dnia miałam uciechę! Rozbawiona, opychałam się słodyczami, które przynosili ludzie. Matka mówiła: „Siedź spokojnie! Nie wariuj!”, ale ja robiłam swoje. Myślałam, że to wielka frajda. Nie miałam pojęcia, co mnie czeka później. – Sampat wzrusza ramionami.

„Małżeństwo” było dotąd dla niej zabawą, w którą bawiła się z koleżankami.

– W czasie gdy uprawiano drzewka, chodziłyśmy po farmach. Było mnóstwo trawy, cały szeroki pas. Zrywałyśmy ją i plotłyśmy sobie biżuterię: pasy, bransoletki na kostki nóg, pierścionki na palce stóp. Pięknie nam wychodziły i my też pięknie wyglądałyśmy. W ten sposób potrafiłyśmy się bawić cały długi dzień. Jedna z nas była chłopcem, druga panną młodą. Patrzyłyśmy, jak udają, że biorą ślub. Potem mówili: „Dobra, teraz jedziemy do domu teściów”, i machali do nas – śmieje się Sampat. – Co wtedy wiedziałyśmy? Nic!

Sampat była znana w Kairi z tego, że wymyślała gry i zabawy i że zachowywała się jak notoryczna chłopczyca. Skonstruowała raz radio z pudełka. Zamiast anteny był patyk, a w środku... kilkanaście koników polnych. „Muzyka” pochodziła od grających owadów, które złapała. Cienką nitką, wychodzącą przez dziurkę w pudełku, pozwiązywała im nóżki.

– Kiedy ciągnęłam za sznurek, zaczynały grać: ti, ti, ti. Zupełnie jak radio Chhatarpur! – ze śmiechem wspomina swoją pomysłowość.

Zabawa się skończyła, kiedy po ślubie przybyła do Gadarian Purvy (w tłumaczeniu: Wioski Pasterzy), by wraz z mężem zamieszkać w domu teściów. Gadarian Purva to ponure zbiorowisko glinianych chat nieopodal Badausy. Otaczają ją kamieniste wzgórza, na których sterczy mnóstwo bloków skalnych. Na skrajach wioski zaprawieni w znoju mężczyźni i kobiety, pokryci szarym pyłem, niestrudzenie łupią skały młotami, by następnie sprzedać je miejscowym firmom budowlanym. Opustoszałe, wąskie, pokryte ceglanym pyłem uliczki Gadarian Purvy wywarły na młodej Sampat odstrasżające wrażenie. Po pierwsze, wioska była dużo mniejsza niż Kairi, skąd pochodziła, po drugie, ludzie wyglądali na surowych, a po trzecie, ku jej rozczarowaniu, „nikt się nie ucieszył, że przyjechała!”.

Pośrodku wioski znajdowała się studnia, gdzie ludzie kąpali się, skąd ciągnęli wodę do picia i gdzie prali ubrania. Nakrapiane kozy i krowy cisnęły się wokół chat, uwiązane do futryn. Gołe dzieci z oczami podkreślonymi *kajal* – tuszem, rzekomo mającym chronić je przed słońcem, ganiały się po zakurzonych ścieżkach z kijami i innymi narzędziami w rękach. Za drewnianymi drzwiami chat pozostawały kobiety, ukryte przed resztą świata przez cały dzień z wyjątkiem chwili, kiedy z przysłoniętymi twarzami udawały się po wodę do studni. To właśnie tam i w taki sposób miała żyć Sampat. Przykucnięta przy palenisku, mieszając *dal* i *curry* w dużym kociołku, karmiąc gromadkę dzieci – najchętniej płci męskiej.

Wszyscy mieszkańcy osady należeli do społeczności Pal i tradycyjnie zajmowali się pasterstwem. Nieopodal leżały inne wioski: Charmaran Purva, zamieszкана przez niską kastę charmarów, farbiarzy skór, i Yadavan Purva – siedziba kasty yadawów, posiadaczy ziemskich. W wiosce Sampat, Kairi, mieszało się wiele kultur. Byli tam członkowie kast: charmar, kori, nai, lohar, ahir i darzi, a „nawet paru muzułmanów!”. Sampat uważała, że ludzie w Gadarian Purwie byli ograniczeni również dlatego, że wioskę zamieszkiwała tylko jedna społeczność.

Może rzeczywiście Sampat nie została przyjęta w nowym miejscu zamieszkania tak, jak tego oczekiwała, ale za to jej mąż wprost tryskał szczęściem, że przybyła. Po rozczarowaniu, jakie spotkało go w pierwszym małżeństwie, Munni Lal był zadowolony z nowej towarzyszką życia, jaką dla niego znalaziono.

– Drugie małżeństwo było bardzo dobre. Nowa żona była bardzo ładna,

podczas gdy tamta miała ciemną skórę – mówi.

Przez trzy kolejne lata Sampat nie należała jednak w pełni do niego. W myśl tradycji zwanej *gaona*, do czasu, kiedy nie zacznie miesiączkować, miała co dwa tygodnie jeździć do wioski rodziców.

– Dziś panna młoda od razu przeprowadza się do męża, ale wtedy panował zwyczaj, że wprowadzała się do niego dopiero po paru latach, kiedy już dojrzała. *Gaona* to czas, kiedy ciało dziewczyny nie jest jeszcze w pełni dojrzałe. Dopiero kiedy staje się świeże i zaokrąglone, dziewczyna dołącza do męża – wyjaśnia Munni. Ostatnia podróż w czasie *gaony* Sampat nie zakończyła się jednak szczęściem małżeńskim, na jakie liczył. Dalej prześlizgiwała się mężowi między palcami – podobnie jak za czasów, kiedy krążyła między Kairi i Gadarian Purwą. Sampat była kobietą nieosiągalną, ciągnęło ją do świata i ludzi. Śniła wielkie sny, w których mąż nie odgrywał żadnej roli.

– Jeśli mąż nie widuje żony, wciąż o niej myśli. Gdzie ona jest? Jak się miewa? Żona tak samo myśli o mężu. Kiedy są razem, ich myślenie się zmienia. Dwie oddzielne osoby stają się jedną. Nie ma nikogo prócz męża i żony – mówi idealistycznie Munni.

Z każdym rokiem małżeństwa głodna wolności Sampat, której towarzyszyła nieodparta potrzeba bycia niezależną, wędrowała coraz to dalej i dalej w świat, aż do nieuniknionej chwili, kiedy po obecności Munniego w jej życiu pozostało tylko nikłe wspomnienie.

Pierwszy krok ku niezależności Samapat postawiła, zanim jeszcze skończyła piętnaście lat, wkrótce po tym, jak skończył się okres *gaona*. Wtedy bowiem – a była jeszcze młoda i chuda – kazano jej pracować w kuchni teściów, gdzie robiła *chapatti* i przygotowywała posiłki dla całej rodziny. Często musiała mieć ziarno, co było zadaniem ciężkim, mozolnym i niewdzięcznym, którego szczerze nienawidziła.

– Wciąż byłam mała i nie mogłam tego dobrze wykonać.

Pod koniec okresu *gaony* Sampat ołśniło, że do końca życia pozostanie uwięziona w Gadarian Purwie, że już wkrótce nie będzie mogła tak często odwiedzać Kairi – miejsca, w którym mogła zrzucić niewygodną skórę żony i na nowo stać się beztroskim dzieckiem.

– Nie zostanę tam jak niewolnica, postanowiłam sobie kategorycznie. Pragnęłam zachować własną naturę i własnego ducha, te same, które miałam

od dziecka. Nie zważałam na to, co ludzie mówią – powiedziała później.

Następnym razem, kiedy teściowa kazała jej mieć ziarno, po prostu odmówiła.

– Ta bezwstydna dziewczyna mnie nie słucha! – denerwowała się teściowa. Brat Munniego Lala wziął upór Sampat za szczególną, osobistą obrazę.

– Najwyraźniej trzeba ją uderzyć, żeby posłuchała – stwierdził i płynnym ruchem wymierzył jej policzek. Sampat przez dwa dni odmawiała jedzenia. Kiedy przekonała wszystkich o niezłomności swego charakteru, teściowa sama poprosiła ją, by coś zjadła.

W rozgrywce sił między matką a żoną Munni zajął neutralną pozycję. Nie zachowywał się ani jak wróg, ani jak przyjaciel Sampat. Nieśmiały, mało skuteczny w działaniach, nigdy jednak celowo jej nie skrzywdził.

– Nigdy mnie nie uderzył – przyznaje Sampat. Z drugiej strony dodaje, że nigdy też nie wstawił się za nią, jeśli wymagało to złamania tradycji. On sam wini za to swój brak wykształcenia.

– Jestem niewykształconym wieśniakiem. Ludzie wykształceni mają czworo oczu, parę tu – wskazuje na swoje oczy – a druga para to ich wiedza. A my, co mamy? Tylko dwoje oczu. Tak jest, nieprawda? – mówi.

Sampat należała jednak do ludzi o czworgu oczach.

– Od samego początku była bardzo sprytna, ta twoja Sampat. Pouczała mnie, jeśli chodzi o wychowanie i dobre maniery. „Człowiek nie powinien besztać drugiego” – powtarzała mi. I mówiła, żeby nie wątpić w drugiego. Chociaż sama mnie łajała... i nadal to robi.

Munni Lal nie był jedynym, którego Sampat „beształa”. Często ofiarą jej niewyparzonego języka padała teściowa. W Gadarian Purvie nowo poślubione kobiety miały w zwyczaju przestrzegać *purdah*, czyli zwyczaju polegającego na zasłanianiu twarzy rąbkiem sari tak, by cała twarz pozostawała zakryta. Sampat, nieprzyzwyczajonej do oddzielania się od reszty świata, zdarzało się o tym zapominać.

– Jak mogłaś zapomnieć? – krzyczała teściowa, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Sampat odsłoniętą. – Zachowujesz się jak bezwstydnica!

Jej przygany doprowadzały Sampat do pasji. Parę miesięcy po ślubie Sampat rozmawiała ze swym dalekim kuzynem, który przejazdem zatrzymał się w wiosce. Pojedynawczo zasłoniła twarz, ale materiał sięgał tylko do końca jej nosa, pozostawiając usta odkryte. Teściowa, kiedy to zobaczyła, warknęła:

– Co takiego? Stosujesz *purdah* tylko w połowie?

Na to Sampat zerwała zasłonę całkowicie. Kierując swą obnażoną twarz, na której malowała się wściekłość, prosto w stronę teściowej krzyknęła:

– Zapomnij o tym! Nie będę więcej przestrzegać *purdah*! Co złego jest w pokazywaniu twarzy, no co?

Po czym odwróciła się na pięcie i odeszła.

Kłótnie nasilały się – zarówno pod względem częstotliwości, jak natężenia emocji – aż do chwili, kiedy relacja Sampat z teściami całkowicie runęła. Stało się to, kiedy dziewczyna w wieku lat „około piętnastu” wydała na świat pierwszą córkę Prabhę.

– Ta synowa jest kompletnie bezużyteczna. Widzicie, urodziła nam dziewczynkę – skarżyła się matka Munniego każdemu, kto tylko zechciał słuchać.

– U nas w Bundelkhandzie śpiewa się piosenki, kiedy rodzą się chłopcy, ale kiedy rodzi się dziewczynka, nikt nie śpiewa. Moi teściowie byli tacy sami. Dokuczali mi i pytali, czemu nie urodziłam syna.

Teściowa Sampat oczekiwała, że dziewczyna będzie cierpliwie znosić szydercze uwagi, jak robiły to inne kobiety z jej pokolenia, i ziała wściekłością, kiedy Sampat rzucała się na każdego, kto lekceważąco wyrażał się o jej córce.

– Co złego jest w kobiecie? Sama jesteś kobietą, prawda? – odpowiadała.

Kiedy tylko Sampat odzyskała siły po porodzie, oznajmiła Munniemu, że się wyprowadza.

– Jeśli chcesz ze mną mieszkać, to na pewno nie tutaj, u twoich rodziców.

W kraju, gdzie normą były rozległe rodziny wielopokoleniowe, żądanie żony, by mąż zostawił swój dom rodzinny i zamieszkał gdzie indziej, wydawało się nie do pomyślenia. W rejonie, gdzie tak surowo przestrzegano tradycji, podobna postawa nikomu nie przyszłaby do głowy. Munni Lal, rozdarty między rodziną a upartą żoną, uznał, że mieszkanie z dala od żony byłoby wbrew naturze.

– Gdzie jest moja żona, tam będę i ja. Nikt nie może mi zarzucić, że za nią pojechałem. Jeśli coś stanie się mężowi, żona się nim opiekuje, a jeśli żonie – opiekuje się nią mąż. Mąż będzie miał na względzie smutki i chorobę żony, mąż upierze jej ubranie, wykąpie, nakarmi... nikt inny. A kiedy mąż przyniesie jedzenie, nie będzie jadł sam, będą jedli razem.



Takie były uczucia Munniego. Jego zgoda na wyprowadzkę oznaczała początek ery ustępstw i porażek, których miał doświadczyć w kolejnych latach małżeństwa.

Sampat po raz pierwszy utworzyła w Gadarian Purvie grupę kobiet przypominającą gang, kiedy chciała wystąpić przeciwko mężczyźnie nazwiskiem Ram Milan. Był on dalekim krewnym Munniego i zwykł okrutnie bić swoją młodocianą żonę Dookli. Sampat mieszkała obok nich i często słyszała razy wymierzane przez Rama i bolesne krzyki Dookli. Przez długi czas nie interweniowała.

– Wtedy nie angażowałam się od razu, nie było to łatwe.

Pewnego dnia stanęła jednak przy drzwiach swojego domu i krzyknęła:

– Co takiego zrobiła, że cały czas ją bijesz?

Ram Milan wyłonił się ze swej chaty, krzycząc:

– Co ty możesz wiedzieć? Ta dziewczyna nigdy nie pracuje!

– Może dlatego, że jest wciąż taka młoda! – odpysknęła Sampat, według której Dookli miała nie więcej niż piętnaście lat.

– A poza tym potajemnie wykrada nam jedzenie – dodał mężczyzna.

– Wyjada potajemnie? W takim razie za mało ją karmisz! – odkrzyknęła Sampat.

Ta przekrzykiwanka trwała do czasu, kiedy – według Sampat – Ram Milan zawołał:

– Przestań się zachowywać, jakbyś była przewodniczącą rady wiejskiej, ty dziwko! To nie twoja sprawa! – I zatrzasnął drzwi.

Następnego dnia Sampat skrzyknęła koleżanki: Bijmę, Kesariję i Kusumę.

– Wyprowadziłam je na pola pod pretekstem koszenia trawy – wspomina.

Opowiedziała im o agresywnym zachowaniu Rama Milana w stosunku do żony, ale nie pisnęła ani słowa o swoim planie. Kiedy zauważyły go w polu, dźwigającego na głowie ciężki kosz pszenicy, podkradły się z tyłu. Sampat, która jest zadziwiająco silna, popchnęła Rama Milana tak mocno, że zachwiaił się, stracił równowagę i upuścił ciężar. Zanim zdążył się odwrócić, Sampat z całej siły dźgnęła go łokciem w zebra.

– Nie uderzyłam go jednak – powiedziała później – to byłoby już za wiele. Upadł i zaczął krzyczeć: „Te kobiety mnie biją, na pomoc!”. To była świetna robota – śmieje się Sampat. Kiedy go już zbiłyśmy, powiedziałyśmy: „Odtąd nie tykaj swojej żony”. Kobiety, które ze mną były, wszystkim

rozpowiedziały, że Sampat Pal dała mu popalić za to, co robił Dookli. Dowiedziała się cała wioska. Od tego dnia Ram Milan nigdy już nie podniósł ręki na żonę.

Wkrótce po incydencie z Ramem Milanem Sampat dowiedziała się o morderstwie w pobliskiej wiosce Rauli, która leżała po drugiej stronie zaniedbanej drogi stanowej – byle jak wyasfaltowanej dwujezdniowej szosy, wypełnionej piszczącymi ciężarówkami, wozami zaprzężonymi w bawoły i pasterzami. Jak głosiła plotka, właściciel ziemski z wyższej kasty wykorzystał seksualnie kobietę z niskiej kasty – Dularię, która dzierżawiła od niego ziemię, po czym zamordował jej syna za wtrącanie się w nie swoje sprawy. Nie mówiąc nic mężowi, Sampat z przyjaciółkami: Bijmą, Kesariją i Kusua spotkały się z poszkodowaną kobietą.

– Czulam, że musimy coś zrobić, choć wtedy nie miałam żadnej władzy w rękach. Nie miałam jeszcze poparcia wielu kobiet, nie wiedziałam nic o sądach i procedurach prawnych – mówi Sampat.

Mimo najlepszych chęci nie mogła wówczas wiele zrobić dla Dularii, niemniej jednak próbowała nakłonić i ją, i inne kobiety w Rauli, by wspólnie przeciwstawiły się uciskowi. Morderstwo syna Dularii uzmysłowiło im, że jeśli nie nauczą się chronić samych siebie, to ich prawa zawsze będą gwałcone, a ich życie – deptane. Sampat stopniowo docierała do coraz większej liczby kobiet z osad wokół Gadarian Purvy i próbowała pomagać im w kłopotach. Był to proces powolny – chociażby dlatego, że sama Sampat bez zgody męża nie mogła przemieszczać się swobodnie po okolicy. Wówczas była jeszcze, jak sama to określa, „w kajdanach”.

Po urodzeniu pięciorga dzieci Sampat, wciąż jeszcze młoda, niespełna dwudziestopięcioletnia kobieta, zaczęła czuć się coraz bardziej stłamszona. Jej życie było podporządkowane zbyt wielu ograniczeniom.

– Kisiałam się w domu niczym szczur – mówi. Przez lata z coraz większą determinacją rozmyślała o tym, jak stać się niezależną, aż pytanie to pochłonęło ją całkowicie. Pewnego dnia, kiedy dzieci bawiły się na podwórku jej glinianej chaty, Sampat wycofała się do wewnątrz, by chwilę побыć sama. Położyła się i zapatrzyła na strzechę. Szukała wzrokiem ciemnych szczelin między wiotkimi gałązkami, spowitymi grubymi pajęczynami, w które wpadły piórka i drobne owady. Ona i Munni zbudowali ten dom własnymi rękami. Zajęło im to trzy miesiące. Wtedy był symbolem wolności.

– Miałam własną kuchnię, własne pole. Teściowie nie dyktowali mi, co

mam robić – wspomina Sampat. Niestety cudowne uczucie niezależności szybko wyparowało. „To żadna wolność”, pomyślała. „Wolność jest wtedy, kiedy ma się własne pieniądze, ale jak to zrobić?”, zastanawiała się.

Sampat w dzieciństwie zdobyła umiejętność, której nie posiadał nikt inny w Gadarian Purvie, „nawet żaden z mężczyzn”. Mianowicie potrafiła szyć. Obsesja z czasów dzieciństwa, którą matka nazywała utrapieniem, teraz okazała się cenna. Pozwalała zarabiać własne pieniądze.

Zdolności krawieckie Sampat ujawniły się przez przypadek. Pewnego dnia zawiozła do krawca w Rauli materiał przeznaczony na ubrania dla dzieci. Miały w nich jechać na ślub kuzyna. Razem z materiałem przywiozła projekty strojów, które miał uszyć.

– Chciałam, żeby uszył coś zupełnie innego. Jeden z wzorów miał dużo guzików, a inny falbanki – przypomina sobie, wyjaśniając, że zainspirowały ją ubrania, które widziała na przechodniach w mieście. Mijały tygodnie i za każdym razem, kiedy Sampat wybierała się do krawca po odbiór zamówienia, ten przedstawiał inny powód, dlaczego jeszcze nie jest gotowe. Dzień ślubu zbliżał się coraz szybciej i Sampat nie miała już cierpliwości. Odebrała więc krawcowi materiał ze słowami:

– Dość tego. Sama uszyję. Jest pan do niczego! – wrzasnęła mu prosto w twarz na oczach innych ludzi.

– Myśli pani, że pani szyje lepiej ode mnie, co? – odkrzyknął obrażony krawiec.

– Oczywiście! Przynajmniej wezmę się do roboty, zamiast tylko gadać – odparła, odwróciła się i odeszła. Udało jej się zdobyć igłę i nici, a potem, kiedy wróciła do domu, zdjęła miarę. Improwizując, kawałkiem kredy wyrysowała wykroj na materiale, a z braku nożyczek wycięła go sierpem, przytrzymywanym między kolanami z ostrzem wygiętym w swoją stronę. Ręczne uszycie strojów zajęło jej dwa dni. Kiedy skończyła, jej mąż zawiózł ubranka do wykończenia do innego krawca, muzułmanina. Ten, przyjrząwszy się dokładnie szwom, zapytał, czyje to dzieło. Munni odparł, że żony. Muzułmanin na to:

– Pana żona jest bardzo zdolna, powinien pan jej kupić maszynę do szycia!

Był to po prostu życzliwy, przyjacielski komentarz, ale kiedy Munni wieczorem powtórzył go Sampat, w jej głowie aż zawiroowało od możliwości. Teraz dniami i nocami nie myślała o niczym innym jak tylko o tym, jak zdobyć maszynę do szycia i zostać krawcową.

Maszyna do szycia, o której marzyła, była produkcji indyjskiej firmy Kapoor i kosztowała 660 rupii.

– Wtedy było to mnóstwo pieniędzy – mówi Sampat.

Skąd wziąć taką sumę? Na pewno nie od Munniego, co do tego nie było wątpliwości. Nie chodzi o to, że był skąpy czy złośliwy, ale w sprawach finansowych zachowywał nadmierną ostrożność, zwłaszcza że w przeciwieństwie do wszystkich innych ludzi w wiosce prowadzili z Sampat własne, niezależne od dalszej rodziny gospodarstwo. Mieli w związku z tym wyższe koszty utrzymania.

Tego dnia Sampat postanowiła potajemnie zdobyć pieniądze. Chciała zrobić to tak samo, jak w dzieciństwie – sprzedając rodzinne ziarno bez wiedzy Munniego. Z małego stryszku, gdzie trzymali zapasy, zabrała worki z pszenicą, nikiłą indyjską, gorczycą, ryżem, ciecierzycą i owsem. Każdy wart był 110 rupii.

Zaniosła je do sklepikarza, człowieka imieniem Mahesh, który czasem kupował produkty rolne od kobiet za plecami ich mężów, ale w zamian za przysługę znacznie mniej im płacił.

– Sprzedaję to panu. Każdy worek jest wart sto dziesięć rupii – oznajmiła Sampat. Mahesh obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem, ale wypłacił pieniądze. Dopiero wtedy Sampat powiedziała zdecydowanym tonem:

– Proszę nic nie mówić mojemu mężowi.

– Przyjdzie i będzie miał do mnie pretensje, jeśli się dowie! – zaprotestował sklepikarz.

– Proszę się nie martwić, przecież nie jestem złodziejem, prawda? Mam odwagę stawić mu czoło, jeśli zajdzie taka potrzeba – zapewniła go Sampat.

Na pytanie męża, skąd wzięła pieniądze na maszynę do szycia, Sampat skłamała, że znalazła je na ulicy. Maszyna – kiedy tylko nauczyła się ją obsługiwać – szybko otworzyła przed nią perspektywę niezależności finansowej. Wkrótce zarabiała tyle, ile mąż. To jednak nie wystarczyło, by Munki zaakceptował kolejne kroki żony w stronę coraz większej niezależności, jak choćby jej wstąpienie w szeregi organizacji pozarządowej Prabhat Samit, działającej w Badausie. Prabhat Samit prowadziła małe szkoły i podnosiła świadomość społeczną w zakresie praw kobiet. Kiedy przewodniczący Raja Ram dowiedział się, że Sampat świetnie szyje, starał się ją pozyskać dla organizacji. Twierdził, że potrzebuje takich kobiet. Sampat bez zgody Munniego wybrała się na pierwsze zebranie, a potem wynajdywała

rozmaite preteksty, by nie dowiedział się, dokąd chodzi.

– Mój mąż nic o tym nie wiedział. Kompletnie nic! I tak nie pozwalał mi wychodzić z domu, kiedy i dokąd chciałam, więc po co miałabym pytać go o zgodę? Żeby mi głowę urwał?

Pewnego dnia została jednak przyłapana na gorącym uczynku.

– Idę na pole wynieść śmieci – powiedziała do Munniego, po czym chwyciła wór śmieci i wyszła jak gdyby nigdy nic. Najpierw skierowała się do miejsca, gdzie zawsze wyrzucali śmieci, zakryła twarz brzegiem sari, by się zamaskować, odwróciła się i ruszyła w stronę Rauli. – Właśnie w ten sposób po cichutku chadzałam sobie w różne miejsca. Nikt nie mógł mnie rozpoznać, to jedyna zaleta *purdah* – śmieje się Sampat i zakrywa twarz skrajem sari, demonstrując swe przebranie.

Ukryta za welonem ruszyła ceglastą drogą między ciasno zbitymi, surowymi glinianymi chatami Gadarian Purvy. Kiedy wioska się skończyła, Sampat szła dalej. Droga wiodła teraz groblą powyżej poziomu pól (dzięki temu była przejezdna, gdy pola zaleje woda). Minęła robotników kamieniołomu, niezależnie od pory dnia oprószonych pyłem kruszonego granitu.

Przekroczyła drogę stanową i pokonała niewielką odległość dzielącą ją od jednopiętrowego, pobielonego, ceglanego budynku szkoły. Stał on pośrodku dużego, zakurzonego podwórza. Organizacja pozarządowa wywiesiła tam ręcznie malowane plakaty ze sloganami, głoszącymi równość i sprawiedliwość. Niektórzy członkowie z Badausy byli już w środku. Siedzieli na matach na podłodze. Wiele kobiet, jak na przykład Dulariya, ta sama, której syn został zamordowany przez bramina, właściciela ziemskiego, znało już Sampat. Tego dnia poproszono ją o to, by przemówiła do zebranych.

– Jesteśmy silne, o ile jesteśmy razem. Widzicie tę rękę? – spytała, gdy stanęła przed widownią z otwartą dłonią i rozczapierzonymi palcami. – Co będzie bardziej boleć? Jeśli uderzysz kogoś tak ułożoną dłonią? Czy może... – zacisnęła palce w pięść – jeśli uderzysz tak? – zapytała, zadając cios w powietrze. – Dlatego musimy się jednoczyć. Tylko wtedy wywalczymy wolność. – Jej słowa skierowane były bezpośrednio do kobiet, ale wielu mężczyzn również słuchało z uwagą.

Tego dnia Sampat zaśpiewała wiele samodzielnie skomponowanych piosenek, głównie w języku hindi.

– Kobiety dużo zapamiętują przez śpiew. Dlatego śpiewam te pieśni – mówi. Niektóre piosenki, na przykład te o nieznanym angielskiego, były zabawne. Inne, śpiewane modulowanym, zawodzącym głosem na modłę ludowych, poważniejsze, jak na przykład ta o pozytywnym działaniu i powstaniu kobiet.

*Zbudźcie się, zbudźcie, indyjskie kobiety.*

*Nadeszła era przebudzenia.*

*Przed nami praca. To praca dla sióstr, nie chcemy tu mężczyzn.*

*Same rozwiążemy nasze problemy, naprawimy swoje życie.*

*Nadszedł czas przebudzenia. Będziemy kształcić chłopców i dziewczynki razem.*

*Nie pozwolimy, by powstały między nimi różnice. Poprawimy ich życie.*

*Nadszedł czas przebudzenia.*

Owego dnia słowom Sampat z wielką uwagą przysłuchiwał się mężczyzna imieniem Gulab – działacz polityczny należący do charmarów – podkasty dalitów. Charmarów od pokoleń prześladowano w Bundelkhandzie, a w zasadzie w całym kraju. W wielu kręgach społeczeństwa indyjskiego obrazą było zostać nazwanym charmarem. Mowa Sampat o niesprawiedliwości napełniła jego serce smutkiem i wywołała wspomnienie wszelkich problemów społecznych, trapiących niższe kasty i kobiety. Słowem, zobaczył w Sampat pokrewną duszę.

Gulab nigdy przedtem nie spotkał niewykształconej kobiety, która przemawiała z taką pewnością siebie – zwłaszcza w rejonie Bundelkhandu.

– Ta kobieta szerzyła dobrą świadomość. Zgadzałem się z tym, co mówiła. Potem dowiedziałem się też o jej odwadze i pozytywnych działaniach, zapragnąłem więc poznać jej męża i pogratulować mu – wspomina Gulab. Popytał ludzi w Rauli, czy nie wiedzą, gdzie mieszka Sampat, a kiedy dowiedział się, że niedaleko, wyruszył na spotkanie z Munnim, oczywiście nieświadomym podwójnego życia żony.

– Gulab nie wiedział, że działałam potajemnie, i o wszystkim opowiedział mojemu mężowi! W ten sposób mąż zaczął we mnie wątpić. Moje tajemnice wyszły na jaw. Teraz zaczęły się pytania o to, czym się właściwie zajmuję, a ja zaczęłam się bać. Jak dostałaś się do Rauli, skoro Rauli leży dwa kilometry stąd? Na początku próbowałam kłamać, że tam nie byłam. On na to, jeśli nie byłaś, to dlaczego Gulab twierdzi, że cię tam widział? Niepokoiłam

się. Gulab odjechał, a mąż nękał mnie w nocy. Ale powoli nad nim zapanowałam. Powiedziałam:

– Nie wątp we mnie.

Kiedy wszystko wyszło na jaw, Sampat przestała ukrywać swoje wyjścia. Spowodowało to serię głośnych, publicznych kłótni między oszukanym mężem a upartą, zdeterminowaną żoną. Czasem, jak wspomina Sampat, Munni szedł za nią na spotkanie z kijem w ręku i krzyczał na nią przy innych kobietach.

– Mój mąż często mnie przeklina. Postanowiłam, że albo będę od niego słabsza, albo silniejsza. Jak myślicie, co wybrałam?

– Znajdź sobie innego męża. Ja nie będę z tobą żył! – wrzasnął raz do niej Munni w obecności grupy kobiet.

Sampat odpowiedziała krzykiem:

– Nie mam innego męża! Myślisz, że jestem taka głupia, aby działać społecznie kosztem własnego domu? Robię to, by ocalić kobiety i biedaków.

– Kim ty niby jesteś? Wybawcą? – odciął się Munni, odwrócił się na pięcie i poszedł do domu.

Kiedy tego wieczoru Sampat wróciła do domu, okazało się, że Munni w ramach protestu nie zjadł obiadu. Aby go zdenerwować, Sampat nałożyła sobie ogromną porcję. Z premedytacją ignorowała jego dąsy.

– Zjadłam do czysta. Patrzył na mnie z ponurą miną. Ja na to: „Nie chcesz, to nie jedz! To i tak nic nie zmieni. Będę co dzień chodzić na spotkania”.

W czasie długiego milczenia, jakie między nimi zapadło, Sampat nieraz kusilo, by zmusić Munniego do posłuszeństwa, napadając na niego z pomocą innych kobiet. Odrzuciła jednak ten pomysł, wiedząc, że jeśli się na to zdecyduje, okaże słabość. Agresja fizyczna wobec męża nie zaprowadzi spokoju w jej domu. Nie usunie też z jej życia spraw domowych, które odciągały ją od pełnego zaangażowania społecznego, jakiego pragnęła.

Tego wieczoru, kiedy Munni z pustym żołądkiem leżał na swoim *charpoy*, Sampat wybrała inny sposób działania. Postanowiła zarzucić męża o zaściankowej mentalności słowami. Zastosowała rozsądne argumenty i właściwą sobie doskonałą umiejętność perswazji, a także jasno wyrażoną groźbę.

– Pozwól, że ci coś wytłumaczę – rzekła, przysuwając się blisko do niego. – Mężczyźni i kobiety są jak koła w samochodzie. Nie mogą się rozdzielić.

Rozumiesz to? Jeśli będziemy razem, nasze dzieci czeka lepsze życie. Będą się uczyć, pójdą do dobrych szkół. Jeśli będziesz się ze mną kłócić, wyprowadzę się do rodziców, a dzieci zostaną sierotami. A jeśli zechcesz znowu się ożenić, nie pozwolę na to. Ja będę skończona, ale ty tak samo.

Munni rzadko znajdował w sobie dość siły, by sprzeciwić się rozszalałym burzom usposobienia Sampat. Brakowało mu zarówno sprytu, jak siły perswazji i umiejętności posługiwania się słowem. A kiedy już zebrał się na odwagę, by na nią wrzasnąć i obsypać wyzwiskami, jego gniew można było porównać do zwykłej mżawki w zestawieniu z ulewą, jaką była reakcja Sampat. Munni miał zbyt mało determinacji, by upierać się przy swoim, więc przez jakiś czas stawiał symboliczny opór, po czym, co było nieuniknione, wycofał się, zostawiając żonę w spokoju, a tym samym pozwalając jej chadzać wszędzie, gdzie tylko miała ochotę.

Tego dnia – 14 grudnia 2010 – kiedy Sampat wyszła dowiedzieć się czegoś na temat sprawy Sheelu, nie musiała wykradać się z domu potajemnie ani prosić męża o zgodę. Jeśli Munni chce wiedzieć, gdzie przebywa żona, raczej nie ma odwagi ją o to pytać. Woli dowiedzieć się od dzieci. Gdyby jednak zapytał, wiedziałby, że pojechała do Pathary.

Kiedy tylko dotarła do wioski, poszła prosto do Nattu Lala Pala, teścia Ambrawatti, by zapytać go o Sheelu. Nattu był pradhanem, a jego starszy brat prowadził niewielki stragan uliczny, na którym wraz z żoną sprzedawał przekąski i tytoń do żucia. Brat Nattu, który od rana do nocy siedział za straganem, miał najświeższe informacje o tym, co działo się w ich spokojnej wiosce. Nie dość, że całymi dniami obserwował, kto przyjeżdża i wyjeżdża, to jeszcze przechodnie zatrzymywali się przy jego stoisku, by pogadać i wymienić plotki.

Zapytany o Sheelu, odparł:

– Kiedy tu przyjechała, nikt jej nie znał. Sąsiedzi myśleli, że może jest czyjąś krewną. Wychodziła na pole, ścinała trawę, przynosiła ryż.

Poza niespodziewanym przyjazdem do wioski w dziewczynie nie było nic, co zaciekałoby kogoś lub wzbudziło jakiegokolwiek podejrzenia ściśle ze sobą żytych mieszkańców.

Pewnego ranka, może półtora miesiąca po pojawieniu się Sheelu w Patharze, panujący w wiosce spokój został nagle zakłócony przez przyjazd dużego dżipa, w którym siedzieli Achchhe i ludzie Dwivediego.

– Ojciec Sheelu twierdził, że dziewczyna była więziona – wspominał



później Nattu. – Poseł przysłał więc swych braci, by sprawdzili, co to za bandzior ją przetrzymuje.

Sam kategorycznie odrzucił to podejrzenie.

– Wszyscy ją widzieli, jak wychodzi z domu, pracuje, kręci się tu i tam. Chodziła do studni po wodę. Żyła swobodnie, na pewno nie jak więzień. Gdyby była więziona, czemu nie wykorzystałaby okazji, by uciec? Miała ich wiele. Prawda jest taka, że chodziło o Rajju, z którym była w związku – mówił.

Ludzie posła zaczęli szukać Rajju. Znaleźli jego ojca, Gayę Prasadą, i zażądali informacji o miejscu pobytu Sheelu. Kiedy starszy człowiek odmówił, podobno wzięli go za ręce i nogi i w ten sposób trzymali nad studnią przed jego domem.

– Bili go, kopali, zadawali ciosy – wspomina Nattu.

Matka Rajju, którą poznała później Sampat, zeznała, że mężczyźni „kopali go, okładali pięściami i związali”. W wyniku napaści pomagierów posła Gaya Prasad wyjawiał, że Sheelu ukrywa się nieopodal, w małej chatce, należącej do wuja Rajju. Nattu utrzymuje, że pobiegła tam sama, dowiedziawszy się, że ktoś jej szuka. Sheelu i jej rodzina twierdzą natomiast, że została wzięta siłą.

Po uzyskaniu informacji od ojca Rajju mężczyźni cisnęli go na ziemię i skierowali się do chatki. Stanęli przed drzwiami i „zawołali Sheelu, ale ona nie odpowiedziała. Mężczyźni byli przekonani, że dziewczyna jest w środku, więc wyłamali zamek. Zaczęła płakać ze strachu. Gdyby była więziona w chatce, odpowiedziałaby na wezwanie, nieprawda? Mogłaby zawołać: jestem tu, uwolnijcie mnie”, twierdzi Nattu.

Nic więcej na ten temat Sampat się nie dowiedziała. Nattu dodał jeszcze, że mężczyźni wywlekli Sampat z chatki, wsadzili ją do dżipa i odjechali.

– Wtedy ostatni raz widzieliśmy Sheelu – zakończył.

Wysłuchawszy wszystkiego, co Nattu miał do powiedzenia na temat pobytu Sheelu w Patharze, Sampat wróciła do Atarry tą samą drogą, którą pokonała Sheelu uwięziona w samochodzie ludzi posła. Mijając dom Dwivediego, przycisnęła twarz do szyby, by zajrzeć do środka, jakby podejrzewała, że cała tajemnica kryje się właśnie tam.

Dwivedi mieszkał w trzypiętrowym budynku na głównej ulicy Atarry, niedaleko głównej kwatery Różowego Gangu, czyli biura Sampat. Ściany jego domu miały kolor skorupy jajka, a front zdobiły czarne pionowe pasy, przypominające więzienne kraty. Mimo nieciekawej architektury dom nie pozostawiał wątpliwości co do zajęcia jego właściciela. Bezpośrednio pod

tarasem, na wysokości drugiego piętra, biegł poziomy pas w kolorach charakterystycznych dla urzędów państwowych w Uttar Pradeś – krwistoczerwonym i kobaltowym. Z dachu sterczał maszt, w oczekiwaniu na podniesienie flagi państwowej. Prócz opisanych wyżej politycznych atrybutów, anteny satelitarnej i wykonanego sztukaterią znaku *om*, z obu stron zdobionego swastyką – wszechobecnym w Indiach hinduskim symbolem pomyślności, dom był zupełnie nieozdobiony.

Mężczyźni zabrali Sheelu z Pathary do domu posła – miejsca, którego nigdy dotąd nie widziała i które należało do nieznanego jej mężczyzny. Kiedy ojciec oznajmił jej, że odtąd będzie tu mieszkać, wybuchła płaczem.

– Chcę wracać do domu – powiedziała, ale ojciec powtórzył, że „przez jakiś czas” ma zostać właśnie tutaj.

– Nie płacz, Sheelu. To dom posła. Będzie ci tu dobrze. Gdyby coś było nie tak, powiesz mi – Achchhe przypomina sobie słowa, które skierował wtedy do córki.

Dwivedi zdenerwował się podobno, słysząc sugestię, że mogłoby się zdarzyć coś niestosownego.

– Co ty mówisz, Achchhe Lalu? – wspomina jego słowa Sheelu. – Przecież jesteś moim człowiekiem, moim uczniem. Co złego może spotkać twoją córkę u mnie w domu, powiedz? – Odwrócił się do Sheelu i powiedział zdecydowanym tonem: – Córko, zostajesz tutaj.

Sama Sheelu nie ma jasnych wspomnień z tamtej rozmowy. Zostały one zamazane łzami i nawracającymi falami mdłości („Chyba dali mi jakiś środek nasenny, oszałamiający”). Pamięta tylko, że błagała ojca, by zabrał ją do domu. Kiedy zaś Achchhe zasugerował Dwivediemu, że być może jednak byłoby lepiej, gdyby Sheelu z nim wróciła, poseł rzekomo od razu odrzucił ten pomysł.

– Sam powiedz, jakie miejsce będzie dla niej lepsze i bezpieczniejsze niż mój dom? – nalegał. Obiecał następnie, że prócz zapewnienia Sheelu dachu nad głową zaaranżuje dla niej małżeństwo. Propozycja obejmowała nie tylko znalezienie właściwego kandydata, ale również sfinansowanie wiana dziewczyny.

– Powiedział mi: „Achchhe Lalu, jesteś moim uczniem. Świetny z ciebie pomocnik, dzięki tobie zwyciężyłem w wyborach. Zostaw mi swoją córkę. Zaaranżuję jej małżeństwo. Znajdę dla niej chłopaka. Dopilnuję tego –

Achchhe przywołuje słowa posła. – Wyciągnę do ciebie pomocną dłoń. Wydam jeden *lakh* – *lakh* to sto tysięcy rupii – na edukację twojej córki”.

Dopiero ta propozycja ostatecznie rozbroiła Achchhe. Sheelu brakowało już tylko roku do ukończenia osiemnastu lat, a Achchhe wciąż nie znalazł dla niej męża. Po przygodzie z Rajju ojciec prawdopodobnie obawiał się, że nigdy nie uda mu się wydać córki za mąż, a jeśli nawet, to będzie musiał wyposażyć ją w ogromne wiano, ponieważ Sheelu była uważana za „dobro naruszone”.

Kiedy już się dogadali, Achchhe wyszedł. Pojawił się jeden ze służących w domu posła, niejaki Cheddhi i zaprowadził Sheelu do jej pokoju na górze. W pokoju tym nie było okna, a z sufitu zwisała jedna czerwona żarówka, rzucająca na ściany światło koloru krwi. Pomieszczenie było gołe, zimne i nieprzytulne. Stało w nim tylko łóżko, telewizor i stolik nocny.

Ojciec przed odjazdem obiecał, że zajrzy do niej za parę dni, ale było to kiepskie pocieszenie. Sheelu źle się czuła.

– Czułam się jakoś dziwnie. Bolało mnie całe ciało i głowa. Byłam bardzo słaba.

Postanowiła się położyć. Cheddhi dał jej prześcieradło, ale nie miała koca, więc zawinęła się ciasno w swój własny szal.

Kiedy otworzyła oczy, była zupełnie zdezorientowana. Dopiero po chwili przypomniała sobie, gdzie jest. Spała do późna, było już wczesne popołudnie. Rozejrzała się wokół. To, co zobaczyła, pomogło jej wrócić do rzeczywistości, choć dziewczyna miała nadzieję, że to tylko zły sen. Została pozostawiona sama w zupełnie obcym domu, pośród nieznanym ludzi. Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, to: „Kiedy tata mnie stąd zabierze?”.

Wkrótce po tym, jak się obudziła, do jej pokoju weszła młoda kobieta i zaproponowała Sheelu kąpiel. Później okazało się, że dziewczyna ma na imię Rani i jest synową posła.

– Źle się czuję, później się wykąpię – odparła przygnębiona Sheelu. Po jakimś czasie wstała w końcu z łóżka, by się umyć.

Cheddhi dał jej kostkę mydła, szczoteczkę do zębów, pastę i ręcznik. Łazienka znajdowała się tuż obok jej pokoju. Kiedy wyszła z kąpieli, okazało się, że popołudniowe słońce świeci na tyle mocno, że można było wysuszyć włosy na tarasie. Siedziała tam sama.

Z suchymi już włosami powędrowała na parter, by coś zjeść. Wtedy pierwszy raz od przyjazdu zeszła na dół. Cheddhi dał jej trochę *dal*. Jadła

w samotności, powoli. Rani, która również była w domu, nie przyłączyła się do niej.

Po lunchu Sheelu powlokła się z powrotem na słoneczny taras, wychodzący na Banda Road. Panował na niej natężony ruch. Riksze rowerowe, piesi i święte krowy poruszali się w obu kierunkach zaśmiecanej drogi. Na obu poboczach stały stragany ze świeżo wyciskany sokiem owocowym, tytoniem i herbatą. Sheelu wyłowiła spośród tłumu grupkę dziewcząt w bladoniebiesko-białych mundurkach. Wracały ze szkoły. Patrząc na ich końskie ogony i przewieszane przez ramiona torby, poczuła ukłucie żalu i zazdrości. Gdyby żyła moja mama, też bym się uczyła, pomyślała.

Sheelu tylko przez kilka lat chodziła do szkoły w wiosce – białego, betonowego budynku, na którego ścianach widniały ręcznie wymalowane podobizny bohatera politycznego niższych kast, Bhimraya Ramjiego Ambedkara. W szkole tej nie panowała zbyt surowa dyscyplina, jeśli chodzi o naukę. Sama Sheelu wielokrotnie namawiała nauczyciela, by zamiast lekcji pozwalał dzieciom grać w gry sportowe, w których przodowała. Stojąc tego dnia na tarasie i patrząc na przechodzące dziewczęta, których głowy wypełniała nowa wiedza i świeże myśli, ogarnął ją żal z powodu każdej zmarnowanej godziny.

– Teraz jest za późno. Ojciec mówi wprawdzie, że wyśle mnie do szkoły, ale nie zrobi tego – powiedziała później.

Kiedy dziewczęta zniknęły w oddali, Sheelu przeniosła spojrzenie na dwa przedziwne wytwory architektury, znajdujące się w zasięgu jej wzroku. Otóż dom stojący na lewo od domu Dwivediego miał na czubku dachu duży – wysokości Sheelu – betonowy model helikoptera. Dokładnie naprzeciwko niego, po drugiej stronie ulicy, stał dom z jeszcze większą, dekoracyjną rzeźbą samolotu na dachu.

– Ujrzawszy je, pomyślałam: jaka szkoda, że nie są prawdziwe, bo mogłabym do któregoś wsiąść i odlecieć – wspomina dziewczyna.

Po pewnym czasie zjawiła się Rani i Sheelu spytała ją, kim jest. Rani odparła, że jest synową polityka. Nie rozmawiały dużo.

– Nie byłam zbyt rozmowna – mówiła później Sheelu – ale miałam jedno pytanie: „Czy poseł ma córki?”. Rani nie odpowiedziała, a potem w milczeniu odeszła.

Po zapadnięciu zmroku Sheelu znowu zeszła na dół, gdzie zastała żonę posła, kobietę w średnim wieku imieniem Asha Dwivedi. Wymieniły parę

uprzejmości – żadna nie była w nastroju do rozmowy – po czym Sheelu zadała jej pytanie, na które, nie wiedzieć czemu, unikała odpowiedzi Rani.

– Ile ma pani córek? – spytała.

Zaledwie zdążyła wypowiedzieć to zdanie, żona Dwivediego wybuchła płaczem. Między szlochami wyznała, że jej córka „spaliła się i zmarła”, po czym wycofała się do swego pokoju.

Jej wypowiedź nie była jasna. Czy córka sama specjalnie się podpaliła, czy to był wypadek? Tak czy inaczej, po tej dziwnej rozmowie Sheelu zaczęła bardzo się niepokoić. Poszła na górę do swego pokoju. Ogarniał ją coraz większy strach. Jeśli w Indiach młoda kobieta umiera w płomieniach, to na myśl jednoznacznie przychodzi przestępstwo. Dlatego też, jeśli zdarzy się, że kobieta spłonie w ciągu pierwszych siedmiu lat od zawarcia małżeństwa, policja ma obowiązek wykluczyć prawdopodobieństwo „śmierci ze względu na wiano” – czyli zabójstwa synowej, która nie wniosła do małżeństwa wystarczającego majątku. „Śmierć ze względu na wiano”, często zwana „śmiercią kuchenną”, jest w Indiach zjawiskiem tak częstym, że w roku 1986 poświęcono jej odrębny rozdział w państwowym kodeksie karnym.

– Pomyślałam, że tej dziewczynie musiało się przytrafić coś złego. Łzy napłynęły mi do oczu. Chciałam natychmiast uciekać z tego domu.

Drugiej nocy spędzonej w domu Dwivediego, jak twierdzi Sheelu, poseł przyszedł do jej pokoju, kiedy już położyła się spać. Według słów dziewczyny spytał, czy się dobrze urządziła i jak jej się mieszka. Sheelu uznała pytanie za nieszczerze. Pomyślała, że zapamiętał jej płacz przy rozłące z ojcem i wielokrotnie powtarzane słowa, że nie chce tu zostać. Dwivedi, jak twierdzi Sheelu, miał plan, by została w jego domu do końca życia.

Sheelu zeznaje, że na jej prośbę, by pozwolono jej wrócić do ojca, Dwivedi odparł, że tu jest jej nowy dom. Następnie oświadczył, że ma zamiar zaaranżować jej małżeństwo z Cheddhim – służącym, który pierwszego dnia pokazał jej pokój i przyniósł przybory toaletowe. Był on w domu pośła traktowany jak niewolnik i sam pomyśli, że mogłaby zostać jego żoną, był dla Sheelu odpychający.

– Powiedziałałam mu, że nie chcę wychodzić za Cheddhiego. I że ojciec znajdzie dla mnie kogoś z tej samej kasty – zeznawała później.

Jawna odmowa Sheelu rozgniewała pośła. Odwrócił się na pięcie i raptownie wyszedł z jej pokoju. Sheelu podejrzewała, że nie był to ostatni raz, kiedy słyszała o pomyśle małżeństwa z Cheddhim. Bardzo ją to martwiło.

Następnego dnia, gdy Dwivedi wyszedł z domu, Sheelu wyslizgnęła się cicho z pokoju i zeszła na dół. Po raz drugi natknęła się tam na żonę Dwivediego, która, jak potem wspominała dziewczyna, „potraktowała ją całkiem miło”. Przyrządziła dla niej *thaali* z ryżu basmati, soczewicy, marynowanego mango, zielonej papryki i *chapatti*. Asha podała wygłodzonej Sheelu porcję, a potem dokładała jedzenia za każdym razem, kiedy znikало z talerza dziewczyny. Te przejawy matczynej troski sprawiły, że Sheelu pierwszy raz od przyjazdu poczuła się swobodniej. Zwierzyła się starszej kobiecie, opowiadając o planach jej męża względem jej samej i Cheddiego. Twarz Ashy, na której dotąd malowały się ciepło i łagodność, stężała.

– Nie zgadzaj się na to, rozumiesz? Odpowiedz „nie” – poinstruowała kobieta. Na prośbę Sheelu, by Asha spróbowała wyperswadować mężowi ten plan, ta stanowczo odmówiła.

Sheelu nie mogła więcej jeść.

– Jak mogłam jeść, mając na sercu taki ciężar? Jedzenie nawet nie było mi w głowie. Jak się stąd wydostać? Jak?

Asha, widząc, że Sheelu wygląda na chorą i osłabioną, zasugerowała odpoczynek i drzemkę. Dziewczyna posłuchała. Rani poszła za nią po schodach. W drodze do pokoju Sheelu zatrzymała się na chwilę na tarasie i zapatrzyła na tętniącą życiem Banda Road.

– Którędy idzie się do Naraini? – zapytała stojącą obok niej Rani. Naraini było większym miasteczkiem niedaleko rodzinnego domu Sheelu.

– Tędy – odparła Rani, wskazując na lewo.

Tego wieczoru Sheelu zjadła kolację wraz z innymi domowniczkami, Ashą i Rani. Ku jej uldze Dwivedi znowu wyszedł, miała więc nadzieję, że kolejna nieprzyjemna rozmowa na temat ślubu z Cheddhim zostanie odroczone przynajmniej do następnego dnia, a wtedy – być może – jej już w tym domu nie będzie.

Po kolacji poszła do swojego pokoju i zaczęła rozważać możliwości ucieczki. Kiedy leżała na łóżku i rozmyślała, co robić, pozbawione zamka drzwi gwałtownie się otworzyły. Stał w nich Dwivedi.

Ponownie powiedział, że planuje jej małżeństwo z Cheddhim, i że oczekuje jej zgody. Kiedy odmówiła, podobno zaczął ją bić. Unikając ciosów, Sheelu rzuciła się w stronę położonej tuż obok łazienki. Zdołała do niej dopaść, ale zanim zamknęła za sobą drzwi, mężczyzna wsunął w szparę ramię i chwycił

ją. Nie minęła minuta, jak twierdzi Sheelu, a stała przyciśnięta do ściany, podczas gdy on swymi grubymi paluchami zatykał jej usta. Powtórzył, że poślubi Cheddhiego.

– A kiedy to zrobisz, obaj będziemy cię pieprzyć – dodał z pogardą.

Chwycił ją mocno, nie przestając zatykać ręką jej ust i poprowadził do łóżka. Gardło Sheelu zacisnęło się tak mocno, jak sznurek w jej *salwar* – luźnych, bawełnianych spodniach. Poczowała ucisk w żołądku. Dwivedi wolną ręką sięgnął po pilota leżącego na nocnym stoliku i włączył telewizor, po czym nastawił maksymalną głośność. Pokój wypełnił się mrugającym, niebieskawym poblaskiem i przenikliwym echem głosów, reklamujących w języku hindi najnowsze produkty.

# *Rozdział czwarty*

## **MIŁOŚĆ W BUNDELHKANDZIE**

CZYM JEST MIŁOŚĆ? POZWÓL, ŻE WYJAŚNIĘ.

M – TO MORZE SMUTKU,

I – IDYLLI KRES.

Ł – TO ŁKAŃ DOLINA,

O – OCEAN ŁEZ.

Ś – JAK ŚMIERCI ZEW,

Ć – ĆMY ŻAŁOBĄ JEST.

– *Babuji*

Sheelu przywieziono do więzienia okręgowego w Bandzie 14 grudnia po zapadnięciu zmroku, o 20.16. Już sam rozpadający się budynek z ery kolonialnej, zbudowany przez Brytyjczyków w 1860 roku z myślą o „mordercach i złodziejach bydła” świadczył o niewielkim poszanowaniu wobec prawa, od lat panującym w Bundelkhandzie. Samo miejsce wystarczyło, by wzbudzić przerażenie młodej kobiety, która się tam znalazła, choć kilka ostatnich dni zahartowało Sheelu i przygotowało ją na najgorsze – które dopiero miało nadejść.

Sheelu twierdzi, że po tym, kiedy poseł zgwałcił ją pierwszej nocy, skrzywdził ją jeszcze następnego dnia. Około 3 nad ranem 13 grudnia, kiedy – według słów Sheelu – miał zamiar zrobić to po raz trzeci, wykorzystwała szansę ucieczki.

– Chciał mnie znowu zgwałcić. Był w łazience... Usłyszałam trzask drzwi do łazienki i pomyślałam, że teraz albo nigdy – wspomina Sheelu.

Zanim jednak uciekła, wzięła telefon komórkowy, który ładował się w domu (jak utrzymuje, była przekonana, że to jej telefon). Następnie nieoświetlonymi drogami udała się pieszo na południe. Nie wiadomo, dokąd zmierzała, ale złapano ją w wiosce Turra, kilka kilometrów od Atarry. Dwivedi wiedział, gdzie była, bo telefon wyposażony był w funkcję namierzania lokalizacji.

Podczas gdy szukali jej ludzie Dwivediego, do Atarry wezwano Achchhego i właśnie wtedy rzekomo grożono mu i przypiekano go nad ogniem. Zgodnie z tym, co twierdzi Achchhe, kiedy Dwivedi dowiedział się o odnalezieniu Sheelu, odesłał go do domu, odmawiając mu spotkania z córką. Sheelu odprowadzono zaś z powrotem do domu pośła, gdzie – jak zeznaje – jego ludzie napastowali ją i grozili jej. Następnie zabrano ją na posterunek policji. Dopiero po upływie dwudziestu czterech godzin – 14 grudnia o 9.30 – syn



posła, Mayank, złożył doniesienie o kradzieży, której rzekomo miała dokonać dziewczyna. Do tego czasu wieść o aresztowaniu Sheelu rozeszła się już po miasteczku.

– Ci ludzie byli pijani. Bili mnie. Zabrali mnie na policję i oskarżyli, że jestem złodziejką. Bił mnie nawet sam inspektor, mimo że mówiłam prawdę. Napisał fałszywy raport i wysłał mnie do aresztu.

Gazeta „Hindustan” zauważyła wówczas, że sprawę Sheelu okrywa szczelna zasłona tajemnicy. „Dlaczego ta sprawa prowadzona jest z dala od mediów? Dlaczego nie odszukano rodziny tej dziewczyny? Kiedy policji uda się aresztować nawet drobnych złodziejasków, dumnie się z tym obnoszą. Czemu w przypadku Sheelu było inaczej?”. Sporo czasu miało upłynąć, zanim znaleziono odpowiedzi na te pytania.

Dziewiętnastego grudnia Sampat wybrała się do więzienia okręgowego w Bandzie z nadzieją spotkania z Sheelu.

– Siedziała w więzieniu... Chciałam osobiście się z nią widzieć, żeby się dowiedzieć, o co tam w ogóle chodzi. Jeśli sam nie porozmawiasz z prześladowanymi, nigdy ich nie usłyszysz... – mówi.

Sampat świetnie znała więzienie, choć wolałaby oczywiście znać je z innego powodu. Otóż bywała w nim dość często, ponieważ jej zięć Tirath Pal spędził w nim ostatnie dziewięć lat za morderstwo, którego – jak twierdzi Sampat – nie popełnił. Rodzina Tiratha uwikłana była w spór z sąsiadem należącym do wyższej kasty. Powodem konfliktu było wtargnięcie stada kóz bramina na ich ziemię. Sampat twierdzi, że kiedy rodzina Tiratha próbowała odegnąć zwierzęta, między wujem Tiratha a braminem wybuchła kłótnia, w wyniku której wuj został zastrzelony.

– Jego rodzina wniosła sprawę do sądu i doszło do procesu, ale sąsiad miał pieniądze i przekupił policję. Natychmiast wyszedł za kaucją – przypomina sobie Sampat.

Po wypuszczeniu sąsiada z więzienia antagonizm między nim a rodziną Tiratha znacznie się zaostrzył. Napięte stosunki utrzymywały się aż do czasu, kiedy, według słów Sampat, tamta rodzina fałszywie wplątała Tiratha w morderstwo w miasteczku Fatehpur.

– Biedak tak długo siedział w więzieniu za przestępstwo, którego nie popełnił – mówi Sampat.

Żałuje, że Tirath nigdy nie poprosił jej o pomoc i uważa, że gdyby we właściwym czasie interweniowała, nie doszłoby do najgorszego.

– Nigdy nie poprosił mnie o pomoc. Nie wierzył, że mogłabym coś dla niego zrobić. Przecież myślał, że jestem zwyczajną kobietą – mówi Sampat i wzrusza ramionami. Tirath został aresztowany w 2004, a Sampat założyła Różowy Gang dwa lata później.

Uwięzienie Tiratha całkowicie załamało Prabhę, najstarszą córkę Sampat, która musiała teraz sama wychowywać czworo dzieci.

– Po tym, co zaszło, życie stało się dla niej bardzo trudne. Właściwie każdy dzień spędzała we łzach.

Prabha to piękna kobieta tuż po trzydziestce. Ma migdałowe oczy o smutnym spojrzeniu, miękkie wargi i długie, zmierzwione czarne włosy. Przekonuje się do ludzi powoli. Otaczająca ją aura melancholii pryska, kiedy się ją rozśmieszy, ale tylko na krótką chwilę. Po aresztowaniu Tiratha Prabha wyprowadziła się z powrotem do rodziców, by pomogli jej przy dzieciach. Niewiele żon, kiedy mąż jest nieobecny, życzyłoby sobie pozostać w domu teściów, ale większość robi to, ponieważ powrót do domu rodzinnego po zawarciu małżeństwa jest społecznie nieakceptowany. By zabić czas i dołożyć się do domowego budżetu, Prabha siadła do maszyny Singer na pedał i zaczęła szyć *choli* – krótkie koszulki na ramiączkach noszone do sari. Sampat, której szycie przyniosło swego rodzaju wolność osobistą, zawsze twierdziła, że kobieta powinna nauczyć się szyć, by w razie potrzeby móc na siebie zarobić. Dotyczyło to również jej córek. Teraz, w trudnych czasach, Prabha, chcąc związać koniec z końcem, wykorzystwała tę umiejętność.

Niestety nie była jedyną spośród córek Sampat dotkniętych tragedią. Jej drobna, gibka młodsza siostra Champa, również samotna matka, także spędzała całe dni przy maszynie.

– Śpię i szyję, nic innego nie robię – mówi Champa.

Ma wystające kości policzkowe i silnie zarysowaną linię szczęki, dodatkowo podkreśloną szramą w kształcie półksiężyca, pozostałą z czasów dzieciństwa. Biegła, by przynieść wujowi topór, upadła i nadziała się na odłamek szkła. Sampat zostawiła wtedy swego nowo narodzonego syna Munnę samego i pospieszyła do córki. Wywołało to oburzenie jednej z sąsiadek:

– Podobno dziś urodził ci się syn! Czemu go zostawiasz i biegniesz do córki? – wspomina Sampat. Pamięta, jak odpowiedziała, że według niej córka jest równie ważna jak syn.

Champa była kiedyś żoną mężczyzny imieniem Rakesh Pal, powszechnie nazywanego „Doktorem Sahebem”, ponieważ przeszedł podstawowy kurs medycyny ajurwedyjskiej. Po ślubie wprowadziła się do jego domu, wciąż nawiedzanego przez mroczne wspomnienia nagłej, niespodziewanej śmierci pierwszej żony. Champa pamięta to wydarzenie z dzieciństwa. Pewnego dnia, kiedy szła do studni, zobaczyła, że nad domem Rakesha unosi się dym.

– Pobiełam i powiedziałam mamie: „Mamo, patrz, dom Rama Vili się pali! – wspomina, używając przezwiska męża. – Kiedy ugaszono ogień, zobaczyłam ją. Ludzie mówili: „To żona Rakesha się spaliła”. Przed domem zgromadziło się wielu, wielu ludzi.

Pierwsza żona Rakesha należała do niezliczonych indyjskich kobiet, które zginęły w płomieniach. Nawet jeśli była to śmierć samobójcza, wszyscy zastanawiali się, z jakiego powodu młoda kobieta wolała zakończyć życie. Dowiedziała się tego Champa, kiedy została drugą żoną Rakesha. Otóż matka tego mężczyzny uważała każdą dziewczynę, która weszła do jej rodziny, za służącą.

– Po ślubie zostałam u nich przez rok, ale potem wróciłam. Nie chciałam bez końca mieć ziarna i pracować w gospodarstwie. A jak nie chciałam pracować, moja *saas*, teściowa, biła mnie – wspomina Champa. – Byłam kiedyś chora, a ona wywróciła łóżko, krzycząc: „Ona ciągle choruje!”. W tej samej chwili weszła moja młodsza siostra, Nisha, i zobaczyła, co się dzieje. Zawróciła bez słowa i we łzach pobiegła do naszej mamy. Mama od razu przyszła i wyniosła mnie stamtąd na rękach niczym dziecko. Powiedziała mojej *saas*: „Niechby tylko coś się stało mojej córce, już ja bym ci pokazała!” – mówi Champa. – Na to moja *saas*: „Jedna synowa już umarła. Nic się nie stanie, jeśli umrze i druga”.

Przez następne cztery lata Champa z dziećmi mieszkała u Sampat w Badausie. Jej mąż, który w tym czasie przebywał poza domem, pracując w fabryce dywanów w Waranasi, po powrocie wprowadził się również do Sampat, a po zdobyciu uprawnień otworzył klinikę medycyny ajurwedyjskiej w Atarze tuż obok biura Sampat. Kiedy zaoszczędzili trochę pieniędzy, zbudowali sobie dom niedaleko domu rodzinnego Champy. Wszystko wskazywało na to, że udało im się przezwyciężyć trudności z początkowego okresu małżeństwa.

Pewnego poranka Champa obudziła się i stwierdziła, że mąż, który

poprzedniego wieczoru pojechał do znajomych do pobliskiego miasteczka, nie wrócił na noc. Najmłodsze dziecko Champy – delikatna dziewczynka imieniem Himanshi, do złudzenia przypominająca lalkę, przy śniadaniu powiedziała matce, że tata nigdy nie wróci. Skąd wiedziała? Himanshi odparła na to, że papa przyszedł do niej we śnie i sam jej to powiedział. Parę godzin później policja poinformowała Champę, że odnaleziono ciało jej męża. Został na śmierć zarąbany toporem. Sprawa do dziś nie została wyjaśniona.

Choć na tę tragedię Sampat nie miała żadnego wpływu, to na inne owszem. Trzy córki Sampat twierdzą, że zostały wydane za mąż, kiedy wciąż były nastolatkami. Champa – w wieku lat trzynastu.

– Byłam w ósmej klasie – mówi. – Na egzaminy szłam z domu teściów. Nie zdałam jednego czy dwóch egzaminów, ale szkołę ukończyłam, bo nauczyciel zasugerował, żebym przedstawiła zaświadczenie lekarskie – Champa przypomina sobie swoje ostatnie dni w szkole. – Byłyśmy wtedy w bardzo złej sytuacji. Starsi mówili: „Córki ci się starzeją, wydaj je za mąż” – wspomina. – Mama wyrzuca sobie, że zostałyśmy tak młodo wydane. Czasem się z nią o to kłóczę. Mam zniszczone ciało przez to, że tak wcześnie rodziłam dzieci. Podupadam na zdrowiu. Ona na to: „Co się stało, to się nie odstanie. Ja jestem waszą podporą i podporą waszych dzieci”.

Sampat zdarzało się zaprzeczać, jakoby jej córki zostały wydane za mąż, zanim stały się pełnoletnie. Innym razem twierdziła, że rzeczywiście tak było, ale nie mogła zrobić nic, by temu zaradzić.

– Zawsze wiedziałam, że to złe, ale teściowie to na nas wymuszali. Wtedy nie byłam w stanie im się sprzeciwić – mówi.

Być może dlatego jedyną córką Sampat, której udało się uniknąć ślubu w wieku dziecięcym, jest Nisha – najmłodsze dziecko, wychowane w Badausie, nie w Gadarian Purvie. W przeciwieństwie do sióstr Nisha dostała się do college’u i uzyskała gwarancję rodziców, że przed ukończeniem szkoły nie będzie musiała wychodzić za mąż.

Na ironię losu kobieta, która pomogła tylu innym w Bundelkhandzie przejąć kontrolę nad własnym życiem, nie zdołała ochronić własnych córek przed piekłem przedwczesnego małżeństwa.

– Nigdy nie cieszyłam się młodością, bo wyszłam za mąż w wieku dwunastu lat. Co się wtedy wie? Potem urodziły mi się dzieci, gdy byłam jeszcze bardzo młoda. Na tym upłynęła mi cała młodość. Lata dzieciństwa spędziłam w nienawiści, bo zamiast bawić się i uczyć, zostałam do kogoś

przywiązana. Potem, w wieku piętnastu lat, zostałam matką. Więc byłam jeszcze bardziej ograniczona – mówi Sampat.

Kiedy Sampat urodziła pierwszą córkę, miała co do niej wielkie nadzieje. Jak wszyscy rodzice, pragnęła, by Prabha miała lepsze życie.

– Ludzie smucili się, gdy rodziła się dziewczynka, ale ja byłam szczęśliwa. W ciąży wyobrażałam sobie, że Bóg da mi najpierw córeczkę. Myślałam, że tyle ją nauczę. Przede wszystkim, że zapewnię jej odpowiednie wykształcenie. Moi rodzice nie pozwalali mi się uczyć. Ja postanowiłam wykształcić córkę.

Musiała urodzić jeszcze czworo dzieci, by móc zrealizować swe plany chociaż względem jednej z córek.

\*

Owego grudniowego poranka, kiedy Sampat przybyła do więzienia okręgowego w Bandzie, by odwiedzić Sheelu, zastała Tiratha za biurkiem.

– Przyszła twoja teściowa. Chce się z tobą widzieć – powiedział do niego kolega.

Tirath – mężczyzna o miedzianobrazowych włosach, szerokich ramionach, ale szczupłej sylwetce, większą część dnia spędzał schylony nad biurkiem w administracji więzienia, gdzie pełnił obowiązki urzędnika, za co wypłacano mu nawet niewielką pensję. Do jego zadań należało wprowadzanie do ksiąg więziennych szczegółowych informacji o nowych skazanych, notowanie pór posiłków i godzin otwierania i zamykania bram więzienia w danym dniu, a także godzin wyjścia skazanych na rozprawy sądowe i ich powrotu. Wypełniał też formalności związane z więźniami, którzy zakończyli odbywanie kary.

– Nazywają mnie „pisarzem”, bo zajmuję się głównie pisaniem.

Widząc go za biurkiem wśród znaczków, długopisów i ogromnej księgi rachunkowej, nikt nie przypuszczałby, że to więzień – gdyby nie żółty mundur. Monotonna praca urzędnicza, którą wykonywał co dnia od szóstej rano do szóstej po południu, pozwalała mu zapomnieć o prawdziwej przyczynie pobytu w tym ponurym miejscu.

Tirath ucieszył się z odwiedzin Sampat, miał bowiem pewne tajne i cenne informacje, którymi chciał się z nią podzielić. Domyślał się, że powodem wizyty teściowej musiała być Sheelu – młoda kobieta, obecnie ciesząca się największą sławą wśród więźniów. Podobnie jak wszyscy, Tirath śledził jej historię od pierwszej relacji w gazetach.

– Jaka dziewczyna zrobiłaby coś takiego? – zadawał sobie pytanie, mając na myśli oczywiście kradzież.

– Wkrótce się tu znajdzie, to się jej przyjrzymy – rzekł jeden z współwięźniów, który, podobnie jak wszyscy, wyczekiwał jakiegokolwiek odmiany w nużącej codzienności.

W dniu, kiedy przywieźli Sheelu, Tirathowi udało się dowiedzieć na jej temat nawet więcej, niż się spodziewał. Widział w sąsiednim biurze młodą dziewczynę, rozmawiającą z lekarzem więziennym R.C. Sahu i ze znajomą Tiratha, strażniczką Shahjehan Begum. Dziewczyna miała zapuchnięte oczy, ścisnęła głowę rękami i we łzach rozmawiała z lekarzem. Tirath domyślił się, że to Sheelu i że lekarz przeprowadza z nią rutynowy wywiad, jak z każdym nowym więźniem. Kiedy skończyli, Tirathowi udało się złapać Shahjehan w korytarzu i zapytać ją o dziewczynę.

– Mówiła, że dziewczynie przydarzyło się coś bardzo niedobrego... gwałt. Krwawiła – zeznaje później. Co gorsza, Shahjehan wyznała Tirathowi, że lekarz więzienny odmówił zawiadomienia o tym policji. Wszystkie okoliczności prowadzące do uwięzienia Sheelu miały być zatuszowane.

Sampat po powitaniu z zięciem powiedziała cicho:

– Spotkanie z tobą to tylko pretekst. Naprawdę przyszłam zobaczyć się z Sheelu.

Sampat była pewna, że Sheelu będzie tego dnia w rozmównicy. Dowiedziała się bowiem od Amita – redaktora gazety „Hindustan”, że planowała ją odwiedzić matka Rajju, Sunaria. Dałoby to Sampat możliwość spotkania z dziewczyną w tej samej rozmównicy. Amit obiecał też napisać relację z odwiedzin Sampat u Sheelu, żeby skierować na sprawę dziewczyny więcej uwagi.

Przy bramie do więzienia Sampat widziała, że wielu dziennikarzy lokalnych gazet codziennych próbuje zdobyć zezwolenie na wejście, by również spotkać się z Sheelu – niestety bezskutecznie. Sama Sampat miała jednak dar pokonywania wszelkich przeszkód, jakie tylko mogły wyrosnąć na jej drodze – niezłomną wolę i niezwykłą zaradność. Ostatnio jechała na spotkanie z jedną z członkiń Różowego Gangu do małej osady w pobliżu Atarry. Wiozący ją samochód na wąskiej, błotnistej grobli między zalanymi polami natknął się na jadący z przeciwka traktor. Nie było możliwości, by pojazdy się wyminęły. Sampat bynajmniej nie miała zamiaru się wycofywać.

– Z drogi, cofnij się! – wrzeszczała przez okno do traktorzysty, nakazując

mu ustąpić, co posłusznie zrobił. Zwycięska, z uśmiechem na ustach powiedziała do swych towarzyszy podróży:

– Zawsze stawiam na swoim.

Tego dnia w więzieniu w Bandzie jej misja wymagała jednak nieco dyskrecji. Celowo przyszła sama. Nie chciała przyciągać większej uwagi, przybywając w towarzystwie innych członkiń Gangu – za wcześnie jeszcze było, by je angażować. Miała nadzieję, że wślizgnie się cichaczem do więzienia i w spokoju porozmawia z Sheelu. Nie włożyła różowego sari – po pierwsze, by nie rozpoznał jej żaden z ludzi Dwivediego, którzy, jak sądziła, mogą kręcić się w pobliżu, a po drugie, chciała sprawiać wrażenie, że jej wizyta ma charakter prywatny, nie „służbowy”.

Sampat i Tirath skierowali się razem do rozmównicy, długiej szopy krytej blachą falistą mieszczącej się na podwórzu. Więźniowie i ich rodziny siedzieli w niej na matach na ziemi w dwóch długich rzędach – kobiety bliżej wejścia do szopy, a mężczyźni w głębi. Przy wejściu wokół małego ogniska grzali się strażnicy.

Kiedy Sampat i Tirath usiedli, Sampat zapytała zięcia, czy widzi Sheelu. Tirath odparł, że tak i wskazał ją ręką.

Siedziała po turecku przy Sunarii, która pieszczotliwie głąskała ją po głowie i szeptała jej coś do ucha. Przed nimi leżały ubrania i *lai* – słodka przekąska, którą matka Rajju kupiła pewnie dla dziewczyny. Więźniowie mogli dostawać papierosy, *gutka* (łagodny stymulant, spożywany podobnie jak tytoń do żucia), ciastka i *landu* (słodka kulka z mąki, mleka i cukru, którą można kupić w hinduskich świątyniach), ale wnoszonych za mury więzienia produktów spożywczych darczyńca musiał spróbować na oczach więźniów, by udowodnić, że nie zawierają trucizny.

– To matka Rajju – powiedziała Sampat ledwie słyszalnym szeptem.

– Tak, a skąd wiesz? – zapytał zdziwiony Tirath.

– Amit mi mówił, że się tu wybiera – odparła.

„To dowodzi, że Sheelu faktycznie uciekła od Rajju – pomyślała sobie Sampat. – W przeciwnym razie czemu widziałabym tu jego matkę?”

Sampat wstała z maty i podeszła do Sheelu. Wcześniej nigdy się nie widziały. Sheelu mówiła później, że nie miała pojęcia, czego chciała od niej ta kobieta.

– Sheelu, nazywam się Sampat Pal – przedstawiła się Sampat, pochylając

się nad dziewczyną.

Przedstawiając się ludziom, Sampat wymawia swoje nazwisko tak dobitnie, że nawet ci, którzy przedtem o niej nie słyszeli, od razu dostrzegają w niej siłę, solidność i pewność. Kiedy obiecuje pomoc, jej gesty odzwierciedlają żarliwość głosu – kładzie rękę na sercu lub podnosi w górę zaciśniętą pięść – symbol mocy, a ciemnozielone, bursztynowo nakrapiane oczy skupia na oczach rozmówcy. Sampat powiedziała do Sheelu:

– Należę do Różowego Gangu. Dopilnujemy, żeby traktowano cię zgodnie z prawem. Nie mów nic tutaj. Powiesz w sądzie. Nie zmieniaj zeznań i nie lękaj się, kiedy będą na ciebie naciskać...

Zanim zdążyła skończyć zdanie, ktoś doniósł jednemu ze strażników, że Sampat Pal rozmawia z Sheelu.

– Siadać! – rozkazał. – Wracać na swoje miejsce! – krzyknął i wskazał na matę naprzeciwko Tiratha. Zanim jednak podszedł bliżej, Sampat zdążyła powiedzieć Sheelu ostatnie zdanie:

– Nie bój się. Jestem tu i będę o ciebie walczyć.

Kiedy strażnik, który rozpoznał w Sampat przywódczynię Różowego Gangu, podszedł, by odprowadzić ją na miejsce, poradził jej:

– Sampat-ji, jeśli chcesz się widzieć z Sheelu, przyjdź dwudziestego czwartego grudnia do sądu. Ona tam wtedy będzie.

Sampat usiadła naprzeciwko Tiratha, a on szeptem powiedział jej to, co od samego początku podejrzewała – że Dwivedi zgwałcił Sheelu.

– To bardzo delikatna sprawa – dodał.

Sampat nie była zdziwiona.

– Wydobędziemy ją stąd, wiesz? – odparła z pełnym przekonaniem. – Miej uszy i oczy otwarte i mów mi, jeśli jeszcze czegokolwiek się dowiesz – poinstruowała zięcia, po czym podniosła się i wyszła.

\*

Jedną z pierwszych osób, które Sampat wtajemniczyła w swe najświeższe odkrycia w sprawie Sheelu, była Geeta Singh. To właśnie ona, dwudziestosześcioletnia szefowa dystryktu Różowego Gangu, zaalarmowała Sampat o podejrzanym aresztowaniu dziewczyny i była tą sprawą wyjątkowo zainteresowana. Geeta to wysoka kobieta o rumianych policzkach. Mieszka w miasteczku Chitrakoot w jednopokojowym mieszkaniu na parterze, leżącym trzydzieści kilometrów na południowy zachód od Atarry. Chitrakoot



to popularny cel pielgrzymek – według mitologii hinduskiej bóstwa Sita i Ram wspólnie spędziły tam wygnanie. Dlatego miasteczko nieustannie spowija dym kadzidełek i wypełnia brzęk dzwonek do modlitwy. Drzwi mieszkania Geety wychodzą na wąską boczną uliczkę prowadzącą do świątyni hinduskiej, ozdobionej trójkątnymi pomarańczowymi flagami. Geeta mieszka z dwuletnią córeczką i mężem imieniem Deepak. Przynajmniej raz dziennie do jej salonu wsadza łeb krowa zebu z wygiętymi w półksiężyc rogamami i przez chwilę przygląda się leniwie domownikom, mrugając długim, czarnymi rzęsami. Przeciętny dzień Geety przerywa seria niezapowiedzianych wizyt – prócz szwendających się krów zaglądają tu kobiety w potrzebie: te, które uciekły od agresywnych mężów i te, które chciałyby uciec z kochankami, oraz klienci męża Geety, który zajmuje się udzielaniem krótkoterminowych pożyczek. Aleją prostopadłą do jej uliczki przemierzają się pielgrzymi w szafranowych szatach – pieszo lub w przeładowanych autobusach zmierzających do Hanuman Dhara, świętego miejsca na wzgórzu poza miastem, gdzie czci się hinduskiego boga-małą, Hanumana.

Geeta i Sampat pozostają w ciągłym kontakcie – rozmawiają przynajmniej raz dziennie. Jeżeli Sampat chce przekazać członkiniom Gangu informację o proteście, w którym mają wziąć udział, dzwoni do Geety i trzynastu innych szefowych dystryktów. One z kolei dzwonią do Sampat po radę w rozwiązywaniu lokalnych spraw, którymi się zajmują.

– Siostra to nasza szefowa, prawda? – mówi Geeta.

Szefowe dystryktów spotykają się tylko przy okazji większych protestów, wymagających współpracy między różnymi oddziałami organizacji. Na co dzień są w kontakcie telefonicznymi i działają jako odrębne jednostki. Podróże – nawet na krótkie dystanse – są bowiem zbyt drogie i uciążliwe, by organizować regularne spotkania. Zarówno Geeta, jak inne szefowe dystryktów Gangu załatwiają mniej poważne sprawy, czyli takie, „gdzie można dojść do porozumienia, jak w waśniach rodzinnych”, mówi Sampat. Natomiast z większymi problemami, w których Gang musi wystąpić przeciwko lokalnym władzom, szefowe dystryktów dzwonią do Sampat.

– Jeśli działają na własną rękę, władze mówią im często: „Przyprowadźcie przewodniczącą”, więc wtedy muszę jechać – wyjaśnia rzeczowo Sampat.

Geeta bez trudu godzi macierzyństwo i zaangażowanie w pracę społeczną. Kiedy jest zajęta, włącza córce telewizor, stojący na niskim stoliku naprzeciwko sofy, która w nocy jest rodzinnym łóżkiem i która zajmuje

połowę powierzchni ciasnego mieszkania. Za telewizorem widać plastikowy, trójkołowy rowerek, bukiet nieco wyliniałych pawich piór, stalowe garnki i duże, plastikowe butle taniego oleju. Reszta rodzinnego majątku mieści się w wielkiej metalowej skrzyni stojącej w nogach łóżka. Córka Geety czasami mieszka z rodzicami, a czasami u dziadków ze strony Deepaka w Atarze, by młodzi rodzice nie byli znanadto obciążeni kosztami jej wychowania.

– Uwielbia drogie słodycze, codziennie wydajemy na nią pięćdziesiąt rupii, a nie zawsze mamy pieniądze – skarży się swym nieco ospałym głosem Geeta, która nauczyła córkę okrzyków bojowych Różowego Gangu.

– Niech żyje Sampat Pal! Niech żyje Gang! – woła cienkim, piskliwym głosem dziewczynka, zachęcona przez matkę, która często zabawia w ten sposób odwiedzając ją członkinie organizacji.

Pracę Geety bardzo ułatwia jej mąż Deepak, mężczyzna tuż po trzydziestce, z wąsami i pięknymi, czarnymi włosami, zaczesanymi do góry na żel. Deepak ubiera się „nowocześnie”. Nosi dzinsy i pastelowe koszule z mieszanki bawełny i poliestru. Jest zdolnym kucharzem, znakomicie przyprawia jedzenie i wyszukuje na targu najświeższe warzywa, kurczaka i ryby. To prawdziwy łakomczuch. Jeden z jego ulubionych składników – tłuszcz ptasi koloru groszku – stoi w słoiku na półce nad piecem.

– To najlepszy tłuszcz, tylko powąchaj – zachęca swych gości.

Potrafi ugotować wiele rozmaitych potraw. Jedna z nich to curry z zółwiego mięsa, danie w pozostałych częściach Indii niespotykane. Deepak w żartach obiecuje znajomym, że jeśli złapią zółwia w pobliskim rezerwacie, gdzie nad rzeką podobno żyje ich mnóstwo, chętnie przyrządzi im to danie. Jak na razie – biorąc pod uwagę ryzyko grzywny za kłusownictwo – nikt z tej miłej propozycji nie skorzystał.

Dla Deepaka gotowanie to nie tylko sposób na „zabicie czasu”, to przede wszystkim jego pasja, która decyduje o podziale obowiązków między tym nowoczesnym panem domu a szefową dystryktu Różowego Gangu. Ponieważ ze względu na charakter pracy zawodowej Deepak większość dnia spędza w domu, często opiekuje się też córką, kiedy ta akurat nie przebywa u dziadków.

– Większość dzieci najpierw uczy się mówić „mama”, a pierwszym słowem naszej córki było „tata” – śmieje się Deepak.

Geeta często wyjeżdża, a godziny jej pracy bywają nieprzewidywalne. Czasem jednak, kiedy nie ma z kim zostawić córki, zabiera ją na protesty.

W pracy zawodowej Deepak postępuje równie niekonwencjonalnie, jak w życiu prywatnym. Jego dwieście tysięcy rupii, czyli prawie cztery tysiące dolarów, krąży w postaci pożyczek między czternastoma osobami. Mówi o sobie „pożyczkodawca z misją społeczną”. Nie tylko sponsoruje działania Geety w ramach Gangu (finansuje jej wyjazdy na protesty, opiekę medyczną dla poszkodowanych żon i posiłki dla kobiet, które zatrzymują się u nich w domu), ale nie naciska na biednych ludzi, by zwrócili pożyczkę, jeśli nie mogą sobie na to pozwolić. Mimo takiego charytatywnego podejścia w pracy towarzyszy mu pewien niepokój.

– Nie lubię żyć z odsetek, które zarabiam – mówi ze smutkiem. – Nie chcę ściągać na siebie nieszczęścia, więc szybko wydaję pieniądze.

Kiedy Sampat oznajmiła Geecie, że Sheelu oskarża posła o gwałt, ta wcale nie była zdziwiona. Słyszała już od Deepaka, że to człowiek bez skrupułów. Deepak miał podstawy, by tak sądzić – pracował dla Purushottama Naresha Dwivediego w czasach, kiedy ten był znanym w całym rejonie potentatem alkoholowym. W rzeczywistości tak narodził się pomysł biznesu pożyczkowego – Deepak pozwalał pijakom kupować trunki na kredyt, oczywiście ze znacznym procentem. Kiedy poznał Geetę, sam pił tyle, że znajdował się na krawędzi alkoholizmu. Dzięki pomocy żony udało mu się na szczęście przezwyciężyć nałóg.

Deepak zaczął pracować w trawionej korupcją branży alkoholowej w wieku około osiemnastu lat. Zaczynał pod kuratelą swojego dalekiego kuzyna nazwiskiem Lala Ghanshyam Singh, okrytego złą sławą bohatera półświatka Atarry. Lala stylizował się na przestępcę z Dzikiego Zachodu – chodził w kapeluszu kowbojskim i galopował przez miasto na ogierze. Miał bliskie związki z rodziną Dwivediego i rzekomo to on zaangażował przyszłego polityka i jego braci do współpracy.

Deepak prowadził trzy sklepy z alkoholem – jeden w Atarze, a dwa kolejne w Badausie i Khorandzie. Wszystkie należały do brata posła, Rama Naresha Dwivediego, którego ulica ochrzciła „Małym Księciem Alim”.

– Cieszy się złą sławą – mówi o swym byłym szefie Deepak, ale to eufemizm. Deepak utrzymuje, że Mały Książę Ali, który bardzo się jąkał, często korzystał z usług prostytutek w małym hotelu, prowadzonym z kolei przez innego krewnego Deepaka. Deepak pamięta, jak policja zrobiła nalot na hotel i znalazła Małego Księcia Alego z prostytutką. Winowajca znalazł się w rękach tłumu i został zmuszony do przemaszerowania główną ulicą

w „girlandzie hańby”, zwanej *chappal ka haar*, czyli wieńcu z powiązanych sznurówkami butów.

– Nie gardzi również chłopcami – chichocze Deepak. Mały Książę był raz oskarżony o molestowanie chłopca. – Tamtym razem wsadzili go na osła i wymazali mu twarz sadzą. – To powszechny sposób wymierzania sprawiedliwości przez tłum. – W ogóle cała ta rodzina to świntuchy, wszyscy bracia, świntuchy, jakich mało – powtarza.

Według Deepaka Dwivedi nie był lepszy.

– Ma w Chitrakoot kochankę, widuję ją za każdym razem, gdy zostawiam w biurze utarg, ona tam mieszka – mówi, z uniesionymi brwiami, relacjonując skandaliczne zwyczaje całej tamtej rodziny.

Między ludźmi, którym dane było osobiście poznać Dwivediego, krąży plotka, że udało mu się wejść do polityki dzięki temu, że przelicytował mandat wyborczy BSP, odbierając go kandydatowi nazwiskiem Ram Sewak Shukla. W Indiach panuje powszechne przekonanie, że kandydaci kupują sobie wynik głosowania.

– Znam ich na tyle długo, żeby od razu wiedzieć, że to, co gadają o Sheelu, to nieprawda! No sama powiedz, czy to możliwe, żeby dziewczyna uciekała ze strzelbą? To niemożliwe!

Geeta, której wiara w Sampat jest szczerą i niezachwianą, zapewnia męża:

– Siostra dojdzie prawdy. Jestem święcie przekonana.

Geeta wie, że to tylko kwestia czasu. Jedną z pierwszych zasad, jakie Sampat przedstawiła Geecie, powołując ją na szefową dystryktu, był obowiązek przeprowadzenia rzetelnego dochodzenia w każdej sprawie.

– Gang jest silny, ale musimy korzystać z tej siły mądrze – powiedziała. Nie chciała, by członkinie Różowego Gangu podejmowały przeciwko komuś walkę, nie zgromadziwszy przedtem odpowiednich informacji i dowodów. – Rozmawiaj ze wszystkimi: sąsiadami, rodziną, starszyzną wioski, nawet z policją, by w każdej sprawie dojść do prawdy. Nie opieraj się tylko i wyłącznie na pogłoskach. To za mało. – Uczyła członkinie swego Gangu, jak być dobrymi śledczymi i unikać sytuacji, w której nieoczekiwanie można znaleźć się po drugiej stronie sporu. – Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się źle osądzić sprawy – chwali się Sampat. – Zawsze dochodzę do samego sedna.

Kiedy Sampat wtajemniczyła Geetę w szczegóły sprawy Sheelu,

dziewczyna ciekawie nadstawiła uszu na wieść o tym, że Sheelu uciekła od Rajju. Skomplikowane historie miłosne były „specjalnością” Geety, być może dlatego, że w podobny sposób narodziło się jej małżeństwo.

Geeta poznała Deepaka siedem lat wcześniej podczas Holi – popularnego hinduskiego święta wiosny. Obchodzi się je, obrzucając rodzinę i znajomych kolorowym proszkiem i oblewając ich wodą. Przypomina to powszechną zabawę w paintball. Uczestnicy gonią się, próbując wetrzeć w twarze i włosy przeciwnika garście jaskrawego pigmentu. W czasie Holi ulice i chodniki zdobią plamy we wszystkich kolorach tęczy, a rozbawieni uczestnicy od stóp do głów umazani są najróżniejszymi odcieniami barwnika. Ta chaotyczna, spontaniczna zabawa daje doskonałą okazję do wesołych flirtów. Holi to bez wątpienia najbardziej romantyczne hinduskie święto.

W czasie Holi przyjęło się, że ludzie, w tym także dzieci, piją *bhang* – upajający napój z marihuany, słodzonego jogurtu i mleka, sprzedawany często w hinduskich świątyniach. Deepak był już nieźle oszołomiony narkotycznym napojem, kiedy po raz pierwszy w życiu podszedł do Geety i rozsmarował po jej policzku odrobinę kolorowego proszku. Widywał ją już wcześniej – odwiedzała mieszkającą w sąsiedztwie ciotkę. Nigdy jednak nie zamienili ani słowa, a oto proszę, rozmarzony i rozkojarzony wiódł palcem po krągłości jej policzka. Ku jego przerażeniu dziewczyna wrzasnęła na niego i z całej siły odepchnęła rękami.

– Jestem bojowa i nie dam sobie w kaszę dmuchać – skomentowała później ten incydent Geeta.

Deepak, płonąć ze wstydu, usunął się w tłum i przez resztę zabawy unikał dziewczyny.

Kiedy obudził się następnego dnia, głowa pękała mu od kaca. Sięgnął po telefon – na ekranie wyświetlił się jakiś nieznany numer. Słyszając głos po drugiej stronie linii, poderwał się jak oparzony. To była Geeta. Po półgodzinnej rozmowie niemal poprosiła Deepaka o rękę.

Bez żadnego wstępu Geeta zwierzyła się nieznanemu ze swoich zmartwień. Była w beznadziejnej sytuacji. Kilka lat wcześniej jej ojciec – robotnik – w wyniku porażenia prądem doznał trwałego uszkodzenia mózgu. Geeta z matką i trzema siostrami zostały bez środków do życia, w związku z czym były zmuszone przenieść się do stryja. Ten uważał opiekę nad tyłoma dziewczętami za przekleństwo. Nie krył swych zamiarów, by jak najszybciej

uwolnić się od ciężaru ich obecności.

Dla rodziny Geety nastąpiły wtedy mroczne czasy. Matka ledwie znosiła ponadludzki wysiłek. Pewnego dnia zwołała córki, posadziła je wokół siebie, podała każdej talerz z jedzeniem i z nieobecny wyrazem twarzy powiedziała: „Umrzyjmy. Połknijmy truciznę i zgińmy” – powtórzyła zapalczywie. Geeta, najstarsza z czterech sióstr, spojrzała na talerz i w mig pojęła zamiary matki.

– Byłyśmy małe, niewinne i bałyśmy się śmierci – wspomina Geeta. Zrzuciła wtedy metalowy talerz *thaali* na ziemię i wybiegła. Matka dogoniła ją, wymierzyła policzek, po czym „płakała i płakała, mówiąc, że będzie się nimi opiekować nawet za cenę życia”.

Potem spełniły się najgorsze obawy Geety. Stryj oznajmił, że zamierza wydać ją za męża. Dziewczynka miała wtedy zaledwie czternaście lat. Najgorsze zaś było to, że przyszły pan młody, starszy wdowiec, miał już dwoje dzieci, a jedno z nich w wieku Geety.

– Nie wiem, jak się nazywał... nikt mi nawet nie powiedział – wspomina Geeta.

Nie wiedziała wtedy, że zmuszanie nieletnich do małżeństwa jest przestępstwem.

– Nie miałam pojęcia o niczym, a najmniej o tym, co to jest małżeństwo. Ludzie w wiosce wiedzieli jeszcze mniej ode mnie. W życiu nie widzieli nawet pociągu – mówi z szeroko otwartymi oczami.

W dniu ślubu któryś z bardziej świadomych sąsiadów wezwał policję. Ta – w nieczęsto spotykanym porywie odpowiedzialności – zainterweniowała, nakładając na stryja i niedoszłego pana młodego karę grzywny. Ostatecznie małżeństwo nie zostało zawarte.

Kiedy kilka lat później Geeta poznała Deepaka w czasie *holi*, wiedziała, że ponowne zakusy stryja, by wydać ją za męża, to tylko kwestia czasu.

– Zwierzyłam ci się z tego, co leży mi na sercu – wyznała Deepakowi tamtego ranka przez telefon. – A ty sam zdecyduj, co z tym zrobisz – powiedziała i odłożyła słuchawkę. Po tym zdarzeniu nastąpiły miesiące potajemnych rozmów z automatu telefonicznego w wiosce. Oboje obnażyli przed sobą swoje dusze. Geeta dowiedziała się, że w życiu Deepaka również panuje chaos – kilka lat wcześniej umarła mu matka, a on sam ostro pije, by zagłuszyć żal. Ojciec zaś naciska na niego, by się ożenił ze względu na

spodziewany posag, który pozwoliłby spłacić rachunki za leczenie matki. Deepak uświadomił sobie, że on i Geeta potrzebują się nawzajem, by uciec przed zakusami swych rodzin. Przyjął więc jej oświadczenia i oboje uciekli z domów.

Pierwszą noc po ucieczce Geeta i Deepak, jak przystało na prawdziwych zbiegłych kochanków, spędzili, tuląc się do siebie w całonocnym stoisku z przekąskami na głównej ulicy Chitrakoot. Pary niebędącej małżeństwem nie chciano przenocować w żadnym hoteliku, a zresztą, jak przypomniał dziewczynie ukochany, „i tak nie byłoby nas na to stać”.

Żadne z nich nie spodziewało się, że ucieczka będzie łatwa i przyjemna, jednak powiodło im się lepiej niż większości zbiegłych kochanków. Jak Indie długie i szerokie, gazety codziennie donosiły o honorowych zabójstwach dokonywanych przez rodziny zhańbione romansem dziecka. Problem był na tyle drastyczny, że w niektórych stanach sądy odpowiedziały na niego decyzją o powstaniu tak zwanych bezpiecznych domów, w których zbiegli kochankowie mogli szukać schronienia. Nie przypominały one wprawdzie apartamentów dla nowożeńców, ale z całą pewnością były lepsze niż śmierć. Stryj Geety nie przejmował się jej losem, a jeśli chodzi o rodziców Deepaka, to choć byli rozsierdzeni, że syn zamierza poślubić dziewczynę bez wiana, nie zamierzali posunąć się do morderstwa.

Za dnia półprzymiotna z niewyspania para udała się do jednej ze świątyń w Chitrakoot, gdzie stryj Deepaka pracował w charakterze akolity. Budynek był dostojny i wiekowy. Szerokie, potężne stopnie prowadziły z ulicy ku wygiętemu w zdobny, falisty łuk wejściu. Wewnątrz labirynt marmurowych dziedzińców prowadził do sal bocznych i korytarzy, wypełnionych posągami bożków i pochylonymi nad świętymi księgami półnagimi mnichami w przepaskach biodrowych. Nie było to miejsce, w którym w normalnych okolicznościach szukałaby schronienia para żyjąca w grzechu, ale Deepak miał nadzieję, że stryj zlituje się nad nimi i pozwoli im zająć jedną z kwater przeznaczonych dla wędrownych pielgrzymów.

Ostatecznie para spędziła w świątyni kilka miesięcy. W zamian za symboliczną opłatę pozwolono im zająć szopę, gdzie dotąd trzymano świętą krowę. Mimo skromnych warunków prowadzili w niej spokojne i zgodne życie aż do dnia, kiedy ktoś zawiadomił o tym policję. Od tego czasu policjanci wracali co tydzień, w zamian za dalszy spokój żądając łapówek.

By ochronić się przed chciwością policji, Geeta i Deepak wzięli ślub w tejże

świątyni. Ceremonii przewodniczył stryj Deepaka. Choć młodzi zaprosili najbliższych, nikt nie przybył. W przeciwieństwie do wielkich, wystawnych, typowych indyjskich ślubów, uroczystość była cicha i skromna. Wzięli w niej udział tylko pracownicy świątyni, z którymi przez miesiące życia w szopie młodzi bardzo się żyli.

Lata po ślubie okazały się równie trudne jak te, które go poprzedzały. Nie mając żadnego wsparcia ze strony rodziny, Geeta i Deepak kilkakrotnie znaleźli się bez dachu nad głową – najpierw, kiedy musieli zwolnić szopę w świątyni na potrzeby licznie przybywających pielgrzymów, a później, gdy zarabiali zbyt mało, by coś sobie wynająć. To były ciężkie czasy. W końcu stanęli jednak na nogi i zdołali wynająć mały pokój w budynku komunalnym. Dowiedziawszy się, że Geeta i Deepak to zbiegli kochankowie, sąsiedzi zaczęli ich prześladować. Geetę nazywali prostytutką lub mówili o niej po prostu „kochanka Deepaka”.

– Znoszenie tego wszystkiego bardzo mnie wzmocniło. Dlatego dziś jestem w stanie pomagać innym – zdała sobie później sprawę Geeta.

Trzy miesiące po urodzeniu dziecka Geeta, w jednej z nielicznych chwil odpoczynku, oglądała telewizję. Mieszkali wtedy w domu z cegły, gdzie wynajmowali pokój za pięćset rupii – równowartość pięciu dolarów – miesięcznie. W wiadomościach Geeta zobaczyła coś, co równie dobrze mogło popłynąć na ekran telewizora prosto z jej własnej, idealistycznej wyobraźni. Otóż pokazano grupę kobiet w różowych strojach, proklamujących „małżeństwo z miłości” – związek dwojga ludzi, nie zaaranżowany przez rodziców lub starszyznę wioski, tylko wynikający z wolnej woli młodej pary.

W Indiach miłość i małżeństwo nie zawsze idą w parze. Tu większość związków małżeńskich aranżują rodzice. Inaczej mówiąc, to oni dokonują formalnego zapoznania przyszłych małżonków. Miłość może rozwinąć się po ślubie, ale nie jest warunkiem koniecznym dla zawarcia małżeństwa. Bardzo rzadko się zdarza, by zakochani mężczyzna i kobieta niezależnie od woli rodziców i dalszej rodziny wzięli ślub. A jeśli już do tego dojdzie, to związki zawarte z miłości narażone są na mnóstwo trudnych do rozwikłania problemów.

Wśród konserwatywnych, ściśle przestrzegających tradycji członków społeczeństwa, małżeństwo z miłości – czyli główny wątek bollywoodzkich filmów – wywołuje skrajne emocje. Na przykład rada wiejska w Asarze w Uttar Pradeś w 2012 roku posunęła się do tego, że zakazała mieszkańcom



zawierania małżeństw z miłości. Członek rady wiejskiej Sattar Ahmed nazwał rzekomo małżeństwo z miłości „hańbą dla społeczeństwa”. Aby zapobiec romansom, rada wsi zakazała także kobietom poniżej czterdziestego roku życia wychodzić z domu bez asysty.

Małżeństwo z miłości nabrało charakteru gęsto zaminowanego pola bitewnego, na którym rozgrywa się walka o najbardziej nieczne praktyki rządzące społeczeństwem indyjskim. Są to: dyskryminacja społecznej (system kast) oraz tradycja wnoszenia wiana. Choć indyjska konstytucja zakazuje podziału na kasty, to jest on skutecznie podtrzymywany przez instytucję małżeństwa aranżowanego. Hindusi rodzą się w jednej z czterech hierarchicznych kast, z których każda, jak wierzą, pochodzi od innej części ciała Brahmy – boga stwórcy. W związku z tym bramini – kasta kapłańska – pochodzą od jego głowy, kszatrijowie – kasta wojowników – od jego rąk, wajśjowie, członkowie kasty kupców – od jego ud, a śudrowie, wykonujący prace służebne, od jego stóp. Hindusi urodzeni poza czterema głównymi kastami należą do dalitów, niegdyś zwanych „nietykalnymi” i uważanych za najniższych z niskich. Wymienione powyżej kasty obejmują tysiące podkast: rybaków, praczy, farbiarzy. Ich członkowie z dziada pradziada wykonują przypisane im zawody, a zajęcie, jakim się trudzą, często odzwierciedla ich nazwisko. Dla wielu ludzi żyjących poza dużymi skupiskami miejskimi, w których ze względu na przemieszanie społeczne system kastowy stracił nieco na znaczeniu, przynależność do kasty przesądza o zawodzie, pozycji społecznej, wyborze małżonka, a nawet decyduje o tym, z kim można zasiąść do wspólnego posiłku (ludzie wykonujący „brudne” zawody uważani są za „nieczystych”). Nie ma więc wątpliwości, że ludzie wybierający na żonę czy męża osobę spoza własnej kasty narażają na upadek cały system.

Małżeństwa z miłości rujnują również zwyczaj wnoszenia wiana, którego rodzina pana młodego w takim przypadku nie otrzymuje. Nic więc dziwnego, że hinduizm określa małżeństwo z miłości, zwaną *Gandharva*, jako „dobrowolny związek panny i jej kochanka” i uważa je za najniższą spośród wszystkich ośmiu form małżeństwa jako pochodzącą „z pożądania i mającą za cel relację seksualną”. Inną formę małżeństwa o nazwie *Rakshasa* określa się jako „uprowadzenie panny z domu siłą, mimo jej krzyku i płaczu”. Małżeństwo idealne to małżeństwo *Brahma*, będące „darem w postaci córki po ozdobieniu jej (kosztownymi przedmiotami) i uhonorowaniu (klejnotami),

złożonym mężczyźnie, który poznał Wedę” (czyli pradawne pisma hinduskie)”.

Pary, których małżeństwo zostało proklamowane przez Różowy Gang, mają większe szanse na akceptację społeczną niż te zawierające je na własną rękę. W Indiach ważność małżeństwa potwierdza się akceptacją społeczną. Zakochanym, którym rodzice i krewni odmówili prawa do ślubu, może ją zapewnić właśnie Różowy Gang. Czyni to poprzez obecność na ceremonii zaślubin, wsparcie wyboru dokonanego przez młodych i odwodzenie przeciwników od napastowania czy prześladowania nowożeńców, co jest na porządku dziennym. Śluby zawierane z udziałem Gangu mają jednak daleko większe znaczenie niż sama pomoc parze i jej rodzinie. Fakt, że Różowy Gang nie wystawia świadectw zawarcia małżeństwa, nie działa tu bynajmniej zniechęcająco, bo w Indiach tylko niewielki procent małżeństw, a nawet urodzin, jest rejestrowany. Jak mówi Babuji: „Sprawujemy władzę społeczną, nie sądową”.

Kiedy Różowy Gang sankcjonuje małżeństwo z miłości, kobiety wnoszą czasem namiot ślubny na pustym skrawku ziemi za miastem. W innym przypadku organizują tylko uroczystość w chętej do współpracy świątyni. Sampat dzwoni do szefowej danego dystryktu i zbiera około setki członkiń Gangu, co niezmiennie przyciąga lokalne media. Wykorzystuje śluby do przemówień na temat zła, które wyrządza system kast i tradycja wiana, oraz żąda odpowiedzi na pytanie, czemu w dzisiejszych czasach młodzi ludzie sami nie mogą wybrać sobie towarzysza życia. Pomstuje często na starsze pokolenia mieszkańców Bundelkhandu, którzy winią telewizję, że pokazuje młodym błędne „wizje miłości”.

– Wszyscy wiedzą, że to, co pokazują w telewizji, to nieprawda. Gdyby było prawdą, to chyba wszyscy by puciekali z domów. Czemu więc tak się nie dzieje? – pyta Sampat. – Osobiście nie uważam, aby telewizja była złem. Z telewizji przynajmniej dowiadujesz się, że skoro się zakochałeś, to powinieneś pozostać z ukochaną osobą. Nie powinieneś od niej odchodzić, prawda? U nas mężczyźni nie są lojalni. Biorą cię na trochę, potem zostawiają. Gdyby nie telewizja, w Bundelkhandzie panowałyby jeszcze większa ignorancja, bylibyśmy jeszcze bardziej głusi i niemi – twierdzi, podnosząc palec wskazujący w górę na znak, że dowiodła swego.

Rola Babujiego w czasie tych uroczystości polega na intonowaniu *shloka* – ślubnych wersetów z *Bhagawadgity*, jednego ze świętych tekstów hinduskich.

Sampat wręcza zaś nowożeńcom duże girlandy z nagietków, jaśminu i gerber, które zawieszają sobie nawzajem na szyjach na znak szacunku. Po zakończonych obrzędach Różowy Gang przekazuje młodej parze pieniądze, które kobiety zebrały jako pomoc dla często osiemnasto-, dziewiętnastoletnich nowożeńców, by mieli za co utrzymać się przez kilka pierwszych miesięcy.

Dla Geety niezwykła wzmianka o małżeństwach zawieranych z miłości w telewizyjnym programie informacyjnym była niczym objawienie. Dziewczyna była pod wrażeniem działalności Różowego Gangu. Przede wszystkim uderzyło ją jednak to, że jego członkinie wyglądały zupełnie tak jak ona.

– Jeśli one mogą, to czemu nie ja? – zapytała samą siebie.

Tego samego dnia, kiedy tylko Deepak, który wtedy wciąż jeszcze dużo pił, przekroczył próg domu, żona z miejsca poinformowała go, że wstępuje do Różowego Gangu. Wiadomość wywołała falę pijackiego chichotu – Deepak w stanie nietrzeźwym reagował dość głupkowato. Pewnego razu, kiedy zaraził się malarią, wywłókł się z łóżka i poszedł pić z kolegami. Zignorował dwadzieścia telefonów od żony, a następnego dnia na pytanie, gdzie się podziewał, odparł, że był „pod butlą”. Tak żartobliwie mówił na sesje pod kroplówką, kiedy otrzymywał dożylnie lekarstwo przeciwmalaryczne. Koledzy, kiedy usłyszeli tę historię, pokładali się ze śmiechu i przybijali mu piątkę, gratulując sprytu.

– Nie skłamałeś, *bhai!* – pokrzykiwali, poklepując go po plecach.

Tego samego dnia, kiedy Geeta podzieliła się z nim zamiarem wstąpienia w szeregi Gangu, a on sam był wreszcie w stanie utrzymać równowagę, Deepak oświadczył żonie, że zna Sampat. Pracował kiedyś przecież w sklepie monopolowym w Badausie, gdzie mieszka rodzina Sampat. Ona sama prowadziła wówczas małe stoisko z herbatą, w którym często kupował.

– Tak, tak, to dobra kobieta – oznajmił wesoło, błogosławiąc tym samym pomysłowi żony, po czym, wyjaśnwszy jej, gdzie szukać Sampat, znowu padł na łóżko.

Kilka dni po wzmiance telewizyjnej o Różowym Gangu Geeta wybrała się do Atarry, by osobiście poznać Sampat. Na tę okazję ubrała się w różowe sari – jedyne, jakie posiadała. Chciała w ten sposób sprawić przyjemność przewodniczącej Gangu i dać jej do zrozumienia, że poważnie traktuje swój zamiar wstąpienia do organizacji.

Gest ten w pełni mogli docenić tylko ci, którzy znali Geetę, albowiem rzadko można było widzieć ją w tym stroju. Unikała go przez całe życie, co dla zamężnej kobiety w Bundelkhandzie było dość niespotykane. Przestała nosić sari po żenującym wypadku, który przydarzył jej się kilka lat wcześniej. Było to podczas ślubu krewnych w pobliskim Aligarh. Goście weselni wsiedli na traktory, by dojechać na miejsce uroczystości. Kiedy Geeta próbowała wspiąć się na traktor, zahaczyła skrawkiem szaty o wystający kawałek blachy i suknia częściowo się rozerwała, odsłaniając ciało. Geeta była zdania, że sari to nie strój dla kobiety.

– W sari widać brzuch i ciało, odtąd dotąd – narzeka pruderyjnie. – A to niedobrze.

Później Sampat próbowała nakłonić Geetę do noszenia „stroju służbowego”.

– Zawsze mnie beszta, mówi: „Noś sari, noś sari”, ale ja nie chcę i już! – śmieje się Geeta.

Kiedy Sampat dowiedziała się, co sprowadza do niej Geetę, zasypała ją gradem pytań. Pierwsze brzmiało: „Czy masz jakiś problem i czy potrzebujesz pomocy?”. Sampat nie uwierzyła, kiedy padła odpowiedź „nie”.

– Nie wierzę, na pewno masz jakiś problem. Kobiety bez problemów u mnie nie bywają. Coś musi leżeć ci na sercu. Mąż źle cię traktuje? A może sąsiedzi? – dopytywała Sampat.

Geeta powtórzyła, że nie, nikt jej nie nęka. Na to Sampat zmieniła front.

– A może przychodzisz z powodów komercyjnych? Szukasz pracy? Myślisz, że cię zatrudnię? Tak sądzisz? – nie dawała spokoju. – Mówisz, że nie, ale tu, w naszym Bundelkhandzie, nie ma kobiet, które przyszłyby do mnie bez interesu. Nie chcesz powiedzieć dziś, powiesz jutro! – zaśmiała się.

Długo przepytывała Geetę:

– Jeśli ktoś powie na ciebie coś złego, jak mu odpowiesz? Przyjdiesz później do mnie się skarżyć? Mówić: „Sampat-ji, ten a ten powiedział na mnie tak i tak”? A jeśli przyjdzie do ciebie dziewczyna, to czy będziesz potrafiła wysłuchać jej problemów? Jeśli nie będzie miała pieniędzy, to czy pójdziesz z nią na posterunek? Skąd wytrzaśniesz pieniądze? Ja nie będę w stanie niczego ci dać. Czy to jasne?

Nowa rekrutka starała się jak najlepiej odpowiedzieć na wszystkie pytania. Zaczęła od wyjaśnienia, dlaczego pragnie wstąpić w szeregi Gangu. W rozmowie o codziennych, domowych sprawach Geeta mówi ospałym, jakby

leniwym tonem, ale w dyskusji na poważne tematy zmienia sposób mówienia na szybki, pewny siebie i zdecydowany.

– Dobrze się czuję, jeśli mogę walczyć o sprawy innych i przeciwstawiać się niesprawiedliwości. Walka z policją to słuszna sprawa, bo policja źle robi. Bierze pieniądze i wypuszcza przestępców na wolność, nie dba o sprawiedliwość. Dziś wygrywa ten, kto ma pieniądze, a kto ich nie ma, zawsze przegra, już policja przyłoży do tego rękę. Kto nie ma na łapówkę, pójdzie za kratki, nawet jeśli nie zrobił nic złego! – wspomina Geeta własne słowa, wypowiedziane wtedy do Sampat. Sampat siedziała tylko i kiwała głową, zadowolona z żarliwej odpowiedzi.

– Dobrze, co powiesz o jedności? – pytała dalej Sampat, jakby jedność była nowym produktem, który właśnie wszedł na rynek. – To ona przesądza o sile organizacji. Kiedy walczymy, walczymy razem – wyjaśniła. Choć nie były to sprawy skomplikowane i większość kobiet pojmowała je od razu, Sampat zawsze wtajemniczała nowe kandydatki nawet w podstawy działania Gangu.

Geeta bardzo chciała pokazać, że wie, co to jedność i siła organizacji, czyli *sangatans*. Kiedy była młodsza, bandyci napadali na wiele domów w jej wiosce Param Purva. Jej mieszkańcy trzymali się ze sobą bardzo blisko.

– Nie było tak, że jedna kasta tworzyła jedną grupę, a inna kasta oddzielną – mówiła Geeta. – Wszyscy byli razem. Kiedy tylko pojawiało się zagrożenie ze strony bandytów, mieszkańcy stawali do walki, wszyscy razem. Bogatsi kupili wszystkim rewolwery i przed położeniem się spać wieczorem każdy oddawał strzał w powietrze, na postrach. Huk wystrzałów rozdzierał niebo. Strzelali w powietrze, nie, żeby kogoś zabić – zapewnia Geeta.

Wydawało jej się naturalne, że mieszkańcy wioski walczyli z bandytami na własną rękę, bez pomocy policji. Zawsze wiedziała, że wokół panuje bezprawie, a rzadkim przypadkiem, kiedy prawa rzeczywiście przestrzegano, towarzyszyły dziwne, nieprzewidywalne skutki. Geeta jako dziecko widziała pobitego, powieszzonego za nogi na drzewie mężczyznę. Było to obok pola, na którym jej matka, najemna robotnica, kruszyła od świtu do nocy kamienie, tuż obok posterunku policji.

– To stróże prawa. Biją złodziei – wyjaśniła jej matka.

Jeszcze długo, długo po tym wydarzeniu Geeta przyspieszała kroku za każdym razem, gdy widziała przechodzących policjantów.

– Bałam się na widok ich munduru – przypomina sobie.

Dopiero Deepak nauczył ją nie bać się policji.

– Nie zjedzą nas, to nie zwierzęta – tłumaczył.

Gorliwość Geety i to, co opowiadała, wywarło na Sampat duże wrażenie. Większość kobiet wstępowała do Gangu dopiero, kiedy wpadały w kłopoty, a wszyscy wokół – policja, rodzina i sąsiedzi – je zawiedli. Kobiety, których „przypadkami” zajmuje się Różowy Gang, nie zawsze wступują w jego szeregi. Członkostwo nie jest warunkiem koniecznym, by uzyskać pomoc.

– Kiedy już rozwiążemy ich problem, zapominają o nas – wzdycha Sampat.

Rzadko zdarzało się, by kobieta z takim zapalem oferowała swoje usługi na rzecz organizacji, nie mając w tym cienia osobistego interesu. By chciała dawać, a nie tylko brać. Sampat bardzo to doceniła, dostrzegła w tym szczególną wartość. Zanim jednak przyjęła Geetę do Gangu, dała jej do wykonania zadanie.

– Jeśli wciągniesz do Gangu cztery kobiety, przekonasz mnie, że warto cię przyjąć. Jeżeli ci się nie uda, to nie będzie tak łatwo – postawiła warunek, podkreślając wagę tego, by kandydatki, które znajdzie Geeta, były w pełni zaangażowane i by nie wahały się w przyszłości rekrutować do Gangu koleżanek.

Tego samego dnia, po powrocie z Atarry, Geeta znalazła dwadzieścia pięć kobiet, które chciały wstąpić do Różowego Gangu. Wszystkie były jej znajomymi. Wiele pochodziło z Aarogya Dhaam, małej, zacofanej osady w pobliżu Chitrakoot – skupiska glinianych chat, przycupniętych na nierównym kawałku ziemi tuż przy autostradzie. Geeta mieszkała tam dawniej, a tuż przed dołączeniem do Gangu pomogła pewnej tamtejszej kobiecie imieniem Shanti. Na skutek tego dramatycznego wydarzenia Geeta zyskała podziw i szacunek wśród mieszkanki tej wioski.

Shanti, porzucona przez męża, samotnie wychowywała córkę. Jakoś dawała sobie radę, wynajmując wolny pokój lokatorom. Wszystko było dobrze do czasu, kiedy jeden z nich zaczął rozpuszczać plotki, że samotna matka to prostytutka. Zarzuty swe opierał na tym, że Shanti wynajmowała pokój głównie mężczyznom. Nadszedł dzień, kiedy agresja słowna lokatora zamieniła się w fizyczną. Geeta szła akurat do apteki po lekarstwo dla córki. Mijając dom Shanti, była świadkiem bójki.

– Wyglądało to tak: przewrócił dziewczynę na ziemię i podniósł duży kamień, by w nią rzucić. Zostawiłam córkę i uderzyłam napastnika z tyłu. Po

chwili przyłączyły się trzy kobiety i biłyśmy go razem. Dopiero wtedy ją zostawił – wspomina. Zabrała Shanti na policję, by złożyć doniesienie i obiecała chronić ją na wypadek dalszych problemów. Wkrótce potem spotkała się z Sampat. Kiedy więc zaczęła rozglądać się za kobietami, które mogłaby zwerbować, zgodziły się bardzo chętnie.

– Shanti z dziesięcioma innymi kobietami zapisała się bez namysłu. Myślały: dziś zło dotknęło Shanti, ale jutro to my możemy paść ofiarą. Wtedy same będziemy w potrzebie. Do dziś zwerbowałam co najmniej pięćset członkiń – mówi Geeta, mając oczywiście na myśli cały dystrykt.

W tym samym tygodniu Geeta przyprowadziła kandydatki do Sampat. Każda z nich w zamian za dwieście rupii, równowartość około czterech dolarów – jednorazową opłatę członkowską – otrzymała różowe sari. Niektóre pytały, co robić, jeśli mąż nie zgadza się na ich udział w akcjach Gangu. Sampat dała im następującą radę:

– Rozmawiajcie z mężem. Nie kłóćcie się z nim. Jeśli zaczniecie się kłócić, będzie naprawdę trudno. On z czasem zrozumie. Jeśli nie zrozumie, zadzwonieć do mnie. Przyjadę. Porozmawiam z nim. Po jakimś czasie zrozumie i będzie wam pozwalał wychodzić.

Sampat zasugerowała też, by Geeta i pozostałe kobiety wybrały się do lasu i nacięły bambusa na *laathi*. Wyjaśniła, że mogą „okazać się bardzo przydatne”. Kobiety wykonały polecenie, pokonując strach przed węzami i dziką zwierzyną.

Wszystkie zostały zaproszone na następne zebranie Różowego Gangu w Atarze.

– Zebranie jest wtedy, kiedy zwołujemy wszystkich. Na początku zawsze śpiewamy – wyjaśniła. W regionie o silnej tradycji słowa mówionego, gdzie wciąż panował analfabetyzm, pieśni stanowiły doskonałe narzędzie edukacyjne.

– Kobiety dużo uczą się przez śpiew. Pieśni są o wykształceniu, na przykład o tym, dlaczego matka inaczej traktuje syna, a inaczej córkę? Dlaczego kobiety smucą się, kiedy rodzi się dziewczynka? Matka odpowiada przede wszystkim za córkę. Wszystkie prosimy się nawzajem, by w czasie zebrania śpiewać – mówi Sampat.

Jedna z jej pieśni mówiła o tym, że cierpienie kobiet trwa w domach – zarówno rodziców, jak teściów – i jak powtarza się z pokolenia na pokolenie.

„Świat jest zły dla dziewcząt, czemu nie jest zły dla chłopców?” – zaczyna się pieśń opowiadająca historię dziecka, maltretowanego przez matkę tylko dlatego, że było dziewczynką. Kiedy dziewczynkę wydano za męża, przez lata dręczyła ją teściowa. W końcu, kiedy wreszcie wyda na świat syna, a syn się ożeni, kobieta będzie prześladować synową tak, jak sama była prześladowana. „Ta biedna dziewczyna od dziecka była niewolnicą i została nią do późnej starości”, brzmiał ostatni wers pieśni.

– Niektóre kobiety przy tej piosence zaczynają płakać. Zdają sobie sprawę, że w rzeczywistości my, kobiety, jesteśmy słabe i że jeśli takie pozostaniemy, nigdy w życiu nie zdołamy tego zmienić. Więc jest to dobra pieśń dla kobiet – twierdzi Sampat i instruuje kobiety, by zapamiętały słowa i śpiewały ją na własnych spotkaniach, organizowanych co miesiąc, by nauczały morału, jaki z niej płynie. – Tłumaczcie, o czym mówi ta piosenka. Dziewczynki powinniśmy kształcić, a jeśli wyjdą za męża, to mąż również ma być wykształcony. Dziewczynka musi być niezależna, tak, by jeśli mąż ją opuści, nie musiała błagać go o litość. Jeśli będziemy wciąż go błagać, nie przestanie nas wykorzystywać do końca życia.

Prócz tego Geeta i jej rekrutki przeszły szkolenie z samoobrony za pomocą *laathi*. Odbłyły też lekcje jazdy na rowerze – samowystarczalność była jedną z najważniejszych cech każdej członkini Gangu. Przez cały czas trwania zebrania Sampat do znudzenia powtarzała, że choć problemy nurtujące kobiety są zdecydowanie za poważne, by można było poradzić sobie z nimi w pojedynkę, to wspólnymi siłami można odnieść zwycięstwo. Geeta i jej znajome nie kryły zapału do zmian, które mogą przeprowadzić w swych społecznościach. Rozpierała je radość, że dysponują siłą i głosem i że ten głos może zostać usłyszany.

Jakiś czas później Geeta brała udział w wiecu protestacyjnym Różowego Gangu. Na miejscu obecni byli dziennikarze. Na widok fotografów kobieta owinęła wokół twarzy długą chustę zwaną *dupatta*, by zachować anonimowość.

„Co powiedzą teściowie, kiedy mnie zobaczą” – pomyślała w obawie, że jej relacja z rodzicami męża jeszcze bardziej się pogorszy. Po wiecu podszedł do niej Babuji i powiedział:

– Nie chowaj się! Pokaż twarz. Przecież nie robisz nic złego.

Na następnym wiecu nie zakryła już twarzy. W gazetach ukazało się jej



zdjęcie, a pod nim imię i nazwisko.

– Jesteś w gazecie! – wykrzyknął następnego dnia podekscytowany Deepak. – Będiesz sławna! – dodał z dumą.

– Nie przeszkadza ci to? – spytała nerwowo.

– Lepsze to, niż gdybyś miała cały dzień siedzieć w domu, nie sądzisz? Dzięki temu chociaż poznasz świat. To chyba dobrze. Odwagi... Ja tu będę. Ty idź.

\*

Podczas kiedy Sampat zajmowała się dochodzeniem w sprawie Sheelu, do Geety wciąż zgłaszały się kobiety mające różne problemy. Jednym z nich było oczywiście małżeństwo z miłości. Odwiedziła ją dwudziestoparoletnia Sudha, której brat Mahesh nie wiedział, co robić.

– Mówiła, że jej brat głupio postąpił – Geeta przypomina sobie pierwsze spotkanie z Sudhą i jej słowa. Nastolatek uciekł z dziewczyną z wyższej kasty, a teraz chce się z nią ożenić i potrzebuje pomocy. Sudha mieszkała w Aarogya Dhaam, gdzie Różowy Gang cieszył się szczególną popularnością. Sąsiadki powiedziały jej, że najlepiej będzie zwrócić się w tej sprawie właśnie do Geety.

Mahesh okazał się małomównym osiemnastolatkiem o silnie zarysowanej szczęce i kasztanowobrazowej skórze. Miał stałą pracę, był murarzem. Kamini – dziewczynę o miękkich, delikatnych rysach, znał całe życie, od dziecka mieszkali w sąsiedztwie. Kiedy weszli w wiek dojrzewania, zaczęli mieć się ku sobie, a przez pięć lat przed ucieczką potajemnie spotykali się w świątyni.

– Wybraliśmy świątynię, bo było to jedyne miejsce, do którego rodzice nie zabronili nam chodzić – mówi Kamini.

Lokator, któremu matka Kamini – wdowa – wynajmowała pokój, poinformował ją, że córka spotyka się z chłopakiem. Zapytana, czy to prawda, Kamini odparła, że jest zakochana w Maheshu. Oczywiście rozzłościło to matkę.

– Nie spodobał się mamie, bo oni są biedni. Ja na to, że wcale nie są. Za pieniądze nie można kupić wszystkiego. Moja mama uważa, że najbardziej liczą się pieniądze – mówi Kamini. Po tym, jak wyznała matce, że jest w związku z Maheshem, nieporozumienia między nimi gwałtownie się zaostrzyły. – Groziła mi, lajała mnie i straszyla. Powtarzała, że mnie dokądś

wyśle. Że mnie zabije. Że mnie wyrzuci z domu.

Groźby ze strony matki to nic niezwykłego.

– Jeśli dziewczyna decyduje się na małżeństwo z miłości, grozi jej śmierć. Tak, morderstwa rzeczywiście się zdarzają. Tu jest tak: jeśli ktoś się komuś podoba, a bracia i rodzice tego kogoś nie zgadzają się na małżeństwo, bardzo szybko zabijają tę osobę. U nas małżeństwo z miłości to tabu. Za to w małżeństwie aranżowanym akceptuje się wszystko, nawet to, że pan młody jest ślepy albo pije... A przecież to nie rodzice mają spędzić całe życie z człowiekiem, którego wybrali, tylko ich córka – opowiada Kamini.

Dziewczyna była jednak niewzruszona.

– Jeśli pragniesz być z drugą osobą, nie ma powodu się bać. Jeśli moja matka nie wyraża zgody, to co mam robić? Zapomnieć o nim, a on o mnie? To niemożliwe. Dlaczego mielibyśmy się bać? Nie popełniliśmy żadnego przestępstwa. Nic nie ukradliśmy. Nie ma powodu się bać. Nie traciliśmy odwagi i polegaliśmy na sobie nawzajem. Gdybyśmy się dali zastraszyć, nie byłoby to możliwe.

Kamini tygodniami kłóciła się z matką. Przez ten czas matka często zamykała ją w domu. Pewnej nocy, kiedy wszyscy spali, Mahesh zakradł się do niej, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Matka Kamini obudziła się, a kiedy zastała chłopaka w pokoju córki, wyrzuciła ją na ulicę. Od tego czasu oboje ukrywali się w domu Sudhy tak, by rodzina Kamini nie mogła ich znaleźć.

Dalsze wspólne życie bez ślubu niosło ze sobą jednak duże ryzyko. Gdyby ktoś wpadł na trop pary, policja zabrałaby Mahesha na przesłuchanie, a w tym czasie matka Kamini mogłaby oskarżyć go o porwanie córki, co oczywiście było nieprawdą. Biorąc pod uwagę to, że chłopak należał do niższej kasty i związek z Kamini był zdecydowanie ponad jego stan, musiałby stanąć sam jeden przeciwko systemowi porządku i prawa – systemowi tendencyjnemu i działającemu na niekorzyść biedniejszego. Nawet gdyby w wyniku długotrwałego procesu zdołał udowodnić swą niewinność, matka Kamini wydałaby ją w tym czasie za męża i tym samym przekreśliła wizję ich wspólnej przyszłości.

Małżeństwo zaś zapewniłoby młodemu pewną – choć niewystarczającą – ochronę przed sankcjami. Należy wziąć pod uwagę to, że policja często nie honoruje faktu zawarcia małżeństwa przez zakochanych, zwłaszcza w sytuacji, gdy nie wystawiono aktu ślubu. Nawet więc gdyby się pobrali,

sprawa nie byłaby do końca załatwiona i jasna. Indyjski system prawny przewiduje dwie możliwości zawierania małżeństw. Większość Hindusów wybiera ślub o charakterze religijnym, wymagający „zgody opiekunów panny młodej”. W ten sposób zawarte małżeństwo, zgodnie z hinduskim Prawem o małżeństwie z 1955 roku, może zostać zarejestrowane. Ponieważ zakochane pary, które chcą się pobrać, nie mają zgody rodziców, pozostaje im druga opcja: „małżeństwo cywilne”, zawarte przed urzędnikiem państwowym. W przeciwieństwie do małżeństwa o charakterze religijnym, przy którym rzadko sprawdza się wiek państwa młodych, tu sąd niewątpliwie życzyłby sobie dowodów, że Kamini i Mahesh ukończyli odpowiednio osiemnaście i dwadzieścia jeden lat.

Choć Kamini twierdzi, że kiedy uciekli, miała już skończone osiemnaście lat, to data urodzenia na świadectwie szkolnym – jedynym dokumencie, którym mogłaby ją potwierdzić – była błędnie wpisana i odmładzała dziewczynę o dwa lata. Tego typu błędy zdarzają się bardzo często, gdyż w Indiach nie przestrzega się zasady rejestracji urodzeń, a rodzice zaniżają często wiek córek, bo przydaje się to, kiedy przychodzi czas zamążpójścia, a co się z tym wiąże – znalezienia odpowiedniego kandydata na zięcia. Nawet gdyby na świadectwie szkolnym Kamini widniała prawidłowa data urodzenia, potwierdzająca, że dziewczyna ukończyła osiemnaście lat, były inne czynniki działające na niekorzyść pary. Według prawa należało bowiem zgłosić wolę zawarcia małżeństwa z miesięcznym wyprzedzeniem, tak by każdy, kto wiedział o istnieniu jakichkolwiek przeszkód dla takiego związku, mógł je zgłosić. Tym samym ryzyko, że rodzice odnajdą parę, zanim zdoła ona wziąć ślub, rosło.

– Ślub przed sądem to długa droga, którą musielibyśmy przejść na własną rękę. Byłoby to trudne bez pomocy innych. Tymczasem moja siostra zasugerowała, że lepiej byłoby zwrócić się o pomoc do Różowego Gangu. Wtedy bylibyśmy chronieni przed prawem – powiedział Mahesh.

Geeta obiecała Maheshowi i Kamini pomówić o ich sprawie z Sampat. Ostrzegła też, że Różowy Gang nie bierze odpowiedzialności za nic, co stanie się po ślubie.

– Jeśli się rozstaniecie, to nie nasza wina – oznajmiła.

Po konsultacji z Sampat Geeta zaproponowała Maheshowi i Kamini ślub 14 lutego, w Dzień Różowego Gangu – najważniejszego dnia w kalendarzu organizacji. Mimo że dzień tego święta został wybrany zupełnie niezależnie

od obchodzonych wtedy na Zachodzie walentynek, to i tak stał się synonimem miłości. Młode pary często zwracały się do Różowego Gangu z prośbą, by właśnie wtedy usankcjonować ich związek.

# *Rozdział piąty*

## **STAŁO SIĘ CAŁE ZŁO**

CZY SHEELU PODNIESIE SIĘ Z TEGO, CZY SIĘ ZAŁAMIE?

– „*Hindustan*”

Następnego dnia po wizycie Sampat w więzieniu okręgowym w Bandzie Amit, dziennikarz gazety „Hindustan” i jednocześnie szef redakcji tej gazety w Bandzie, tak zrelacjonował próbę spotkania Sampat z Sheelu: „Przewodnicząca Różowego Gangu Sampat Pal zapowiedziała, że zacznie działać na rzecz uwolnienia Sheelu. Kobieta, która podejmuje walkę w sprawach tylu innych kobiet, zapytała: «Gdzie jest strzelba, którą rzekomo ukradła?». Jeśli strzelba rzeczywiście została skradziona, to powinna znajdować się w sądzie w charakterze dowodu. Gdzie policja przetrzymuje te przedmioty? Jeśli zwrócono je posłowi, to na jakiej podstawie? Sampat zamierza także spotkać się z ojcem Sheelu. Zapowiedziała, że jeśli policja rzetelnie nie zajmie się tą sprawą, Różowy Gang zacznie działać na własną rękę” – donosiła gazeta.

Częściowo za sprawą bieżących raportów Amita, a częściowo za sprawą publicznej deklaracji Sampat, że udzieli Sheelu wszelkiego wsparcia, w mglisty poranek 24 grudnia przed budynkiem sądu okręgowego w Atarze zgromadziły się dziesiątki dziennikarzy i setki ciekawskich gapiów. Wszyscy chcieli choć przez chwilę zobaczyć młodą kobietę, przeciwko której wysunięto dziwaczne zarzuty, w tym kradzież strzelby z domu posła. Obecność Sheelu w sądzie była konieczna, ponieważ sędzia miał podjąć decyzję o udzieleniu policji zgody na jej aresztowanie przez kolejnych piętnaście dni w celu zgromadzeniu większej liczby dowodów, zanim dojdzie do procesu. Zgromadzeni przed budynkiem ludzie drżeli w chłodnej mgle, która unosiła się tego dnia w powietrzu.

Sąd okręgowy mieści się w zwykłym betonowym bungalowie z dachem z blachy falistej. Stoi na końcu długiej, pylistej ulicy, wzdłuż której ciągną się drewniane budki, mieszczące biura prawników, ksero, sprzedaż znaczków skarbowych i usługi piśmiennicze dla tych, którzy nie opanowali sztuki słowa pisanego.

Sampat przybyła wraz z Lakhanem – właścicielem budynku, gdzie wynajmowała biuro, który podwiózł ją na motorowerze. Zatrzymali się na skraju tłumu. Lakhan, jak wszyscy inni, ciekaw był Sheelu. Choć nie

przyjaźnił się z Dwivedim, rodziny obu mężczyzn utrzymywały ze sobą życzliwe stosunki, przede wszystkim ze względu na przynależność do jednej kasty – braminów. Mieli wielu wspólnych znajomych.

– Mój ojciec przyjaźni się z rodziną Dwivediego. Spotykamy się na ślubach u znajomych – mówi Lakhan.

Dziennikarze głównych gazet lokalnych przybyli licznie, by zebrać informacje o sprawie, która, jak wszystko wskazywało, zanosila się na mroczną intrygę polityczną. Kiedy Sampat przepychała się łokciami przez tłum w kierunku sądu, wiele osób rozpoznało ją i pomogło jej utorować drogę. Niektórzy nawet życzyli jej powodzenia.

– *Hum tumhare saath hai* – jesteśmy z tobą! – krzyczeli w jej stronę.

Sheelu przybyła w konwoju policyjnym, składającym się z dwóch mikrobusów i kilku dżipów. Kiedy samochody wjechały na ulicę prowadzącą między szpalerem drewnianych budek w stronę budynku sądu, włączyły syreny, by przedostać się przez gęsty tłum. Panowało zamieszanie. Ani Sampat, ani żaden z dziennikarzy nie zdołał zamienić słowa z Sheelu, którą z dżipa wyprowadziła sroga policjantka w *salwar kamiz* – czyli spodniach i tunice koloru khaki, służących jako mundur – i oficer policji.

Dwadzieścia minut później dziewczyna w eskorcie policji ponownie ukazała się w drzwiach budynku. Sąd pozytywnie odniósł się do prośby, by zatrzymać ją w areszcie na kolejne dni. Obecność oskarżonej była tego dnia tylko formalnością. Nie składała na razie żadnych zeznań. Kiedy wychodziła, zgromadzeni mogli po raz pierwszy obejrzeć ją w całej okazałości. Popielatoblada, zmęczona siedemnastolatka miała na sobie turkusową *pajama kurta* – tunikę i luźne spodnie, czarny haftowany sweter, duże złote obręcze w uszach i szal. Sprawiała wrażenie przerażonej. Strażniczka prowadziła ją w stronę granatowego mikrobusu więziennego, ale zanim Sheelu zdążyła wsiąść, reporter z telewizji Sahara Samay zapytał ją, jak się nazywa. Sheelu odwróciła się, rzuciła mu pełne napięcia i determinacji spojrzenie i odpowiedziała:

– Jestem Sheelu Devi.

Zanim dziennikarz miał szansę zadać kolejne pytanie, policjantka gestem nakazała Sheelu wsiąść do furgonetki. Dziewczyna zajęła miejsce w środku i wyjęła coś z kieszeni. Odczekała chwilę, zbierając się na odwagę, po czym gwałtownym ruchem wystawiła rękę za okno, usiłując podać dziennikarzowi

starannie złożoną karteczkę. Policjant schwycił ją jednak pierwszy i, jak twierdzi jeden z dziennikarzy gazety „Hindustan”, „podał ją i cisnął do płonącego tuż obok ogniska”. Dziennikarze rzucili się, by ratować skrawek papieru, ale zdołali odnaleźć tylko kilka nadpalonych, zupełnie nieczytelnych strzępów.

Dzięki powstałemu zamieszaniu Sampat zdołała przepchnąć się przez tłum i krzyknąć do strażników:

– Chwileczkę! Proszę pozwolić nam porozmawiać!

Dopadła otwartych drzwi furgonetki i skinęła na Sheelu, nakazując jej się przysunąć. Sheelu zawahała się, przygryzła dolną wargę, ale w końcu przecisnęła się obok siedzącego po jej lewej stronie strażnika, wyszła z samochodu i runęła w ramiona Sampat, szeroko otwarte na jej przyjęcie.

Wokół kobiet zacieśnił się krąg kamer telewizyjnych i wyciągniętych dyktafonów, rejestrujących każde wypowiedziane słowo.

– *Namaste*, córko – zaczęła Sampat. – Sheelu, sprawiedliwości stanie się zadość, nie martw się. Przeprowadzę tysiące kobiet... – mówiła, ocierając łzy dziewczyny i głaszcząc ją po włosach.

Któryś z dziennikarzy krzyknął:

– Sheelu, co sądzisz o zarzutach przeciwko tobie?

– Wszystko to nieprawda – odparła Sheelu.

– Zarzutów jest wiele... – ciągnął dziennikarz.

– Wszystkie są nieprawdziwe – powtórzyła Sheelu.

– Co się z tobą działo? – pytał dziennikarz.

– Wszystko, co najgorsze – padła odpowiedź.

– Ktoś cię skrzywdził?

– Poseł i jego ludzie – bili mnie.

– Kto cię bił?

– Ludzie posła.

– Czy poseł też cię bił?

– Tak.

– Co mówił?

– Powiedział, że mnie zabije, kiedy wyjdę z więzienia – odparła Sheelu. –

W cierpieniu znoszę wszystko, co było mi pisane – dodała tragicznie, po czym wsiadła do furgonetki i została wywieziona.

Dziennikarze zwrócili się teraz do Sampat.

– Sampat, co pani o tym sądzi? – zapytał jeden z nich.

– To wszystko nieprawda. Na razie to tylko zarzuty. Dziewczyna mówi, że została skrzywdzona. Również jestem kobietą i pomogę jej. Sheelu została poważnie wykorzystana – odpowiedziała Sampat.

– A co z zarzutem, że ukradła z domu posła broń?

– Jeżeli rzeczywiście tak było, to dlaczego broń nie została zabezpieczona przez policję jako dowód? Policja nie posiada tej strzelby – odparowała Sampat.

Następnie Sampat oznajmiła mediom, że żąda wyjaśnienia, dlaczego poseł sam zabrał Sheelu z Pathary, zamiast zlecić sprawę policji.

– Odwiedziłam tę wioskę. Ludzie powiedzieli mi, że oni – mam na myśli ludzi posła – wyłamali drzwi i zabrali dziewczynę siłą. Wyłamywanie drzwi nie było jednak konieczne. Należało wezwać policję. Policję powinno się wezwać w przypadku każdego porwania – stwierdziła. – Poseł nie jest ponad prawem. Wobec prawa pozycja społeczna nie ma znaczenia. Kara należy się tak czy inaczej.

\*

Tłum się rozpierschł. Zabrzęczał telefon Lakhana. Dzwonił brat Dwivediego – Ram Naresh Dwivedi – ten sam, u którego Deepak, mąż Geety, pracował niegdyś w sklepie monopolowym w Atarze.

Serdecznym, acz poważnym tonem poprosił Lakhana o spotkanie u siebie w domu.

– Poseł chciałby się z tobą widzieć – rzekł.

Lakhan miał mieszane uczucia.

– Bałem się. Pomyślałem sobie: ta sprawa coraz bardziej się komplikuje.

Po rozłączeniu się Lakhan wziął Sampat na bok i zrelacjonował jej rozmowę.

– Co mam robić, Sampat-ji? Iść? – zapytał.

Odpowiedź Sampat była jednoznaczna.

– Iść! Dowiedz się, czego chce, a potem daj mi znać – poinstruowała go.

Lakhan dotarł do domu Dwivediego dopiero po południu. Tam poproszono go, by zaczekał na podwórzu – czyli *maidan* – za domem, w tym samym miejscu, gdzie Achchhe Lal był szantażowany i torturowany.

– Siedziało tam ze dwadzieścia osób. Byli ludzie z ochrony. Obok mnie usiadł jego brat. Wszyscy okazywali mi szacunek. Powiedzieli: „*Vidhayak*



chce z panem porozmawiać”. Wszędzie wałały się śmieci. Za domem stały bawoły i krowy. Wszyscy byli bardzo poważni.

Dwivedi nie mógł spotkać się z Lakhanem natychmiast, ponieważ trwała właśnie konferencja prasowa w jego domu. Dziennikarze udali się tam prosto z sądu, by usłyszeć oświadczenie polityka na temat rzekomej kradzieży.

– Co ma pan do powiedzenia na temat całej tej sprawy? – zapytał jeden z nich.

Dwivedi milczał przez chwilę, po czym powoli, ponurym tonem odpowiedział:

– Miała miejsce kradzież... To zasadzka polityczna. Skradzione przedmioty zostały odzyskane... – zaczął, ale przerwał mu dzwonek czyjegoś telefonu. Dwivedi spojrział w kierunku hałasu, a kiedy dźwięk został wyciszony, kontynuował: – Zbliżają się wybory. To wszystko spisek polityczny. To sprawka opozycji. Nie chcę na razie więcej na ten temat mówić...

– Sheelu postawiła panu wiele zarzutów... Mógłby pan je wyjaśnić? – zapytał inny dziennikarz.

Dwivedi spojrział w niebo, jakby próbując sobie przypomnieć, kim jest ta cała Sheelu i o jakich zarzutach mowa.

– Jakie zarzuty mi postawiła, nie mam pojęcia – odparł w końcu, tym twierdzeniem zamykając konferencję prasową.

Lakhan, widząc opuszczających siedzibę posła dziennikarzy, zdenerwował się jeszcze bardziej. Przyszło mu do głowy, że prasa może działać w zмовie z politykiem. Kiedy wreszcie zaproszono go do środka, zastał Dwivediego ze znękaną miną.

Według relacji Lakhana doszło między nimi do następującej wymiany zdań:

– Powiedział do mnie: „Dzwoniłem do pana, żeby zapytać, dlaczego Sampat to robi? Dlaczego występuje przeciwko mnie? Co złego jej zrobiłem? Nie wywołałem żadnego zamieszania. Wręcz przeciwnie, próbowałem je wyciszyć. Choć postępuję słusznie, dostaje mi się po łapach. Żądam spotkania z Sampat Pal. Czy może jej pan przekazać, że chciałbym się z nią widzieć?”.

Lakhan, chcąc uniknąć roli pośrednika, zaproponował politykowi numer Sampat z sugestią, aby zadzwonił do niej od razu. Ten rzekomo nie chciał kontaktować się z nią z własnego telefonu i zlecił połączenie swemu osobistemu sekretarzowi.

Po nawiązaniu połączenia Lakhan przysłuchiwał się rozmowie.

– *Bhen-ji*, siostrze, cóż złego ci uczyniłem? Nie zrobiłem nic *galat kam*. Jeżeli chcesz, złożę mandat poselski. Dlaczego? Ponieważ, jak się wydaje, nie podoba ci się moja praca! Spotkajmy się. Nie chcę rozmawiać przez telefon. Mogę wysłać po ciebie samochód.

– Skoro jesteś niewinny, czemu zachowujesz się jak człowiek, który ma krew na rękach? – spytała Sampat.

Polityk perswadował:

– Przychodzę do ciebie jak brat, z pochyloną głową, i proszę o wybaczenie. To jeszcze bardziej rozzłościło Sampat.

– To chyba Sheelu powinieneś prosić o wybaczenie, nie mnie! – krzyknęła. Dwivediemu najwyraźniej nie podobał się kierunek, w którym zmierzała rozmowa.

– To nie jest rozmowa na telefon. Gdzie teraz jesteś? – chciał wiedzieć. – Wyślę po ciebie samochód. Halo? Halo?

Sampat już się rozłączyła.

– Jedź, znajdź ją i przywieź tu – warknął Dwivedi do swego kierowcy, w milczeniu stojącego przy drzwiach.

– *Lakhan-bhai*, nie zrobiłem nic złego. Porozmawiaj ze swoim ojcem. Zapytaj go o moją reputację. Jesteśmy powszechnie szanowaną rodziną. Nigdy nie zrobiłbym niczego *ganda*. Powiedz Sampat, że proponuję pięć *lakh* rupii – pięćset tysięcy rupii z moich prywatnych funduszy w zamian za to, by milczała. Mogę przekazać te pieniądze jej synowi. Będzie mógł wykorzystać je na rozwój swojej wioski. Powiedz Sampat, że spotkam się z nią, gdziekolwiek wskaże.

Lakhan obiecał, że przekaże wiadomość.

Na wieść o propozycji polityka Babujiego ogarnął niepokój. Nie spodobało mu się, że Dwivedi zaproponował pieniądze synowi Sampat, Kamcie, znanemu jako Munna. Munna wszedł do polityki dopiero kilka miesięcy wcześniej, a już były zakusy, by go skorumpować. Oczywiście Babujiego najbardziej martwiło to, że Munna w ogóle zaangażował się w politykę.

W październiku 2010 Munna został wybrany na pradhana Rauli – tej samej wioski niedaleko Gadarian Purvy, gdzie Sampat rozpoczęła pracę dla organizacji pozarządowej Prabhat Samit, która zaangażowała ją, gdy stała się znana ze swoich umiejętności krawieckich. Munna, jako jeden z dwudziestu jeden kandydatów z ramienia Różowego Gangu, został ostatnio wybrany na

stanowisko pradhana. Kandydaci ci niekoniecznie musieli należeć do Gangu. Zdarzało się, że podobnie jak Munna, byli krewnymi członków ruchu. Do obowiązków pradhana należał nadzór nad budową wiejskich dróg, instalowanie pomp w wioskach, budowa przychodni lekarskich oraz pozyskiwanie pieniędzy z rządowych funduszy na rozwój wsi. Munna miał dwadzieścia dwa lata i, jak na sołtysa, był niezwykle młody. Stanowisko to powierzano zwykle ludziom bardziej doświadczonym, czterdziesto-, pięćdziesięciolatkom.

– Ludzie widzieli w nim nadzieję – wyjaśnia jego żona Beenu. – Widzicie, ilu ludzi uwierzyło mamie? – zapytała, mając na myśli oczywiście Sampat. – Z tego samego powodu głosowali na niego.

Rok wcześniej Munna przygotowywał Beenu do startu w lokalnych wyborach. Chciał, by je wygrała, na wypadek, gdyby w radzie wiejskiej Rauli przeznaczono miejsce dla kobiety.

– Interesuje mnie udział w wyborach – powiedział Beenu, kiedy się zaręczyli. – Gdyby było miejsce dla kobiety, zgodziłabyś się kandydować? – zapytał. Beenu odparła, że tak. Munna i Beenu pobrali się w styczniu 2010 roku, mimo że od skończenia studiów rolniczych na Uniwersytecie Bundelkhand w Jhansi chłopaka dzielił jeszcze rok. Małżeństwo zawarli w pośpiechu, co Beenu przypisywała swej zgodzie na kandydowanie w wyborach. Nie będąc synową Sampat, nie miałyby żadnych szans na zwycięstwo. Tamtego roku oboje, zarówno Beenu, jak Munna, zadeklarowali chęć startu, ale ponieważ mandat przysługujący Rauli został ostatecznie określony jako „ogólny”, to znaczy nieprzeznaczony konkretnie ani dla kobiety, ani dla członka niższej kasty, Beenu wycofała swą kandydaturę. Dzięki poparciu Sampat wygrał Munna.

Ambicje polityczne Munny wprowadziły pewne napięcie w dotąd bardzo przyjazne relacje między Babujim a Sampat. Babuji coraz bardziej niepokoił się o dzieci Sampat, zwłaszcza o Munnę, któremu, jak się wydawało, zależało na korzyściach płynących z protekcji Różowego Gangu.

Munna urodził się jako przedostatnie dziecko i przez całe dzieciństwo traktowany był jak rodzinny pieszczoszek. Ten wesoły młodzieniec najlepiej czuje się w domu, przekomarzając się z młodą żoną o oczach łani i słuchając na komórcie muzyki z filmów Bollywood. Na pierwszy rzut oka nie sprawia wrażenia człowieka, którego pasjonuje problem wykształcenia.

Mimo to, już w 2008, kiedy Munna był na pierwszym roku studiów,

założył w pobliskim miasteczku szkołę. Nazwał ją Szkołą Podstawową Różowego Gangu.

– Pomysł był tylko i wyłącznie mój. Na początku nie podzieliłem się nim ani z mamą, ani z Babujim – zdradza chłopak. Munna otworzył szkołę, by pokryć część kosztów studiów. Czesne wynosiło około dwustu tysięcy rupii (czterech tysięcy dolarów) za cztery lata nauki.

– Pomyślałem sobie: jak mogę zarobić na czesne? I przyszło mi do głowy, żeby założyć szkołę – opowiada. – Najpierw myślałem, że nauka w takiej szkole powinna kosztować pięćdziesiąt rupii za miesiąc (około dolara), ale ludzie są za biedni, więc postanowiłem obniżyć cenę do dwudziestu pięciu rupii.

Sampat, mimo że sama jest niewykształcona, z ramienia Prabhat Samit prowadziła kiedyś prymitywną szkółkę w pobliskiej wiosce Gora. Zajęcie nie było lukratywne, Sampat zarabiała około pięciuset rupii na miesiąc. Być może jednak właśnie ten epizod z jej życia zainspirował Munnę do tego, żeby wykorzystać edukację jako stabilne źródło dochodu. Przepisy nie pozwalały założyć ani zarejestrować szkoły osobie prywatnej. Prowadzić placówki edukacyjne mogły za to organizacje pozarządowe. Wstąpienie do Różowego Gangu oszczędziło więc Munniemu zakładania własnej organizacji charytatywnej. W przeciwieństwie jednak do tego, co sugerowała nazwa szkoły, członkowie Różowego Gangu nie mieli z nią nic wspólnego, a sama Sampat nie była w nią w najmniejszym stopniu zaangażowana.

Munna zatrudnił ośmiu nauczycieli i przyjął do szkoły miejscowe dzieci z Rauli. W Indiach nawet najbiedniejsi gotowi są zrobić wszystko, by dać dzieciom prywatne wykształcenie, jako że szkoły państwowe mają bardzo złą opinię. Nauczyciele często nie pokazują się na lekcjach – zdarzają się przypadki, że nauczyciel pobiera comiesięczną pensję za pracę w placówce, w której noga jego nigdy nie stanęła.

Szkoła Podstawowa Różowego Gangu ma dwieście pięćdziesięcioro uczniów. Nauka prowadzona jest w oparciu o program narzucony przez indyjskie prawo. Uczniowie siedzą po turecku pod drzewami banianu, gdzie odbywają się zajęcia, co w indyjskich szkołach jest ogólnie przyjętym zwyczajem. Są podzieleni na osiem klas. Wszyscy noszą mundurki, składające się z jasnoróżowej koszuli i czarnych spodni lub ciemnoszarej spódnicy. Dzieci przyjmowane są do szkoły bez względu na pochodzenie i przynależność matek do Różowego Gangu. W szkole nie realizuje się żadnej pracy ideologicznej, to

znaczy, innymi słowy – szkoła nie zajmuje się wychowywaniem dzieci na przyszłych członków Gangu.

Babuji bardzo źle przyjął wiadomość o szkole. Zdenerwował się na Sampat, a Munnę skrytykował za wykorzystanie nazwy i marki Gangu dla własnych celów komercyjnych. Zdaniem Munny przez Babujiego przemawiała po prostu zazdrość, że sam nie wpadł na taki pomysł.

– Sam chciał otworzyć szkołę – mówi.

Teraz, kiedy Munna zajął się polityką, problem szkoły zszedł na dalszy plan. Babuji doskonale pamiętał czasy, kiedy, przed wyborem Munny na stanowisko pradhana, Sampat była postrachem nieuczciwych sołtysów. Często zarządzali oni wsiami niczym własnym lennem i ciągnęli zyski z funduszy przeznaczonych na ich rozwój. Ostatnio na przykład *pradhan* pobliskiej wioski Mahoba wprowadził się do miejscowej szkoły i oznajmił, że budynek będzie odtąd jego domem. Mieszkał tam do czasu, kiedy Różowy Gang go nie przepędził. Od zwycięstwa Munny w wyborach Babuji miał wrażenie, że stosunek Sampat do pradhanów stał się znacznie łagodniejszy. Nie posądzał wprawdzie ani Munny, ani Sampat o korupcję, ale obawiał się, że ze względu na stanowisko syna Sampat stanie się mniej obiektywna.

Rzeczywiście, po wyborach w 2010 roku Babuji nabrał przekonania, że stanowisko Munny w znacznym stopniu ogranicza Sampat, jeśli chodzi o kontrolowanie pracy członków Różowego Gangu, którzy wygrali wybory w swoich społecznościach, a potem nie wypełniali obietnic wyborczych. Babuji miał nadzieję, że zwycięstwo Różowego Gangu w lokalnych wyborach pozwoli organizacji zjednoczyć siły przeciwko korupcji i uczulić jej członków na wszelkie przejawy przekupstwa, jakich są świadkami.

– Dając właściwy przykład, urośniemy w siłę i w końcu nastąpi przemiana społeczna. To jednak nigdy nie nastąpi, ponieważ własny syn Sampat został pradhanem. Teraz trudno jest poruszać te sprawy – mówi ponuro Babuji.

Ku jego rozczarowaniu minęło wiele miesięcy bez słowa ze strony pradhanów, wybranych z ramienia Różowego Gangu w październikowych wyborach. Nie chodziło tylko o brak informacji na temat prób przekupstwa, równie ważne było milczenie w sprawie ulepszeń, jakie mieli wprowadzić w swoich wioskach.

– Jeśli dziś zabieram głos przeciwko któremuś pradhanowi, Sampat się to nie podoba. Żona Bharata, Chandrakali, członkini Różowego Gangu

z Duwarii, sprawuje funkcję pradhana i kompletnie nic nie robi. A Sampat to toleruje. Mieliśmy nadzieję, że nasi pradhani będą nas informować o wszelkich próbach korupcji. Do tej pory nic nie słyszeliśmy, co oznacza, że i oni muszą brać łapówki. Kocham Różowy Gang. Dlatego nie chcę otwierać tej puszkę Pandory. Powinna to zrobić sama Sampat. Tłumaczę jej, że nie chodzi o zwycięstwo, ale o to, by dobrze wykonywać swoją pracę. Ta robota jest jak spacer po ostrzu żyletki. Najmniejsze zboczenie z drogi oznacza ogromne niebezpieczeństwo.

Jeśli polityka, uprawiana nawet na niewielką skalę, stanowiła takie zagrożenie dla harmonijnego działania organizacji, to był powód sądzić, że w przyszłości Różowemu Gangowi przyjdzie stąpać po jeszcze bardziej grząskim gruncie. W sierpniu 2010 Sampat otrzymała bowiem niezwykłą wiadomość. Została mianowicie zaproszona na prywatne spotkanie z Sonią Gandhi, głową dynastii politycznej Gandhi-Nehru. Spotkanie miało odbyć się w domu pani polityk w New Delhi. Niewielu ludzi na świecie dzierży potężniejszą władzę niż ta urodzona we Włoszech kobieta, notowana na dwunastym miejscu na liście najbardziej wpływowych ludzi świata magazynu „Forbes” w 2012. Sonia Gandhi stanęła na czele rodziny Gandhich, kiedy jej mąż, premier Indii Rajiv Gandhi został zamordowany w 1991 roku. Siedem lat później została przewodniczącą Indyjskiego Kongresu Narodowego – niepodległościowej partii Mohandasa Karamchanda Gandhiego i Jawaharlala Nehru. Nehru, pierwszy indyjski premier, był dziadkiem Rajiva Gandhiego, natomiast jego matka, Indira Gandhi, również premier, przyjęła nazwisko męża – Gandhi, odrzucając panięskie – Nehru. Po wyborach w roku 2004 Sonia Gandhi została wybrana na szefa rządu, powstałego z koalicji piętnastu partii, a działającego pod nazwą Zjednoczony Sojusz Postępowy. Oczekiwano, że Sonia Gandhi obejmie stanowisko premiera, ale zrezygnowała z urzędu i na swoje miejsce wyznaczyła Manmohana Singha.

Przygoda Sampat z Indyjskim Kongresem Narodowym zaczęła się w 2006 roku, kiedy to sekretarz Komitetu Wszechindyjskiego tej partii, dr Bholu Pandey, nawiązał z nią kontakt w związku z atakiem na policjanta w Atarze. Sampat weszła również w skład delegacji działaczy społecznych, która w 2007 wzięła udział w spotkaniu niższego szczebla z udziałem Soni Gandhi. Później nastąpiła dłuższa przerwa w kontaktach z partią. Trwała aż do roku 2010, kiedy to Sampat otrzymała zaproszenie na osobiste spotkanie z głową partii.

– Madame Sonia-ji to bardzo dobra kobieta. Wsławiła się w całym kraju –

mówi z szacunkiem Sampat, która uważała zaproszenie do domu Gandhi za wielki zaszczyt. – Zaprosiła mnie, bo uważała, że jestem silną kobietą, a gdyby wszystkie silne kobiety, takie jak ja, zjednoczyły się, nareszcie przyszedłby kres wykorzystywania kobiet – dodaje. – To mądra kobieta, która nie kieruje się ani dumą, ani własnym ego. Dlatego mnie zauważyła i przyjęła.

Sampat i Babuji pojechali do New Delhi pociągiem nocnym. Kupili bilety w wagonie „klasy ogólnej” – to jest najtańszym i najczęściej zatłoczonym jak podmiejski pociąg w godzinach szczytu. Żadne z nich nie było nigdy w stolicy. Sampat zapakowała prowiant na drogę – curry ziemniaczane i *puri*, a także zawinięte w gazetę pierożki samosa. W torbie podróźnej wiozła dar dla Soni Gandhi – różowe sari. Przygotowała również wycinki prasowe z informacjami o swej pracy. Chciała je pokazać przewodniczącej Indyjskiego Kongresu Narodowego.

Zmęczona podróżą para wysiadła na dworcu Pahargandź – w miejscu, gdzie zbiegają się linie kolejowe, zwożące do stolicy przede wszystkim robotników ze zubożałych stanów północnych – Uttar Pradeś i Bihar. Rankiem na dworcu panuje zawsze tłok i zgiełk. Wędrowni handlarze wystawiają na sprzedaż wszystko, od grzebieni po durszlaki, całe szpalery pucybutów starają się zwabić klientów, uderzając szczotkami do polerowania o stołeczki, a wychudzone dzieci z główkami chwiejącymi się niepewnie na cienkich szyjach wyciągają w stronę pasażerów brudne rączki.

Na Sampat całe to szaleństwo nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Z Babujim u boku wytrwale torowała sobie drogę do postoju autoriksz. Indyjski Kongres wynajął im pokój w hotelu niedaleko Dworca Centralnego. Sampat miała jeszcze czas się odświeżyć, po czym przyjechał po nią samochód.

Na ulicę Janpath 10 – do oficjalnej rezydencji Soni Gandhi – zawieziono ją nieskazitelnymi, ocienionymi drzewami alejami ekskluzywnych dzielnic południowego Delhi. Tu, w przestronnych modernistycznych willach z lat 50., ukrytych za wysokimi murami, zza których wystawały tylko talerze anten satelitarnych, mieszkali najbardziej wpływowi ludzie w kraju.

Po kontroli bezpieczeństwa przy wejściu na posesję Sampat udała się dalej alejką pośród aksamitnych, wypielęgnowanych trawników. Przeprowadzono ją przez niezliczone drzwi, by wreszcie, po krótkim oczekiwaniu, mogła wejść

do gabinetu Soni Gandhi. Choć ich spotkanie nie mogło trwać dłużej niż pół godziny, wywarło na Sampat niezatarte wrażenie. Po pierwsze, usadzono ją na eleganckim, tapicerowanym krześle, które po niewygodnym siedzeniu w pociągu wydawało się królewskim tronem. Po drugie, pani Gandhi zaproponowała jej herbatę w „pięknej filiżance”. Rozświetlony słońcem pokój wypełniały oprawione fotografie rodziny Gandhi. Po jednej stronie stał długi regał, a obok niego – wypolerowane drewniane biurko. Sama Gandhi roztaczała wokół siebie aurę ciepła i zadawała Sampat wiele pytań. Jak powstał Różowy Gang? Dlaczego zdecydowała się go założyć? Dlaczego wybrała różowe sari?

– Potem zapytała: „Dlaczego posługujecie się słowem «gang»”? Ja na to: „Pobiłyśmy policjanta i media nazwały nas gangiem. Nazwa się przyjęła i już nie da się jej zmienić”. Zaczęła się śmiać i powiedziała: „W takim razie dobrze”. Słuchała mnie. Rozmawiała ze mną. Nie ograniczyła się do wysłuchania mojego opowiadania i pochwały: „Bardzo dobra robota”. Powoli docierało do niej znaczenie naszej siły, a potem zrozumiała, że dzięki organizacji takiej jak moja kobiety mogą same dbać o egzekwowanie własnych praw. Jeśli tego nie zrobią, mężczyźni nigdy o to nie zadbają – przypomina sobie Sampat.

Przewodnicząca Indyjskiego Kongresu Narodowego dała też samozwańczej obrończyni praw kobiet kilka rad.

– Ataki na policję to nie jest dobry pomysł – zganiła ją.

Sampat jednak broniła swych czynów.

– Jeśli ten człowiek źle postępuje, bierze prawo we własne ręce, to jaki w tym problem, że go pobijemy?

Rozmowa dotyczyła też problemów społecznych w Bundelkhandzie. Przed pożegnaniem Sampat podarowała pani Gandhi różowe sari, które ta z wdzięcznością przyjęła.

Ostatnie godziny w stolicy Sampat i Babuji spędzili na wspólnym zwiedzaniu Bramy Indii – łuku triumfalnego, wybudowanego dla upamiętnienia wojny.

– Przy Bramie Indii widzieliśmy tyłu chłopców i dziewcząt siedzących tuż obok siebie. Siedziałam w pobliżu i czułam się nieswojo, kiedy się przytulali, ponieważ widziałam coś takiego po raz pierwszy w życiu. Bardzo mnie to zawstydzalo – wyznaje Sampat.

W owym czasie ona i Babuji nie czuli się w swoim towarzystwie zupełnie



swobodnie. Tamtego dnia, otoczeni flirtującymi parami, zachowywali między sobą spory dystans. Potem jednak sytuacja zaczęła się powoli zmieniać. Teraz, kiedy razem podróżują, Sampat zasypia często z głową na kolanach Babujiego. A kiedy jest zmęczona jeżdżeniem między wioskami, Babuji z troską masuje jej łydki i ramiona. Kiedy wciera sobie we włosy olejek z gorzycy, Babuji energicznie jej w tym pomaga. Wyprawy takie jak ta do Soni Gandhi bardzo zbliżyły ich do siebie.

W drodze powrotnej do domu Babuij i Sampat zastanawiali się, czy spotkanie z głową rodziny Gandhich zaowocuje propozycją, by Sampat z ramienia Indyjskiego Kongresu Narodowego wystartowała w wyborach do zgromadzenia ustawodawczego w Uttar Pradeś w 2012 roku. Prawdę mówiąc, partia potrzebowała ludzi pokroju Sampat – liderów społecznych z szerokim, wciąż rosnącym poparciem u ludności, zwłaszcza w Uttar Pradeś – stanie o najliczniejszym elektoracie w kraju. Uttar Pradeś dysponował osiemdziesięcioma spośród pięciuset czterdziestu pięciu miejsc w niższej izbie parlamentu. Drugi w kolejności był stan Maharasztra, na terenie którego leży Mumbai, finansowa stolica Indii, dysponujący zaledwie czterdziestoma ośmioma miejscami w parlamencie. Po wyborach w 1988 roku, kiedy to Kongres po raz ostatni zdobył większość w Uttar Pradeś, partia utraciła pozycję ważnego gracza na scenie politycznej tego ogromnego stanu. Od tego czasu za swój cel wyborczy stawiała ponowne zwycięstwo w wyborach lokalnych. Niestety w wyborach w 2007 roku Kongres – partia rządząca krajem prawie bez przerwy od czasu odzyskania przez Indie niepodległości – zdołał zająć zaledwie dwadzieścia dwa spośród czterystu trzech miejsc poselskich w parlamencie Uttar Pradeś. Prasa indyjska nazwała ten wynik „poniżającym” i „beznadziejnym”.

Babuiemu nie spodobał się pomysł, by Sampat kandydowała na posła.

– Nie chcę, abyśmy się poróżnili – oznajmił jej. Martwił się, że jeśli Sampat dostanie się do polityki, Różowy Gang całkowicie zatraci swoją tożsamość. Sampat nie przejęła się jego obiekcjami. Oświadczyła, że skoro Sonia Gandhi poprosiła ją o start w wyborach, będzie kandydować.

Gdyby Sampat rzeczywiście na poważnie zajęła się polityką, jednym z kluczowych czekających ją wyzwań byłoby utrzymanie jedności w Gangu. Pomimo wielu lat nieustannego wpajania kobietom, że najważniejsze wartości to solidarność i jedność, niezgoda wkradła się między nią a Babujiego, a w konsekwencji zaczęła przenikać dalej. Do jednego z najpoważniejszych

w Różowym Gangu sporów doszło między Sampat a szefową dystryktu Mahoba, kobietą nazwiskiem Suman Singh.

Suman była pierwszą szefową dystryktu powołaną w historii Różowego Gangu. Sampat utrzymuje, że od początku kierowała się nieszczerymi intencjami. Twierdzi, że trzy miesiące przed wstąpieniem do Różowego Gangu kobieta wyrzuciła z domu synową i fakt ten zataiła.

– Chciała wstąpić do Gangu, by ojciec synowej nie zaskarżył jej w sądzie. Myślała, że jeśli będzie członkiem Różowego Gangu, nikt nie waży się podnieść na nią ręki. Dlatego do mnie przyszła. Niestety wszystkiego dowiedziałam się dopiero później – relacjonuje Sampat.

Potem, kiedy Suman należała już do Gangu, Sampat podejrzewała ją o wywyższanie się wobec ludzi z kasty dalitów. W hierarchii społecznej leżała ona niżej niż kasta chauhanów, do której sama należała. Obie podkasty mieściły się zaś w obrębie kasty kszatrijów. Problem był poważny, bo Sampat surowo tępiła wszelką dyskryminację wewnątrz Gangu. Suman towarzyszyła raz Sampat z wizytą u kobiety z kasty dalitów, której sprawą zajmował się Różowy Gang. Odmówiła wtedy poczęstunku w postaci herbaty i przekąski, które gospodyni zaproponowała gościom.

– Zapytałam, czemu nie je, a ona na to: „Dziś poszczę” – zapamiętała Sampat.

Kiedy jednak wrócili do domu Suman, ta od razu wzięła coś do ust.

– Myślałam, że dziś pościsz! – wykrzyknęła Sampat na widok pospiesznie przełykającej Suman.

– Och, kompletnie zapomniałam! – odpowiedziała z głupia frant Suman. Sampat była przekonana, że nie mówi prawdy.

Później Sampat przyłapała Suman na znacznie poważniejszym przewinieniu. Udała się do banku wypłacić pieniądze. Będąc już w oddziale, spotkała dyrektora banku, który na jej widok nie krył zdziwienia.

– Przed chwilą pani mi groziła, a teraz pani tu przychodzi jak gdyby nigdy nic? – wykrzyknął.

– Ależ nie groziłam panu! – odparła z niedowierzaniem Sampat.

– Groziła mi pani nie dalej jak pół godziny temu, przez telefon! – odezwał się rozzłoszczony dyrektor. Sampat poprosiła, by wybrał numer, z którego dzwoniła osoba z pogrózkami, i przełączył na rozmowę na głośnik.

– Tu Sampat Pal, przewodnicząca Różowego Gangu – odparł głos po drugiej stronie.

Sampat nie wierzyła własnym uszom.

– To niemożliwe! Siedzę tu z Sampat Pal, która chce z panią rozmawiać! – wykrzyknął dyrektor. Później wyszło na jaw, że to Suman ma zwyczaj podszywać się pod przełożoną.

Suman błagała Sampat o wybaczenie. Wyjaśniała, że za wszelką cenę próbowała pomóc bratu, który wziął pożyczkę w wysokości 150 000 rupii, czyli około 2700 dolarów, i nie był w stanie spłacić odsetek. Kiedy bank zagroził windykacją, Suman zadzwoniła do dyrektora i podszywając się pod Sampat, oświadczyła, że Różowy Gang „napadnie na placówkę banku”. Sampat nie kryła wściekłości.

– Powiedziałam jej, że to było wysoce niewłaściwe. Wygrażać komuś w moim imieniu! Teraz nie mam pojęcia, ile razy nadużyła mojego nazwiska... Po tym incydencie powiedziałam jej, że już nie należy do mojej organizacji – relacjonuje Sampat. W końcu przyjęła jednak Suman z powrotem. Martwiła się bowiem, że wyrzucenie jej może spowodować rozpad Gangu. – Gdybym wyrzucała każdego, kto tylko popełni błąd, nikt by się nie ostał! – dodaje.

Do tej pory jedyną szefową dystryktu, na dobre pozbawioną członkostwa, była kobieta imieniem Gyanmatti, działaczka społeczna zwerbowana właśnie przez Suman. Mimo krótkiego stażu w Gangu bardzo zależało jej na awansie. Wkrótce po tym, jak została przyjęta, przyszła do Sampat z pytaniem, czy nie mogłaby zostać szefową dystryktu Mahoba, mimo że stanowisko to zajmowała już wspomniana Suman. Argumentowała, że będzie wypełniać obowiązki znacznie lepiej niż Suman, która „nie traktuje jej z należnym szacunkiem”. Sampat, wbrew swojej intuicji, zgodziła się, ale zaproponowała Gyanmatti inny dystrykt – Hamirpur. Nominacja okazała się jednak fatalna w skutkach.

– Gyanmatti nie prowadziła rekrutacji nowych członkiń. Chodziła tylko dumna jak paw, rozgłaszając wszem wobec, że została szefową – narzeka Sampat. Kiedy doniesiono jej, że Gyanmatti nadużywa władzy i żąda pieniędzy w zamian za pomoc i ochronę, Sampat odebrała jej i stanowisko, i członkostwo. Nic to jednak nie pomogło – Gyanmatti nie przestawała nazywać się szefową dystryktu. Zmusiła tym samym Sampat do złożenia doniesienia na policji i poinformowania prasy, że jej była szefowa dystryktu działała bezprawnie, samowolnie i że Różowy Gang nie ponosi odpowiedzialności za jej postęпки.

Na krótko przed aresztowaniem Sheelu Geeta, znana z życzliwego stosunku do wszystkich w Gangu, nie na żarty ścięła się z Mitu Devi, szefową dystryktu Banda. Powodem sporu była sprawa dotycząca skłóconych członkiń Gangu z obu dystryktów.

Członkini Gangu z dystryktu Geety, Guriya, oskarżyła swą teściową, członkinię Gangu z okręgu Mitu, o pobicie i odmowę przyjęcia jej do rodziny po ucieczce z synem tamtej kobiety. Sprawa zrobiła się tym poważniejsza, że dwudziestokilkuletnia Guriya była wówczas w ciąży.

– Teściowa okładała ją gumowym przewodem od butli gazowej – mówi Geeta.

By pomóc Gurii, która zdesperowana i zrozpaczona postanowiła wstąpić do Gangu, Geeta zebrała grupę kobiet z Chitrakoot i wybrała się do teściowej dziewczyny. Wtedy dowiedziała się, że ta również wstąpiła w szeregi Gangu, tyle że do grupy Mitu, przez co zyskała jej ochronę. Mitu ochrzciła się „Lwicą Bandy”. Doszło do krępującej sytuacji między szefowymi dystryktów. Obie broniły własnych członkiń i oskarżały drugą stronę o wypaczanie prawdy.

Ostatecznie Geeta zadzwoniła do Sampat, by rozwiązać spór.

– *Didi* sprawiła, że Guriya i jej teściowa doszły do porozumienia. Mitu nie miała wyjścia, musiała zgodzić się z *didi*. Nic nie odpowiedziała. Odeszła. Wciąż chowa do mnie urazę. Powiedziałam, że nie ma sprawy. Muszę mieszkać w Chitrakoot, nie w Bandzie. Jeśli zechce, żebym coś dla niej zrobiła, może do mnie zadzwonić i przyjadę... Nie boję się jej.

Prócz tych incydentów większość członkiń Gangu, jak twierdzi Sampat, żyje ze sobą w zgodzie.

– Są dla siebie jak siostry. Gdyby nie łączyła ich przyjaźń, to po co wstępowałyby do grupy? Jeśli ktoś pracuje dla pieniędzy, to nie ma tam przyjaźni, ale u nas kobiety nie żądają zapłaty. Nie zmuszamy ich do wzajemnej pomocy. Robią to z przyjaźni.

\*

„W domu vidhayaka zdarzyły się okropne rzeczy: Sheelu” – oto nagłówek z tytułowej strony wydania gazety „Hindustan” z kolejnego dnia po wizycie Sheelu w sądzie. Wszystkie miejscowe gazety w porannych wydaniach zamieściły artykuły na ten temat. „Policja ma zamknięte oczy, uszy i usta”, twierdzi gazeta „Amar Ujala”. „Vidhayak-ji, czy Sheelu jest twoją córką, czy służącą?”, domaga się odpowiedzi autor innego artykułu w tej samej gazecie,

nawiązując do sprzecznych wypowiedzi pośła i jego rodziny na temat jego relacji z Sheelu.

Dwivedi wyjawiał później, że to właśnie ze względu na relację z Achchhem, przyjacielem i współpracownikiem z BSP, pozwolił Sheelu zatrzymać się u siebie w domu. Dodał, że Achchhe poprosił go o to, ponieważ Sheelu czuła, że straciła honor i nie śmiała wrócić do Shahbajpuru po tym, jak została odnaleziona w Patharze.

– Dziewczyna powiedziała, że nie miała odwagi iść do wioski i pokazać się tam ludziom na oczy – relacjonował Dwivedi.

Dał też do zrozumienia, że dziewczyna jest trudna i potrzebowała pracy wychowawczej.

– Sporo przeszła – dodał niejasno. – Myślałem, że może dziewczyna zmieni się na lepsze... jeśli pozwolę jej zostać u siebie. – Wspomniał o rzekomej krnąbrności Sheelu. Zastanawiał się też nad tym, że choć „więzienie nie jest dla niej właściwym miejscem”, to jednak może „dokonać w niej pozytywnej przemiany”. Był zdania, że „kiedy tylko dziewczyna wyjdzie z więzienia, ojciec musi postarać się na nią wpłynąć”.

Zaprzeczył również kategorycznie zarzutom Sheelu, jakoby wyrządził jej krzywdę.

– Traktowałem ją z szacunkiem, jak córkę, na równi z rodziną – powiedział. O zarzuty, które padły z ust Sheelu, obwinił swych przeciwników politycznych. – Wszyscy wiedzą, że Indyjski Kongres Narodowy i partia Samajwadi występują przeciwko mnie, bo kandydowałem w wyborach... Udowodnię, że wszystko, co mi zarzucają, jest nieprawdą.

Do chwili, kiedy Sheelu publicznie wypowiedziała swoje zarzuty wobec Dwivediego, niektóre gazety w ogóle nie podnosiły sprawy jej aresztowania. Mogły zostać przekupione, co w takich miejscach jak Bundelkhand, gdzie za poparcie prasy w czasie wyborów podobno trzeba słono zapłacić, jest na porządku dziennym. Mogły również ze strachu przed zemstą polityka same ocenzurować własne wypowiedzi.

– Ten poseł miał bardzo wysoką pozycję. Bali się go nawet dziennikarze. Nic przeciwko niemu nie publikowali. Z wyjątkiem Amita – mówi Sampat. Amit, znajomy redaktor gazety „Hindustan”, zawzięcie ujawniał szczegóły sprawy i nie zdejmował jej ze strony tytułowej, wręcz przeciwnie – wszelkie wzmianki na ten temat opatrywał komentarzami „sensacja” czy „najświeższe wiadomości”. Niemniej jednak, wzięwszy pod uwagę ogromną liczbę gapiów,

którzy pojawili się przed sądem w dniu, kiedy przywieziono tam Sheelu – „nigdy w życiu nie widziałem takiego tłumu przed sądem”, wyznał pewien obecny tam prawnik – gazety nie mogły pozwolić sobie na dłuższe milczenie w sprawie, która stała się aż tak gorąca.

Gazety z nowo odkrytą pewnością siebie natarły na policję i polityka.

„Dla kogo pracują? Czyich praw i zasad przestrzegają?” – domagał się odpowiedzi dziennikarz z „Amar Ujala”. Miał na myśli urzędników więziennych, którzy nie zlecili dotąd wykonania badań lekarskich, mimo że Sheelu skarżyła się, iż została napadnięta przez pośła.

Tego pamiętnego dnia wszystkie gazety opublikowały zdjęcie czulego spotkania Sampat i Sheelu. Sampat głaszcze po głowie splakaną młodą dziewczynę, która wychyla się z samochodu policyjnego i ściska założycielkę Różowego Gangu za ramię. Jeden z podpisów jest prosty: „Beznadzieja”. Inna gazeta uzupełnia zdjęcie artykułem, którego nagłówek brzmi: „Sheelu ściska Sampat i mówi: «*Didi*, pomóż mi»”.

„Scenę tę przepełniały emocje” – pisze jeden z dziennikarzy „Amar Ujala”. W tym samym artykule podkreśla fakt, że Shelu zwróciła się do Sampat: *didi*, i cytuje fragment rozmowy z Sampat: „Sheelu nazwała Sampat Pal siostrą, więc będę dla niej jak siostra. Niczym starsza siostra wypełnię swój obowiązek wobec tej dziewczyny. Jeśli zajdzie taka potrzeba, wyprowadzę Gang na ulice i będę walczyć za Sheelu”. Dziewczyna, którą „Hindustan” określił mianem „dziecka wychowanego bez matki”, miała już sprzymierzeńca.

Rósł powszechny sprzeciw wobec aresztowania Sheelu. Sprzymierzeńcy pośła wywierali coraz większą presję na Sampat. Po próbie przekupstwa ludzie Dwivediego jeszcze kilkakrotnie odwiedzali Lakhana. Często szukali też samej Sampat.

– Wuj pośła przyszedł spytać, gdzie jest Sampat i kiedy wróci. Mówił, że poseł jest niewinny – wspomina Lakhana. Wuj powtarzał swe wizyty codziennie, ale Sampat szczęśliwie udawało się go unikać.

– Przykazałem jej, by przez parę dni nie pokazywała się w biurze. Bałem się, że ludzie Dwivediego będą jej grozić – ciągnie.

U Lakhana zjawiał się również Radhe Shyam Shukla – ten sam złowieszczy podinspektor policji, który wplątał Lakhana w sprawę o zabójstwo. Nie groził wprawdzie Lakhonowi, lecz próbował przemówić do jego rozsądku.

– Czemu nie wpłynie pan jakoś na Sampat, nie sprawi, by zmieniła zdanie? Jest pan braminem, ja jestem braminem, i poseł jest braminem. Wszyscy trzej jesteśmy więc braćmi. Sampat nie powinna podburzać ludzi przeciwko posłowi. On jest niewinny – przekonywał go rzekomo Shukla. Lakhan, który bynajmniej nie szukał kłopotów, obiecał, że zrobi, co będzie w jego mocy.

Prócz częstych wizyt członków rodziny Dwivediego i jego przyjaciół z policji, o Sampat pytali też inni, prymitywni ludzie, których Lakhan przedtem nie widział. Kiedy odpowiadał, że jej nie ma, przesiadywali w samochodzie zaparkowanym przed domem i czekali na nią godzinami.

Ponieważ w przeszłości Lakhan już raz sparzył się na tym, że Sampat miesza się w sprawy polityczne, coraz bardziej się niepokoił. Denerwował się, że ta sprawa wpędzi ich w jeszcze większe kłopoty. Nakłaniał Sampat, by zachowała ostrożność.

# *Rozdział szósty*

## **EGZORCYSTA Z SHAHBAJPURU**

POTRAFISZ WYGANIAĆ ZŁE DUCHY, A BOISZ SIĘ CZŁOWIEKA?

– *Sampat*

Od owego strasznego grudniowego poranka, kiedy zniknęła jego córka, Achchhego nie opuszczał strach przed ludźmi posła. Gdy 24 grudnia Sheelu zawieziono do sądu, Achchhe nie ośmielił się tam pojawić, by zobaczyć własne dziecko. Obawiał się natknąć na kogoś z ludzi posła. Taktyka nierzucania się w oczy nie okazała się jednak wystarczająco bezpieczna.

Nocą po wizycie Sheelu w sądzie dwóch braci Dwivediego – Chota i Raja, w towarzystwie jeszcze kilku uzbrojonych bandziorów – sterroryzowało położoną na uboczu osadę Shahbajpur. Zanim odnaleźli Achchhego, ten zdążył umknąć do lasu, dwoje najmłodszych dzieci pozostawiając po opieką Santoo, najstarszego, kilkunastoletniego syna.

Ludzie posła wtargnęli podobno do domu Achchhego i zastraszyli jego przerażone dzieci słowami, „że zetrą całą rodzinę na pył”, jeśli ich siostra nie zmieni zeznań. Inni mieszkańcy Shahbajpuru przyznali dziennikarzom, że ich domy również nawiedzili uzbrojeni ludzie, którzy wypytywali o Achchhego i twierdzili, że kiedy wróci, „dopadną go”.

Po aresztowaniu Sheelu jej ojciec wielokrotnie zniknął, nie informując nikogo o miejscu swojego pobytu. Donosiły o tym z troską media, spekulując o powodach jego nieobecności. „Achchhe Lal – banitą”, głosił nagłówek gazety „Hindustan”, nawiązując do tradycji od wielu lat praktykowanej w Bundelkhandzie, gdzie zwyczajni obywatele, nie doczekawszy się sprawiedliwości od państwa, zaszywają się z bronią w wąwozach – ostoi bandytów i szukających zemsty wyrzutków prawa.

Inny artykuł w „Hindustan” poświęcony był brakowi odpowiedniej ochrony, którą policja powinna zapewnić Achchhemu. „Achchhe Lal i Stantoo nie mogą zobaczyć się z Sheelu. Co więcej, nie mają możliwości zgłosić się na posterunek i złożyć zeznań, które nakreśliłyby, jak wygląda sytuacja z ich punktu widzenia”, donosiła gazeta po wizycie Sheelu w sądzie. „Dlaczego policja nie wszczyna działań przeciwko przestępcom, tylko siedzi z założonymi rękami? Dlaczego nie próbuje kontaktować się z Achchhem Lalem?”, żądał odpowiedzi „Hindustan”.

Te same pytania nurtowały Sampat, która postanowiła jak najszybciej



odszukać Achchhego i udzielić mu wsparcia.

Ludzie Dwivediego próbowali zastraszyć również Sampat, ale ona, jak to miała w zwyczaju, nie pisnęła o tym ani słowa. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli rodzina będzie utrzymywana w nieświadomości. Podobne sytuacje zdarzały się już wielokrotnie i za każdym razem przeszła przez nie na własną rękę.

Po tym, jak zadeklarowała, że Różowy Gang „rozpocznie działania na rzecz sprawiedliwości wobec Sheelu”, dziennikarz nazwiskiem Jagpath z gazety „Dainik Jagran” pewnego wieczoru zadzwonił do niej z ostrzeżeniem.

– Powiedział, żebym lepiej zamknęła drzwi na klucz i zachowała czujność, bo różne typy już zaczynają o mnie pytać – wspomina Sampat. – Może po prostu chce mnie przestraszyć? Nie wiem – myślała wtedy. Okazało się, że Jagpath miał rację.

Następnego dnia rano podeszła do sprzedawcy prowadzącego nocne stoisko naprzeciwko jej domu i jak gdyby nigdy nic zapytała, czy w nocy ktoś się tam przypadkiem nie zatrzymywał. W odpowiedzi usłyszała, że owszem, ludzie posła podjechali dużymi samochodami.

– Postali trochę pod pani drzwiami i odjechali – odparł sprzedawca. – Szukają pani? – zapytał, zmartwiony.

– Nawet jeśli, to co z tego? – odparła pewnym tonem Sampat. – Czy to bogowie, których powinniśmy się bać? Nie, to tylko ludzie. Nikt inny.

Sampat postanowiła już, że nie da się zastraszyć politykowi, nawet gdyby zaczął wywierać na niej presję.

– Nie myślałam o tym, co może mnie spotkać. Jeśli miałam w sobie potrzebę działania na rzecz sprawiedliwości, to jak mogłabym z nią walczyć? Chociaż jedna osoba na tym świecie musi walczyć. Na całym świecie jest tak, że przed szereg wychodzi tylko ten, kto ma odwagę. Co by było, gdyby wszyscy się bali? Jesteśmy w Indiach. Stoczono tu już wiele bitew. Trzeba zapomnieć o swoim życiu i zdobyć się na odwagę. Tylko w ten sposób ten kraj może pójść do przodu – mówi Sampat. Nie zaprzecza, że była świadoma ryzyka. – Tu ludzie mogą przewrócić cię w tłumie lub na targu. I jak tu krzyczyć lub wzywać pomocy, kiedy nie wiadomo, kto to zrobił?

Sampat posiada cechę, którą sama określa jako nienaturalny poziom odwagi. Odwaga ta wchodzi w skład ogromnego zestawu talentów, które otrzymała przy narodzinach, a których pochodzenie dziwi ją i zastanawia. Jest zupełnie samowystarczalna, rzadko więc czuje potrzebę zwierzeń

i z wyjątkiem Babujiego nie ma bliskich przyjaciół. Kiedy otoczenie sceptycznie ocenia jej brawurę i nie wierzy w brak chwil słabości, Sampat odparowuje:

– Słuchajcie, ja po prostu się nie boję. Nie myślę o tym, co może mi się przydarzyć. Jak mogłabym podejmować walkę, gdyby przepełniał mnie strach? No, słucham?

Jedyną słabością Sampat jest jej rodzina.

– Kiedy zaczynają się martwić, odbiera mi to odwagę, więc nie mówię im o wszystkim. O wszystkim mówię tylko Babujiemu i Różowemu Gangowi – twierdzi Sampat.

Uważa, że z *gharwali* – dosłownie „domownikami” – powinna rozmawiać jedynie o „sprawach domowych”.

– Po co mam im mówić, że ten czy tamten dziś się ze mną przywitał, a ten czy tamten wczoraj mi pogroził? – pyta. Tak czy inaczej, Sampat w ogóle rzadko rozmawia ze swoją rodziną. A jeśli chodzi o męża, celowo ukrywa przed nim informacje. – Dla kogo pracuję, dla siebie czy dla niego? Jeśli mu to wszystko powiem, czy nie zaczną krzyczeć lub mnożyć przeszkody?

Szczerze mówiąc, Sampat zdarzało się już bywać w znacznie większym niebezpieczeństwie, i nawet wtedy jej rodzina nie zdawała sobie z tego sprawy. Nikt z najbliższego otoczenia Sampat nie zna prawdziwego powodu, dla którego ponad dziesięć lat wcześniej musiała nagle przenieść się z Gadarian Purvy do Badausy. Dzieci mają tylko niejasne pojęcie o tym, dlaczego prawie bez uprzedzenia zostały wywiezione z domu rodzinnego.

– Mama powiedziała, że ludzie z wioski chcą na nas rzucić czary – mówi Nisha i dodaje, że przed wyprawą ona i Munna cierpieli na niekończące się, tajemnicze choroby. Champa zna trochę inną wersję.

– Doszło do waśni rodzinnej, dlatego wyjechaliśmy.

Żadne z nich nie wie, że kiedy Sampat opuszczała dom teściów i uciekała do Badausy, groziła jej śmierć.

Był pochmurny, wilgotny dzień w porze monsunowej w 1990 roku. Sampat siedziała na *charpoy* pod bambusowo-glinianym zadaszeniem chaty Gulaba – mężczyzny, który na spotkaniu w szkole w Rauli wyraził podziw dla jej przemówienia. Dom Gulaba stał naprzeciwko białego muru otaczającego od zachodu teren szkolny. Doskonale było go widać z miejsca, w którym siedziała Sampat.

Od pierwszego spotkania Sampat i Gulaba minęły już lata i przez ten czas bardzo się zaprzyjaźnili. Sampat pomogła Gulabowi zdobyć stanowisko sołtysa. Zdarzyło się pierwszy raz w historii, że pradhanem został ktoś z dalitów.

– Była to prawdziwa rewolucja w wiosce. Przedtem panowała tu dyktatura – wspomina Gulab. Należący do najwyższej kasty braminów mieszkańcy Rauli przyzwyczaili się, że zawsze wygrywają wybory. Nawet jeśli stanowisko zostało zarezerwowane dla kogoś z niższej kasty, podstawiali kogoś ze swoich robotników, a po zwycięstwie robili z niego swoją marionetkę – mówi Gulab.

Tego deszczowego dnia Sampat odwiedziła Gulaba, by podpisać dokumenty, które miały ułatwić jej znajomemu zdobycie pracy w szkole. Sampat często bywała u Gulaba w sprawach formalnych.

– Wielu ludzi prosiło mnie: „Sampat-ji, porozmawiaj z Gulabem o tym czy o tamtym”. Wszyscy wiedzieli, że się dobrze znamy – wspomina Sampat i, dźgając się kciukiem w klatkę piersiową, dodaje: – To dzięki mnie został sołtysiem. To ja reprezentowałam siłę kobiet. To ja powiedziałam wszystkim kobietom, by na niego głosowały.

Kiedy Sampat przybyła do domu Gulaba, zastała tam Ramkesha, swojego szwagra, który wraz z gospodarzem siedział pod daszkiem. Pomyślała sobie, że szwagier miał pewnie z sołtysiem coś do przedyskutowania. Ponieważ z natury była dociekliwa, z innym gościem Gulaba od razu zaczęłaby rozmawiać, ale do Ramkesha nie odzywała się z zasady.

– *Arre*, ten to miał zły charakter, rozumiesz, co mam na myśli? Zawsze nam dokuczał – mówi rozeźlona Sampat, marszcząc czoło. Ramkesh jako jedyny spośród braci Munniego chodził do szkoły. Często wyśmiewał męża Sampat, własnego brata, z powodu analfabetyzmu, a sam przechwalał się swoją edukacją.

– Bratowo, twój mąż jest analfabetą, ale my jesteśmy wykształceni – odezwał się raz do niej, kiedy byli sami.

– Więc twoja żona ma szczęście – odcięła się Sampat i dodała: – Zresztą, mój mąż też ma szczęście. Bo ma mnie.

Sampat sądzi, że Ramkesh nie znosił, jak mu w ten sposób odszczekiwała.

– Jego żona była prostytutką, rzadko się w ogóle odzywała. Był więc zazdrosny.

Sampat doskonale sobie przypomina, że tego dnia w domu Gulaba jego matka, starsza kobieta, poczęstowała ją wodą osłodzoną *jaggery* – grubym, brązowym cukrem pozyskiwanym z żywicy palmowej. Zgodnie z zasadami indyjskiego systemu kastowego, który stawiał Sampat nieco wyżej od Gulaba, kobieta nie powinna przyjąć poczęstunku, lecz złożyć uprzejmie ręce i podziękować: „Nie, dziękuję, siostró” lub „Dziękuję, dziś poszczę”. Ktoś gorzej wychowany mógłby posunąć się dalej i powiedzieć: „Nie, nie mogę. Mam problemy z żołądkiem, jeśli przyjmę jedzenie od charmara”. Matka Gulaba zrozumiałaby. Odkąd jednak Gulab wygrał wybory na sołtysa, członkowie wyższych kast musieli wynajdywać wszelkie preteksty, by przypadkiem nie usiąść z nim na tym samym *charpoy* lub by odmówić poczęstunku w jego domu. Wielu ludzi w Indiach uważa niższe kasty za „nieczyste”, a dzielenie z nimi jedzenia, picia czy sztucców za niebezpieczne dla kast wyższych ze względu na ryzyko „skażenia”. Sampat przyjęła jednak z rąk matki Gulaba metalowy kubek.

– Każdy, kto wierzy w kasty, jest głupcem. Wydaje mi się, że w poprzednim życiu urodziłam się w jakimś innym państwie. Dlatego nie wierzę w indyjskie zwyczaje – mówi Sampat ze śmiechem i klaszcze w dłoń. Nietrudno wyobrazić ją sobie śmiało przełykającą napój, którym została poczęstowana.

Postępek Sampat rozwścieczył Ramkesha. Po spotkaniu z Gulabem ruszył więc prosto do Gadarian Purvy i opowiedział rodzinie, czego był świadkiem.

– Zdenerwowany, rozpowiedział całej wiosce, że „*Kairiwalli* piła wodę z rąk Gulaba” (ludzie w Gadarian Purwie nazywali Sampat *Kairiwalli*, czyli pochodząca z Kairi).

Sampat twierdzi, że Rakesh udał się prosto do jej teściów i powiedział im, że synowa „szuka zaczepki”, „je i pije ze wszystkimi”, a co więcej, nawet „sypia ze wszystkimi”.

– Obrzucał mnie obelgami... W głębi kraju, na wsi, ten głupi system kastowy wciąż ogranicza ludzkie myślenie. Ludzie nie tkną jedzenia z talerza dalita, nie napiją się od niego wody. Mają to wpojone i tyle! – skarży się zrozpaczona Sampat i uderza dłonią w czoło. – Mój kubek wody u Gulaba przeszedł do historii!

Ramkesh z przyjaciółmi („Zadzwoił do Phandui, Bholi i Babbu... wszyscy byli o mnie zazdrośni”) postanowili ukarać Sampat za lekceważenie

zwyczajów społecznych. Zwołali więc zgromadzenie mieszkańców wioski zwane *panchayat*. Miało się odbyć późno w nocy na polach otaczających Gadarian Purwę. Kobiet nie zaproszono, ale jedna z najstarszych znajomych Sampat imieniem Sumintra podsłuchiwała, o czym rozmawiano. Nocą wyszła z chaty za potrzebą, a wracając, ukryła się za domem sąsiada i nadstawiła uszu.

Rano od razu skierowała swe kroki do domu przyjaciółki i zdała relację z tego, co postanowiono na nocnym zebraniu.

– *Didi* – ostrzegła. – Uważaj, czekają cię wielkie kłopoty.

W Gadarian Purwie najskuteczniejszym sposobem ostracyzmu wobec osoby z tej samej kasty było traktowanie jej jak „skażonej”. „Niech *kairiwalli* nie dotyka waszego dzbanka na wodę. Unikajcie jej na wszelkie sposoby, unikajcie nawet jej jedzenia i picia. Nie pozwalajcie jej korzystać ze studni” – te słowa mężczyzn dosłyszała w czasie nocnego zebrania Sumintra.

– Pomyślałam sobie w duchu, że jeśli to, co powiedziała Sumintra, jest prawdą, dowiem się tego już przy studni – wspomina Sampat.

Jedyna studnia w Gadarian Purwie mieściła się przed samymi drzwiami do domu Sampat. Stamtąd mieszkańcy czerpali wodę do gotowania, mycia i prania. Studnia stanowiła więc centralny punkt życia wioski. Pierwszą rzeczą, jaką następnego dnia zrobiła Sampat, było ustawienie się przy drzwiach i obserwowanie, co dzieje się przy studni. Nie minęło dużo czasu, gdy nadeszły trzy starsze kobiety: Rajrani, Jagiya i Ramdaiyya, by się umyć.

Kiedy tylko usiadły wokół studni, Sampat podeszła do nich.

– Stój! Nie podchodź do studni. Najpierw my się wykąpiemy! – zawołała Rajrani.

Sampat chciała wiedzieć, w czym problem, ale kobiety nie były skore do odpowiedzi.

– Nie kąp się jeszcze! Najpierw napełnimy nasze garnki wodą! – powtórzyła jedna z nich.

Sumintra miała więc rację – Sampat oficjalnie była pariasem.

– Chciało mi się śmiać, więc zrobiłam to: zaczęłam się śmiać – mówi Sampat. Nie czuła wtedy złości do tych kobiet. – Były niczym moja daleka teściowa... Stare, jedną nogą w grobie – powiedziała później i dodała: – Kobiety dostały ścisłe instrukcje od mężczyzn, którzy zwołali zebranie. Powiedzieli im: róbcie to, nie róbcie tego. A kobiety musiały się słuchać. Tak

właśnie dzieje się w wioskach. Mężczyźni rozkazują kobietom i karzą je.

– Wszystkie się na mnie gapiły. A ja z zimną krwią siedziałam, nie ruszając się z miejsca – mówi Sampat i demonstruje udawaną obojętność. – Wyciągnęłam wodę i zaczęłam myć się, szorować ręce mydłem. Rozzłościły się i odeszły, nie wykąpowszy się.

Przez cały następny miesiąc Sampat gnała do studni i zaczynała ciągnąć wodę za każdym razem, kiedy tylko ktoś przychodził się wykąpać. Nie mogąc myć się w jej obecności, ponieważ groziło to „zanieczyszczeniem”, mieszkańcy natychmiast odchodzili.

– Zadałam im bobu. Mieli ze mną taki kłopot, że zaczęli ciągnąć wodę nocami, po cichutku. Nie pozwalałam im nigdy brać wody za dnia! – Sampat wybucha takim śmiechem, że aż zgina się w pół. – Co za banda idiotów! – dodaje rozbawiona.

Sampat rozkoszowała się widokiem wysiłków, jakie czynili mieszkańcy wioski, by za wszelką cenę zachować „czystość”. Po pierwsze, kąpali się w nocy. Po drugie, tłukli wszystkie naczynia używane do wyciągania wody, których dotknęła Sampat.

– Przez trzydzieści dni zrujnowałam im wszystkie garnki! Było ich kilkadziesiąt. Taki mieli ze mną kłopot! Ale zasługiwali na to – dodaje.

Mąż Sampat nie zdołał jej przekonać do pokojowej koegzystencji z pozostałymi mieszkańcami wioski.

– Pozwól im zaczerpnąć wody w pierwszej kolejności. I tak są na ciebie wściekli, czemu więc chcesz ich jeszcze bardziej rozwścieczyć? – narzekał.

Sampat była uparta.

– A czym ja się różnię od charmara? To też człowiek! Czy to moja wina, że tutejsi ludzie nie mają za grosz rozumu? – gderała.

Parę tygodni wcześniej, pod koniec sierpnia, w wiosce odbywało się święto Raksha Bandhan. W tym dniu kobiety wiążą na nadgarstkach swoich braci *rakhi* – czerwoną nitkę – na znak łączącej ich więzi.

Wszystkie kobiety z Gadarian Purvy zebrały się, by modlić się za swoich synów i złożyć ofiarę z *kusa* (miłki) – rośliny używanej często w rytuałach hinduskich. Kiedy przybyła Sampat i usadowiła się na ziemi obok nich, kobieta, przy której usiadła, odsunęła się, jakby uważała obecność Sampat za obraźliwą. Sampat wstała i bez słowa znowu się przysunęła. Powtórzyło się to tyle razy, że patrząc z dala, miało się wrażenie, że Sampat podąża za

przesuwającym się zgromadzeniem. Każdy jej krok w stronę kobiet wywoływał ich krok w tył. Przypominało to komiczną, absurdalną zabawę w kotka i myszkę.

– Módl się sama! Nie podchodź do nas! – krzyknęła w końcu jedna ze starszych kobiet, Jagiya.

– Bogowie i boginie są dla wszystkich te same! Czemu mam odchodzić? – odszczeknęła Sampat, po czym w przypiływie złości wyrwała z korzeniami święte rośliny *kusa* i cisnęła nimi z całej siły. Wciąż kipiąc, powywracała do góry dnem wszystkie stalowe talerze z ofiarami w postaci smażonych ziaren pszenicy, ryżu, owocu *mahua* i twarogu, które kobiety trzymały w rękach.

– Ostro im tego dnia naubliżałam. Zagroziłam, że jeżeli któraś powie na mnie choć jedno słowo, pobiję je – wspomina Sampat.

Następnie poszła do domu i zamknęła się na klucz.

– Tego dnia wiedziałam już, że bardzo trudno będzie mi zostać w wiosce. W nocy zaczęłam płakać z żalu nad niesprawiedliwością, jaka tam panowała. Psy wszędzie sikają, a nikomu to nie przeszkadza! Psy sikają na ich bożki, ale ludzie zbierają stamtąd ziemię i kładą sobie na czoła! Co złego zrobiłam, pijąc wodę, którą poczęstowała mnie kobieta z niższej kasty? Dlaczego ta sprawa nabrała takiej wagi? Ludzie nie wiedzą, czym jest wartość!

Nie myliła się. Po obrazoburczym zachowaniu Sampat podczas święta religijnego, wrogowie zaczęli spiskować, planując jej śmierć.

Męża Sampat nie było w domu, kiedy odwiedzili ją goście spoza miasta.

– Poszedł nakarmić krowy i bawoły, więc nie było go w domu. Trzymaliśmy bydło w pewnej odległości od naszej chaty.

Sampat rozpoznała tylko jednego z pięciu mężczyzn stojących za drzwiami. Był to Chun Buddha, syn szwagierki jej ciotki.

– Tych, co z nim byli, w życiu na oczy nie widziałam.

Swego czasu Sampat miała całkiem niezłe stosunki z „nieujarzmioną młodzieżą”. Chun Buddha zawsze, kiedy spotykali się na ślubach i innych rodzinnych uroczystościach, „okazywał jej szacunek”.

– Widywałam go tysiące razy. Jego rodzina nas zapraszała, odwiedzaliśmy ich. Traktował mnie trochę jak starszą siostrę.

Ostatnio jednak Chun Buddha, „silny fizycznie”, lekkomyślny mężczyzna z „dużymi oczami” i ospowatą cerą, zyskał reputację „spuszczonego z więzi”.

– Już w dzieciństwie bił inne dzieci. Miły był z niego chłopak, ale potem

zaczął schodzić na złą drogę – mówi Sampat. Pewnego razu związał własną ciotkę i ukradł jej złoto przeznaczone na wiano dla córki. – Ale wtedy był jeszcze młody. Mógł mieć osiemnaście – dziewiętnaście lat. Trwały uroczystości ślubne córki mojej ciotki ze strony ojca. Wszędzie było pełno biżuterii. Związał ciotce ręce i podpalił jej ubrania. Nie zauważył, że obok stało wiadro z wodą, więc była ocalona. Miał na twarzy maskę, ale ciotka i tak go rozpoznała. Nikomu nie powiedziała, że to był Chun Buddha, bo w przeciwnym razie ludzie by go zabili. Po tym wydarzeniu kradł coraz częściej, a w końcu został prawdziwym złodziejem.

Po tamtej kradzieży rodzina Sampat nie widywała już tak często Chuna Buddhy, ale ona sama nie miała z nim nigdy na pieńku. Tego dnia, ujrawszy go w drzwiach swojego domu, uznała, że pewnie przejeżdżał obok i zajrzał się przywitać. Zaprosiła więc mężczyzn do środka, nic nie wiedząc o tym, że zostali wynajęci, by pozbawić ją życia.

Sampat pamięta, że zrobiła im wszystkim herbaty i wysłała jedno ze swych dzieci na stragan po słodki przysmak z duszonej dyni. Wyciągnęła *charpoy*, by wszyscy mieli na czym usiąść, a kiedy herbata parzyła się na kuchni, poczęstowała ich wodą.

Mężczyźni wydawali się podenerwowani i nieco zażenowani.

– Wszyscy jakoś dziwnie na mnie patrzyli. Normalnie rozmawialiśmy. Zapytałam Chuna: „Kim są ci mężczyźni, których przyprowadziłeś? Z jakiej są wioski?”. Chun Buddha odpowiadał na jej pytania. Jeden z jego towarzyszy był z Merajpuru, inny z Badegaonu. Powiedzieli Sampat, do jakich kast należą. – Byli z różnych kast. Jeden z kewatów – wspomina Sampat.

Wreszcie, wypiwszy herbatę, Chun Buddha zapytał:

– Gdzie mieszka żona Munniego Lala?

Pytanie było niezwykle. Przecież to Sampat była żoną Munniego Lala, ale Chun Buddha ewidentnie tego nie wiedział – uciekł z domu i został bandytą, zanim Sampat wyszła za mąż.

– A czemu chcesz wiedzieć? – zapytała ostrożnie.

– To zła kobieta. Ze wszystkimi wdaje się w spory... czy tak?

Sampat milczała.

– Więc czemu po nią przyszlście? – spytała Sampat, bojąc się odpowiedzi, którą miała za chwilę usłyszeć.

Chun Buddha pochylił się i szepnął Sampat do ucha:



– Zapłacono nam dziesięć tysięcy rupii, byśmy się z nią rozprawili.

– Ale bracie, to jestem ja! – krzyknęła Sampat, zrywając się na nogi.

Chun Buddha i jego ludzie z niedowierzaniem wlepili wzrok w Sampat.

– Cóрко, skłóciłaś się z całą wioską? Wszyscy cię przeklinają, wszyscy ci grożą! – wykrzyknął Chun Buddha, po czym wstał, chwycił Sampat za rękę i odciągnął ją na bok.

– Lepiej uważaj – szepnął jej do ucha. – Jestem synem twojej ciotki, ale następnym razem mogą wziąć kogoś innego i wtedy cię zabiją. Nie jesteś tu bezpieczna. Gdyby zamiast mnie przysłali tu dziś kogo innego, już byś nie żyła.

Sampat błagała Chuna Buddhę, by nic nie mówił jej mężowi.

– Pomyślałam sobie, że to mężczyzna, ma pewnie swoje zmartwienia, więc może dojść do bójki. Poprosiłam, by nic złego nie trafiło do uszu męża. Mężczyźni są skłonni do zemsty. Nic mu nie powiedzieli, ale ostrzegli mnie, że nie powinnam tam mieszkać.

Chun Buddha przeproszał, że zlecono mu zabicie Sampat.

– Te psy chciały, żebym zabił własną siostrę! – krzyczał. – Przyprowadzić tu tych drani! – szczeknął na swoich ludzi, a ci natychmiast ruszyli rozglądać się za mężczyznami, którzy zlecili im brudną robotę.

– Musieli żyć w przekonaniu, że ze względu na wrogość między Chunem Buddhą a moją ciotką, on nienawidzi również mnie – przypuszcza Sampat.

Chun Buddha stanął twarzą w twarz z ludźmi, którzy go wynajęli. Okazało się, że to ci sami mężczyźni, którzy w nocy urządzili *panchayat* przeciwko Sampat.

– Obrzucali się obelgami. Doszło do wielkiej kłótni. Chun Buddha mówił im różne rzeczy, między innymi: „Zabijemy was za to, że chcieliście nas wrobić w tę wstrętną robotę”. Po zaciekłym sporze Chun Buddha wraz ze swymi zabójcami opuścili wioskę. Przedtem ponaglili jeszcze Sampat, by jak najprędzej uciekała.

– Nie tracąc ani minuty, wrzuciłam swój skromny dobytek – parę rzeczy – do tobołka, zabrałam dzieci i wsiadłam do pierwszego autobusu, który odchodził z Gadarian Purvy. Cała ta historia długo ciążyła mi na sercu. Nigdy nikomu nic nie powiedziałam. Nigdy z nikim nie podzieliłam się moim zmartwieniem. Myślałam sobie, po co mam mówić o tym mężowi? Mam tyle samo rąk i nóg, ile on. Gdybym mu powiedziała, to mógłby mi kazać odejść

z domu... Albo mógłby zrobić coś drastycznego. Dlatego nigdy nic mu nie powiedziałam. Robiłam dalej swoje i myślałam sobie, że umrę wtedy, kiedy mam umrzeć, więc moja głowa nie zna żadnego zmartwienia.

\*

Po wizycie Sheelu w sądzie Sampat wybrała się do swego znajomego, Bholi Dwivediego. Nie był on spokrewniony z politykiem. Pracował jako prawnik w więzieniu okręgowym w Atarze.

– Kiedy zapytałam, co powinniśmy zrobić w sprawie Sheelu, odpowiedział: „Przede wszystkim musisz odnaleźć Achchhego Lala. Sąd cię nie wysłucha, jeśli jej ojca nie będzie na rozprawie – relacjonuje Sampat. – Pomyśleliśmy: co zrobimy, jeśli go nie znajdziemy? Martwiło nas przede wszystkim to, że Achchhe nie przyjdzie ze strachu, walczyliśmy przecież przeciwko posłowi.

Jeśli zaś posłowi udałoby się uciszyć najbliższych Sheelu i sprawić, że nie złożą zeznań w sądzie, to szanse dziewczyny na uwolnienie zdecydowanie spadną. Sampat miała świadomość, że największym stojącym przed nią wyzwaniem jest to, żeby prości ludzie zdobyli się na odwagę i stanęli do walki przeciw potężnemu oponentowi. Nauczyła się tego, kiedy walczyła o mandat z matką Thokii Patela.

Mimo dobrej sieci informatorów trudno było znaleźć Achchhego.

– Pytaliśmy wielu ludzi, ale nie udało się go namierzyć.

Sampat sięgała do najrozmaitszych źródeł. Była nawet w sklepie Shiva Barana, który sprzedawał telefony komórkowe w Badausie.

– Pytałam go, bo prowadził sklep z komórkami. Ludzie kupowali u niego karty SIM, a więc spisywał ich dane.

Niestety niczego się nie dowiedziała.

Potem Sampat wpadła na pomysł, by skontaktować się z mężczyzną nazwiskiem Kallu Nishad, który, podobnie jak Achchhe, pochodził z kasty kewatów.

– Pomyślałam sobie, że on też należy do skutników, a ci mają krewnych w najrozmaitszych miejscach. Może będzie wiedział, gdzie ukrywa się Achchhe?

W trakcie rozmowy z nim okazało się jednak, że Kallu nie jest spokrewniony z Achchhem Lalem. Poradził Sampat, aby skontaktowała się z mężczyzną imieniem Durjodhan, który powinien pomóc.

Sampat знаła go – jako robotnik budowlany pomagał przy budowie jej

własnego domu w Badausie. Udała się na budowę, na której obecnie pracował. Zapytany, czy wie, gdzie można znaleźć Achchhego, Durjodhan milczał jak głaz. Potem odprowadził Sampat na bok i szepnął jej do ucha, że nie chce o tym rozmawiać w obecności innych. Kazał jej przyjść następnego dnia do swojego domu.

– Wydawało mu się, że gdyby poseł dowiedział się, że zdradził mi miejsce, w którym przebywa Achchhe, miałby poważne kłopoty.

Sampat zgodziła się spotkać z Durjodhanem następnego dnia u niego w domu. Niestety kiedy przyszła, okazało się że robotnika nie ma – udał się do wioski Baria.

– To wioska, w której uprawia się arbuzy i ogórki – kiwa głową Sampat. – Zasiał arbuzy i poszedł sprawdzić, czy dobrze wschodzą.

Sampat chodziła od Annasza do Kajfasza, starając się zdobyć informację o Achchhem. Niestety – bezskutecznie. Aż nagle, tego samego ranka, kiedy z pustymi rękami powróciła od Durjodhana, pożądana informacja przyszła do niej sama.

Od września najmłodsza córka Sampat, osiemnastoletnia Nisha, pilna i poważna uczennica o twarzy pokrytej trądzikiem, wstawała co dzień przed świtem, wsiadała na rower i jechała na Station Road w Badausie, gdzie między szóstą a siódmą rano miała dodatkową, ponadprogramową lekcję chemii.

Kiedy Nisha skończy college, będzie pierwszą kobietą z wyższym wykształceniem w całej ogromnej rodzinie. Nisha też – być może z uwagi na swoje zamiłowanie do nauki – jako jedyna z córek Sampat choćby w niewielkim stopniu pomaga jej w pracy. Jest mianowicie nieoficjalną archiwistką informacji prasowych na temat Różowego Gangu. Co rano przegląda wszystkie gazety pod kątem wzmianek o matce i jej organizacji. W prasie lokalnej pojawiają się one nawet codziennie, więc Nisha wycina je i starannie wkleja do zeszytu formatu A4, by można było do nich sięgnąć w przyszłości. Takich zeszytów o postrzępionych okładkach uzbierało się już kilkadziesiąt. Stoją w domu Sampat na metalowym *alimirah* – czyli regale, gdzie Sampat przechowuje najważniejsze dokumenty.

Większość artykułów została napisana *devanagari* – pismem używanym do zapisu języka hindi, gdzie z poprowadzonej górą linii zwisają skrecone literki. Artykuły po angielsku pochodzą w większości z anglojęzycznej prasy

indyjskiej, choć nie brak także i tych z prasy zachodniej, przywiezionych przez odwiedzających Sampat zagranicznych dziennikarzy, którzy chcieli pokazać jej, jak daleko sięga jej sława. Prawie wszystkie artykuły zdobi fotografia Sampat, przeważnie z uniesionym w górę kijem i ustami otwartymi w okrzyku protestu, z morzem kobiet w różowych strojach za jej plecami. Nisha swym starannym pismem notuje pod każdym artykułem datę publikacji. Kiedyś obowiązek ten należał do Babujiego, ale „on wszędzie rozkłada swoje rzeczy, a potem nie wie, co gdzie ma”, twierdzi zdesperowana Sampat.

Archiwizacja wycinków jest powodem wielu utarczek między Nishą a matką, które, jak to często bywa, grają sobie nawzajem na nerwach.

– Czy ktoś wreszcie zrobi coś z tymi wycinkami? – warczy Sampat na widok nieporządnego stosu gazet.

– Nie przynosisz zeszytów ani nie dajesz na nie ani grosza, to gdzie mam je wklejać? – odszczekuje Nisha.

Tego poranka Nisha również pomogła matce, choć w zupełnie inny sposób. Dodatkowe lekcje chemii odbywały się w jednopokojowym mieszkaniu nauczyciela nazwiskiem Sanjay Gupta, poleconego jej przez koleżankę z pierwszego roku. Tego ranka, kiedy Nisha przyjechała na lekcję, zastała w spartańskim mieszkanku nauczyciela śpiącego na rozkładanym łóżku nieznanego mężczyznę. Nie upłynęło dziesięć minut zajęć, kiedy człowiek ten wstał, przetrął oczy i podszedł do zlewu, by umyć twarz. Odświeżywszy się, pożegnał się z Sanjayem Gupta i cicho wyslizgnął z mieszkania.

Po lekcji Nisha, dziewczyna dociekliwa i bystra, zapytała nauczyciela, kim był ów człowiek.

– To Achchhe Lal. Na pewno o nim słyszałaś, to jego córka uciekła z domu vidhayaka – odparł.

Nisha szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. Wiedziała, że jej matka od wielu dni poszukuje Achchhego Lala.

– Co on tu robił? – zapytała zdumiona.

– Siostra Vishnu miała w sobie złego ducha, więc Achchhe Lal przyjechał go przepędzić – wyjaśnił nauczyciel chemii. Jak się okazało, wykształcenie nie przeszkadzało mu poszukiwać przyczyn choroby w świecie nadprzyrodzonym.

Vishnu był dobrym znajomym syna Sampat, Munny. Jego bracia również brali lekcje w domu pana Gupty. Matka Vishnu w poprzednim tygodniu była u nauczyciela, by porozmawiać o postępach synów. Przy okazji zapytała go,

czy nie zna dobrego egzorcysty, który zdołałby wypędzić z jej córki Umy złe duchy. Uważała bowiem, że to one winne są ciągłych chorób dziewczyny. Nauczyciel polecił jej Achchhego, wiedząc, że doskonale opanował technikę *jhar-phuk* – wymiatania z człowieka złych mocy za pomocą specjalnej miotły z piór, i że nie ma sobie równych, jeśli chodzi o polemikę ze złymi duchami. Dzięki panu Gupcie Achchhe mógł dorobić parę groszy, a dodatkowo bezpiecznie spędzić noc w jego mieszkaniu, z dala od zagrożeń czyhających nań w Shahbajpurze.

Ciekawość Nishy przyciągnęła uwagę nauczyciela, który zapytał:

– Też masz problem ze złym duchem?

– Nie, nie, proszę pana! Ale jeśli będę miała, na pewno panu powiem – odpaliła.

Na wsi indyjskiej ludzie sięgali po metodę *jhar-phuk*, kiedy ktoś z ich rodziny cierpiał na długotrwałe kłopoty zdrowotne lub przez dłuższy czas źle mu się wiodło. Nisha wierzyła w świat duchów i sceptycznie podchodziła do ludzi, którzy twierdzili, że mają nad nimi władzę.

Rok wcześniej Nisha dostała gorączki. Ojciec powiedział jej:

– Może to problem ze złym duchem. Gorączka rośnie i spada zupełnie zniemacka.

Wsadził dziewczynę na bagażnik roweru i zawiózł aż do wioski o nazwie Hura, gdzie praktykowało wielu egzorcystów.

Dziewczyna, która przyjechała dużo później niż Nisha, pod pretekstem nękającej ją tajemniczej dolegliwości wpełchnęła się bez kolejki.

– Serce bije mi coraz szybciej i szybciej! – krzyczała w panice.

– Cóż, skoro tak szybko bije ci serce, to na pewno jesteś złodziejką! – warknęła Nisha, rozgniewana, że uzdrowiciel przyjął tamtą w pierwszej kolejności. Następnie zwróciła się do ojca: – Chodźmy stąd. To nie ma sensu, mam dość.

W chwilach irytacji zachowywała się identycznie jak matka.

Kiedy Sampat o wszystkim się dowiedziała, nie kryła wściekłości na męża.

– Miała tylko gorączkę, nic innego! – krzyczała. – Jest maj, w tym upale wiozłeś ją taki kawał na rowerze? Mogła się tylko gorzej rozchorować! – przeklinała.

Następnie zabrała Nishę na badania krwi, które wykazały prawdziwą przyczynę gorączki – malarię i tyfus.

– Widziałam dziś Achchhego Lala! – oznajmiła Nisha, kiedy tylko Sampat przestąpiła próg domu. Słuchając historii o tym, w jaki sposób podczas lekcji chemii córka natknęła się na Achchhego, Sampat nie mogła uwierzyć w swe szczęście. Nisha natychmiast zadzwoniła do pana Gupty i poprosiła o numer Achchhego, żeby Sampat mogła się z nim skontaktować.

– Mam nadzieję, że Sampat Pal pomoże jakoś temu biedakowi. On się bardzo boi – stwierdził pan Gupta.

Dawniej, kiedy Nisha była młodsza, dzieciaki często jej dokuczały, że ma matkę, która ze wszystkimi się kłóci. Mimo to dziewczynka była zawsze dumna z Sampat i nie pozwalała nikomu powiedzieć na nią złego słowa. Dziś nie musi już przed nikim tłumaczyć zachowania matki. Większość ludzi szukających prawdy i sprawiedliwości pragnie mieć Sampat Pal po swojej stronie.

Sampat natychmiast zadzwoniła do Achchhego.

– Dzień dobry panu, czy kiedykolwiek słyszał pan nazwisko Sampat Pal? Jestem przewodniczącą Różowego Gangu – przedstawiła się.

Achchhe wydawał się przerażony.

– Widziałem gazety, wiem, że pani walczy o naszą Sheelu – powiedział.

Na pytanie, gdzie obecnie mieszka, Achchhe odparł, że u siebie w domu, choć to bardzo niebezpieczne.

– Jacyś ludzie nachodzą mnie w nocy i chcą mnie zabić – wyznał.

Potem rozplakał się do słuchawki. Mówił o tym, co zagraża jego życiu. Nie był pewien, czy ma odwagę publicznie przeciwstawić się posłowi.

– Powiedziałam mu: nie boisz się wyganiać złych duchów, a boisz się człowieka? – mówi Sampat. Dodała mu otuchy i kazała na siebie czekać.

Kiedy Sampat przybyła do Shahbajpuru, zaczęła od zapukania do drzwi chat stojących wokół „ryнку”. Wzdłuż jednego boku tego brukowanego placu stał budynek szkolny, a wzdłuż trzech pozostałych – gliniane chaty. Pośrodku rosło zaś duże drzewo baniana, pod którym gromadzili się mieszkańcy, kiedy musieli przedyskutować coś ważnego. Sampat chodziła od drzwi do drzwi i pytała, gdzie może znaleźć Achchhego.

– Mówili mi: „Znamy cię, siostrze, z ostatnich wyborów. Dostałaś od nas dziewięćdziesiąt głosów. Masz u nas duże poparcie” – przypomina sobie Sampat.

Mieszkańcy wioski doradzili jej:

– Jeśli przyszedł tu ze względu na jego córkę, to radzimy ci, lepiej się w to

nie mieszaj, *didi*. Ta dziewczyna ma trudny charakter. Jest puszczalska – rzekł ktoś. – Uciekła z kochankiem – dodał z dezaprobatą ktoś inny.

– Kogo to teraz obchodzi? Dziewczyna ma kłopoty, mówcie zaraz, gdzie znajdę jej ojca? – zbyła ich Sampat. Wieśniacy wskazali jej dom Achchhego.

Sampat ruszyła wąską ścieżką między dwoma chatami, wyznaczającymi róg rynku. Minęła uwiązane na postronkach krowy i kozy, a także kopczyki krowiego nawozu, używanego jako opał. Szła teraz piaszczystą drogą pośród pól soczewicy.

Achchhe mieszkał na odległym krańcu wioski. Przyglądając się z bliska spękanej, nierównej powierzchni jego glinianej chaty w kolorze ochry, można było odróżnić gładkie, nieregularne ślady ręcznego nakładania błota, gliny i krowiego nawozu – warstwa po warstwie. Ponad ścianą frontową wystawał okap z bambusowych prętów, na których leżało rusztowanie z gałązek i patyków, a na nich z kolei płasko poukładane, czerwone cegły. Drzwi z solidnych desek były na głucho zamknięte. Sampat najpierw pukała, a potem waliła w drzwi, ale nikt nie otwierał.

Wróciła więc na główny plac wioski, gdzie czekali ciekawi wieśniacy.

– Za bardzo się boi, nikomu nie otwiera. Ukrywa się już od wielu, wielu dni – rzekł jeden z nich.

– A wy, co w tej sprawie zrobiliście? Nie powinniście mu przypadkiem pomóc? – zarzuciła im Sampat.

– My nie mamy z tym nic wspólnego. Dlaczego mielibyśmy ryzykować, że ludzie posła nas pozabijają? – pytali.

Sampat kazała wieśniakom zwołać zebranie wszystkich mieszkańców. Chciała przemówić do nich w sprawie Sheelu. W czasach, kiedy wraz z Babujim jeździli od wioski do wioski werbować kobiety do grup samopomocy, do perfekcji opanowała sztukę przemawiania do zupełnie obcego tłumu. Ludzie słuchali jej jak zaczarowani, nawet jeśli mówiła coś zupełnie innego, niż chcieliby usłyszeć.

Tamtego dnia stanęła przed wieśniakami z Shahbajpuru, by wezwać ich do zmiany nastawienia.

– Twierdzicie, że Sheelu niewłaściwie się zachowywała i że nie chcecie jej w wiosce. Czyżbyście nie zdawali sobie sprawy, że jeśli dopuścicie, by taki los spotkał Sheelu, podobny może spotkać wasze córki? Jeśli bandyci, dranie i inni kryminaliści dowiedzą się, że Shahbajpur to miejsce, w którym nikt nie

wstawi się za sąsiadem, to jak sądzicie, czy nie będą chcieli tu wrócić? Co ich powstrzyma przed tym, aby wykorzystać wszystkie tutejsze kobiety? – pytała.

Sampat, jak to miała w zwyczaju, podparła swe argumenty pieśnią własnego autorstwa:

*Bracia i siostry, czas skończyć z prześladowaniem społecznym i niesprawiedliwością. Zjednoczmy się dziś. Bo dziś ja jestem ofiarą, ale jutro możesz być nią ty.*

Sampat często powtarza swą pieśń dwa – trzy razy, aż słowa na dobre zapadną w pamięć. Następnie, nie czekając na aplauz, płynnie przechodzi do dalszej części przemówienia.

– Wiem, że się boicie, ale słuchajcie, co mam wam do powiedzenia. Jeśli poseł i jego ludzie tu powrócą i zaczną grozić Achchhemu, weźcie *laathi* i spuście im lanie. Czy mnie słyszycie? Razem możecie spuścić im lanie, w pojedynkę – nie! – tłumaczyła. – Jeśli cała wioska stanie ramię w ramię, nie będą mieli nad wami władzy. Stańcie przy Achchhem Lalu. Wesprzyjcie go! Jeśli upadnie, jeśli zostanie pokonany, to wy wszyscy upadnijcie razem z nim, słyszycie? – ciągnęła.

Kiedy zakończyła przemowę, mieszkańcy wioski zaproponowali, że pomogą jej odnaleźć Achchhego. Wszyscy razem podeszli do jego chaty i załomotali w drzwi ze słowami:

– Jest tu Sampat Pal, możesz wychodzić.

Po dłuższej chwili drzwi skrzypnęły i otworzyły się na parę centymetrów.

Plac przed sądem okręgowym w Bandzie jest brudny i zaśmiecony – tak samo zaniedbany, jak zaniedbywane są przepisy prawa wewnątrz zniszczonego budynku sądu. Sampat przyprowadziła tu Achchhego, ponieważ sąd w Atarze miał akurat przerwę urlopową. Uznała więc, że szybciej będzie załatwić sprawę od razu w sądzie okręgowym. Wokół budynku panuje atmosfera pośpiechu i gorliwości. Na ławkach i krzesłach poustawianych na placu pod blaszanymi daszkami siedzą ze skrzyżowanymi nogami prawnicy i za symboliczną opłatą wystukują na mechanicznych maszynach do pisania oświadczenia, skargi i zaświadczenia. Dokumenty sądowe, ułożone pod przyciskami do papieru, trzepoczą w podmuchach wiatru, wzbudzonego przez małe biurowe wentylatory, podłączone do pobliskiego słupa elektrycznego. Prawnicy, ubrani na modłę brytyjską w czarne togi, wchodzą i wychodzą



z budynku, nie zważając na trąbienie przejeżdżających samochodów, kłęby dymu z rur wydechowych, szczerzenie bezpańskich psów i głosy sprzedawców warzyw, którzy niezmiernie wykrzykują długą listę oferowanych produktów.

Sampat z Achchhem przybyli na plac przed budynkiem sądu, by spotkać się z Jaiem Karanem Bhaiem, pracującym w maleńkiej kancelarii prawnej, zgrabnie wciśniętej pod rozrośniętego, bulwiastego baniana na samym końcu placu. Jai Karan Bhai – sympatyczny mężczyzna w średnim wieku, którego skórę w wyniku bielactwa pokrywają jasnoróżowe plamy, jest jednym z nieoficjalnych prawników Różowego Gangu. Ze swego niepozornego biura-szopy pomógł już Sampat w wielu, wielu bojach *pro publico bono*.

Jai Karan Bhai to jedyne dziecko małżeństwa robotników, którzy każdą zarobioną rupię inwestowali w jego wykształcenie. Początkowo miał zamiar pracować w policji. Zakwalifikował się nawet na stanowisko podinspektora, ale w ostatniej chwili zrezygnował – nie chciał, jak wszyscy znani mu policjanci, poddać się wszechobecnej korupcji.

Na co dzień spokojny i stateczny, na sali sądowej zmienia się nie do poznania. Kiedyś, w rocznicę urodzin Ambedkara, autora indyjskiej konstytucji i ikony niższych kast został poproszony o zabranie głosu w sprawie praw człowieka. Przemówił z taką żarliwością, że na zawsze przyłgnęła do niego opinia podżegacza.

– Musicie brać wasze prawa pełnymi garściami! Nie możecie wiecznie o nie prosić – przypomina sobie fragmenty swojego przemówienia. – Jeśli ktoś popełni przeciwko wam przestępstwo, a wy będziecie milczeć, to popełniacie jeszcze gorsze przestępstwo – mówił do tłumu.

W dwa lata po rozpoczęciu pracy prawnika Jai Karan Bhai reprezentował przed sądem rodzinę dalitów, którą moralnie i fizycznie prześladowała policja z Atarry. Policjanci dokonali zbiorowego gwałtu na jednej z córek tych ludzi na dworcu w Atarze, a kiedy rodzina zaczęła domagać się sprawiedliwości, policja nielegalnie zatrzymała ich, a potem szykanowała. Funkcjonariusze nachodzili nocą również Jaia Karana Bhaia, który zgodził się reprezentować interesy poszkodowanych, i ostrzegali go, by lepiej porzucił tę sprawę. Prawnik mimo pogroźek nie załamał się, a jego wytrwała praca zakończyła się sukcesem – winni policjanci trafili za kratki. Dzięki temu nazwisko Bhaia zyskało rozgłos, a on sam umocnił swą reputację obrońcy sprawiedliwości.

Mimo że jako były członek Komunistycznej Partii Indii Jai Karan Bhai miał radykalne poglądy, nie uważał, by praktyka samozwańczej obrony prawa była na dłuższą metę słuszną i skuteczną. Na szczęście Różowy Gang w walce o sprawiedliwość w pierwszej kolejności zawsze odwoływał się do litery prawa. Sampat wytrwale chodziła z kobietami, a zdarzało się, że i z mężczyznami, na konsultacje prawne. W imieniu poszkodowanych negocjowała też stawki za pracę adwokatów – Różowy Gang zajmował się przede wszystkim ochroną praw najbiedniejszych, często żyjących na skraju nędzy członków społeczeństwa. Jeśli mimo niskiej ceny poszkodowany nie był w stanie zapłacić prawnikowi, to członkowie Gangu z danego dystryktu organizowali składkę, by zebrać kwotę potrzebną na pokrycie kosztów.

Tamtego dnia prawnik serdecznie przywitał Sampat i Achchhego. Niezależnie od tego, co akurat robił, zawsze potrafił wygospodarować trochę czasu dla Sampat, którą uważał za swą przyjaciółkę. Tym razem oznajmiła mu, że Różowy Gang bierze na siebie sprawę Sheelu.

Jai Karan Bhai zaczął wypytywać Achchhego o córkę. Zdziwił go złośliwy i niechętny sposób, w jaki ten się o niej wypowiadał. Achchhe nie wiedział, kogo ma winić za kłopoty, w które oboje wpadli: siebie czy ją. Nazywał ją dziwką, by po chwili bić się w pierś z żalu i gorzko zawodzić.

Widząc jego zagubienie, Sampat i Jai Karan Bhai zadali mu najpierw kluczowe pytanie: czy rzeczywiście chce wyciągnąć córkę z więzienia i czy będzie z nimi współpracował. Sytuacja, w której w trakcie walki z niesprawiedliwym systemem Achchhe wycofuje się i zwraca przeciwko swym dobroczyńcom, byłaby druzgocząca. Achchhe zapewnił, że zrobi wszystko, by Sheelu wyszła z więzienia. Mimo że się na nią gniewał, nie był tak zaślepiony, by życzyć jej pozostania w jednym z cieszących się najgorszą sławą zakładów karnych Uttar Pradeś.

Przez całe spotkanie Achchhe zachowywał się jak niedoświadczony nastolatek, który nie wie, co zrobić ze zbyt długimi rękami i nogami, ani jak zachować się względem osoby, której należy się szacunek. Co chwilę szukał aprobaty, błyskając nerwowym uśmiechem – nawet wtedy, gdy był na skraju łez. Kiedy zaś siadał, składał się na pół, podciągając kolana pod samą brodę, a skrzyżowanymi rękami obejmując ramiona. Mówiąc, przygryzał z niepokojem wargę, a kiedy odczuwał zbyt dużą presję, wydymał usta i głośno wypuszczał powietrze.

Jai Karan Bhai powiedział Achchhemu i Sampat, że kolejnym krokiem na

ich drodze będzie zwolnienie Sheelu za kaucją i oskarżenie ludzi Dwivediego o pogróżki wobec Achchhego. Spytał mężczyznę, czy Różowy Gang ma złożyć w jego imieniu wniosek o zwolnienie córki za kaucją. Uzyskał jego zgodę.

– Wyciągniecie moją córkę z więzienia? – zapytał Achchhe. Sampat obiecała, że to zrobią.

Po pożegnaniu z Jaiem Karanem Bhaiem Sampat i Achchhe wynajętym samochodem udali się do sądu okręgowego w Atarze. Mieli się spotkać z Bholą Dwivedim – prawnikiem Różowego Gangu, który nakazał Sampat przede wszystkim odnaleźć Achchhego. Musieli tak zrobić, ponieważ okazało się, że mimo urlopu sądu sprawa Sheelu ma toczyć się dalej w Atarze, a nie w Bandzie, gdzie pracował Jai Karan Bhai. Przy pomocy Sampat i Bholi Achchhe sporządził pismo, w którym upoważnia Sampat do wystąpienia o zwolnienie Sheelu za kaucją oraz wnosi formalną skargę na osoby, od których otrzymywał pogróżki. Kiedy skończyli pracę nad dokumentem, Sampat zorganizowała Achchhemu małą konferencję prasową. Mężczyzna, stanąwszy przed budynkiem sądu, oznajmił zgromadzonym dziennikarzom, że grożono mu utratą życia. Podwinął nogawkę spodni i pokazał ranę, którą, jak twierdził, zadali mu ludzie pośła.

– Widzicie, uderzyli mnie tu... naprawdę mocno. Bili mnie po plecach i po głowie – mówił, wskazując części ciała, w które otrzymał ciosy.

Następnie wyjął sporządzony przed chwilą dokument. Ponieważ nie umiał czytać, trzymał go tylko przed dziennikarzami. Kamery zrobiły zbliżenie i treść listu ukazała się na ekranach telewizorów. Brzmiała następująco:

Do: Nadinspektora Policji w Bandzie

Szanowny Panie,

powód z wioski Shahbajpur, posterunek policji Naraini, dystrykt Banda, informuje, że w dniu 24 grudnia 2010 roku około północy Purushottam Naresh Dwivedi (poseł) wraz z braćmi Rają i Chotą, człowiekiem imieniem Urmaliya z wioski Pukari oraz jeszcze dwiema nieznanymi osobami z bronią w ręku szukali powoda. Przed ich przybyciem powód opuścił swój dom i ukrył się w innym miejscu. Wielu mieszkańców wioski widziało, jak powyższe osoby wtargnęły do domu powoda siłą, pobiły kobiety i dzieci i pytały: „Gdzie on jest?”.

Rodzina powoda obawia się o swoje życie, ponieważ jego córka, Sheelu, przebywa w więzieniu. Tam domagają się od niej zmiany złożonych zeznań. Powód otrzymuje również pogróżki, że jeśli córka

nie zmieni zeznań złożonych przeciwko posłowi, cała jego rodzina zostanie zgładzona. Przed tym incydemt powód został dotkliwie pobity i grożono mu. Usłyszał: „Jeśli piśniesz coś przeciwko nam, pobijemy cię”. Przez ostatnich pięć dni powód był bez przerwy szykanowany. Jeśli mnie złapią, na pewno mnie zabiją. Powód nie posiada żadnej ochrony.

Wsparcie Sampat Pal dodało mi odwagi, dzięki której wystąpiłem o zwolnienie Sheelu za kaucją. Powód zgodził się poprosić Sampat Pal o pomoc, by wydostać córkę z więzienia. Głęboko wierzę, że z jej pomocą uzyskam sprawiedliwość.

Dlatego proszę o przydzielenie mi ochrony i wszczęcie postępowania przeciwko wyżej wymienionym osobom, i o wymierzenie im kary.

Petent: Achchhe Lal, syn Ramdina (Nishada)

\*

Redakcja gazety „Hindustan” w Bandzie mieści się na parterze budynku stojącego w jednej z bocznych uliczek, które odchodzą od głównej arterii miasta. Do biura wchodzi się po stromej, wyszczerbionej betonowej rampie. Nie ma drzwi ani okien – światło słoneczne wpada tylko przez opuszczaną w ciągu dnia metalową żaluzję.

Wnętrze przypomina mały parking. Na betonowej podłodze namalowano białe znaki, a środkową część pomieszczenia zajmują dwie prostokątne, betonowe kolumny. Pod sufitem świecą dwie jaskrawe jarzeniówki. Ściany, z wyjątkiem plakatów z reklamami loterii, kalendarza z wizerunkiem hinduskiej bogini Sita i poźółkłej mapy dystryktu Banda, opisanej skrytem hindi i oblepionej pajęczynami, są zupełnie gołe. Zatęchła kałuża stoi pod ciekącym, plastikowym dystrybutorem wody, obok dużego zapasowego akumulatora, który włącza się, kiedy następują dość częste przerwy w dostawie prądu.

To królestwo Amita.

Wzdłuż ściany, przed dużymi, starymi komputerami siedzi sześciu dziennikarzy. Wszyscy podlegają dwudziestoósmioletniemu szefowi – jednemu z najmłodszych członków całkowicie męskiej redakcji. Mimo spartańskiego wystroju w biurze widać ślady dbałości i uważnego zarządzania. Do każdego krzesła przyczepiona jest biała kartka z imieniem

właściciela. Zanim Amit objął rządy, redakcyjne krzesła wiecznie się psuły – niespokojni dziennikarze ustawicznie kiwali się na nich przy pisaniu. Amit wprowadził system, w którym każdy odpowiada za własne krzesło. Jeśli je złamie, musi płacić za nowe.

– Teraz wszyscy siedzą prosto jak kołki! – śmieje się Amit, prezentując pozę nieboszczyka.

Amit – mężczyzna o wydatnym brzuchu i wiecznie uśmiechniętej twarzy niemowlęcia – zaczął pracować w gazecie w lipcu 2010 roku. Po rozmowach kwalifikacyjnych w stolicy Uttar Pradeś – Lakhnau – gdzie odbywa się nabór do wszystkich regionalnych redakcji gazety „Hindustan”, redaktor naczelny zapytał go, w który rejon Indii najbardziej chciałby zostać oddelegowany. Młody człowiek odparł, że jest gotów zamieszkać w dowolnym miejscu. Redaktor pokazał mu listę najbardziej narażonych na konflikty regionów kraju, łącznie z Kaszmirem. Amit z entuzjazmem reagował na każde z tych miejsc.

– Jesteś gotów przenieść się nawet do przestępczego Bundelkhandu? – sondował.

– Żaden problem – odparł Amit i dodał: – Nie zamierzam przecież z nimi walczyć, mam tylko o nich pisać! – Redaktor wysłał go więc do Bandy.

– Słyszałem, że ludzie w Bundelkhandzie nic nie jedzą. Myślałem: jak sobie poradzę? – śmieje się Amit, masując się po brzuchu.

Po przybyciu do Bandy natychmiast okazało się, że wyróżnia się spośród innych dziennikarzy. W każdym artykule, w każdej wzmiance i informacji, z premedytacją szukał historii konkretnego człowieka.

– Moje artykuły są zupełnie inne. Próbuję przedstawiać w nich nowe pomysły, inne punkty widzenia. Na przykład, kiedy piszemy o podwyżkach cen, nie sięgam po same statystyki. Rozmawiam ze zwyczajnymi ludźmi, sprawdzam, w jaki sposób podwyżki ich dotykają.

Amit mówi, że już od początku „czterdzieści procent swoich obowiązków wykonywał w czasie, kiedy koledzy ledwie zdążyli wziąć się do roboty”. Znajomi dziennikarze rzadko ruszali się od biurka. Pisząc artykuły, najczęściej korzystali z informacji i doniesień, które w ciągu dnia dostarczali bosonodzy gońcy. Z dumą wspomina, że koledzy po fachu, widząc go w lokalnym klubie prasy, mówili:

– Dużo o tobie słyszeliśmy. Podobno piszesz dwanaście tysięcy znaków w ciągu godziny.

– Rzeczywiście, bardzo szybko piszę na komputerze – przyznaje Amit.

Tych, którzy go znają, nie zdziwiło bynajmniej, że Amit dysponuje najświeższymi wieściami o podejrzanym aresztowaniu Sheelu. Codziennie pracuje do północy. Wstaje o czwartej rano, by przed pójściem do pracy o szóstej dwie godziny ćwiczyć.

– W niedzielę nadrabiam, śpię aż sześć godzin – mówi z nonszalancją młody dziennikarz.

Amit mógłby żyć w znacznie lepszych warunkach niż te, które ma w Bandzie. Kiedy odchodził z wyśmienicie płatnej pracy jako specjalista *public relations* w międzynarodowej kancelarii księgowej w Mumbaju – finansowej stolicy Indii – z zamiarem, by zostać dziennikarzem, bynajmniej nie chodziło mu o pieniądze.

– W pracy dziennikarza podoba mi się to, że mogę pomóc. Pensja nie jest wysoka, zaledwie osiemnaście tysięcy miesięcznie (w przeliczeniu trzysta trzydzieści dolarów) – mówi. – Innym powodem jest to, że pracy w mediach towarzyszy jednak swego rodzaju *glamour* – dodaje z angielska.

\*

Amit po raz pierwszy napisał o Różowym Gangu w 2010 roku. Był wtedy jednym z niewielu dziennikarzy w Bandzie, którzy w ogóle chcieli zajmować się Sampat.

– Przypisywała wszystkie sukcesy tylko i wyłącznie sobie. Nie uznawała siły i znaczenia mediów.

Spór Sampat z prasą zaczął się wkrótce po przybyciu Amita do miasta.

– Pewnego dnia w sądzie powiedziała publicznie: „Wszystko, czego dokonałam, dokonałam sama. Media nie mają z tym absolutnie nic wspólnego”. W ten sam sposób, jak obraża policję, obraża wtedy media. Wszyscy byli na nią wściekli za to, co powiedziała – przypomina sobie Amit.

Wypowiedź Sampat osobiście dotknęła i pozbawiła złudzeń Aruna Dixita, szefa redakcji telewizji Sahara Samay, która od początku istnienia Gangu wiernie relacjonowała jego działalność.

– Ona przypisuje sobie wszystkie zasługi, a nas nigdy nie dostrzega – narzeka. Arun, który uważał kierowaną przez siebie stację telewizyjną za „partnera” Różowego Gangu, skontaktował się z Sampat na początku 2006 roku po jednym z jej wieców ulicznych. Jego kiepsko oświetlone biuro mieściło się na małej uliczce, prowadzącej w bok od dworca kolejowego w Bandzie.

Rozgoryczeni ludzie, często wieśniacy, którzy nie mieli do kogo zwrócić się po pomoc, niezmiennie przychodzili opowiedzieć mu o problemach nękających ich małe społeczności. Nie kryli nadziei, że nagłośni je w telewizji. Ich troski dotyczyły przedłużających się przerw w dostawie prądu i wody, nieobecnych w szkole nauczycieli. Dla Aruna nagrywanie takich programów stanowiło szczególne wyzwanie. Ludzie, którzy byli ich bohaterami, nigdy przedtem nie mieli do czynienia z kamerą.

– W Atarze nikt nie umie dobrze przemawiać. Zawsze, kiedy proszę, żeby ktoś odezwał się do kamery, wszyscy uciekają – twierdzi.

Kiedy na lokalnej scenie pojawił się Różowy Gang, Arun odetchnął z ulgą – Sampat była niezrównana, jeśli chodzi o kontakty z mediami. Zaczął więc wysyłać do niej reporterów. Dawało to korzyści obojgu: jemu, bo miał do pokazania interesujący materiał, a Sampat, bo telewizja nadawała rozgłos sprawom, w które się angażowała.

– Media to biznes. Potrzebujemy dobrych historii. Wtedy wiadomości się sprzedają – wyjaśnia Arun.

Pierwszy przypadek takiej „współpracy” miał miejsce w 2006 roku, kiedy to Różowy Gang zaatakował dostawcę energii elektrycznej. Firma wstrzymywała dostawy prądu do wiosek, jeśli nie otrzymywała łapówek i usług seksualnych. Arun „przekazał sprawę” Sampat, mówiąc: „Jeśli wy zrobicie protest, my go pokażemy w telewizji”. Sampat zebrała kobiety z sąsiednich wiosek, w tym z Uraiya Purvy i Gokul Purvy, i wspólnie wyruszyły na spotkanie z pracownikami tej firmy. Kiedy ci odmówili włączenia prądu, Sampat od zewnątrz zamknęła ich w biurze na kłódkę.

– Materiał o zamkniętych na kłódkę urzędnikach elektrowni sprzedawał się rewelacyjnie. Widzom podobało się to, co robiła Sampat.

Wkrótce ludzie zaczęli zwracać się z problemami bezpośrednio do Różowego Gangu. Sampat zawiadamiała zaś media o planowanych protestach. W lecie 2010 zaczęła jednak coraz bardziej sympatyzować z Indyjskim Kongresem Narodowym, czego kulminacją było szeroko nagłaśniane, osobiste spotkanie z Sonią Gandhi w New Delhi. Niektórzy – jak Arun – byli zdania, że ambicje polityczne Sampat są sprzeczne z jej pracą wśród ludu.

– Teraz zajęła się polityką. Wyjeżdża, spotyka się z Sonią Gandhi. Zostawiła to, co zaczęła – wzdycha Arun.

Dziennikarz nie kryje też rozczarowania, że Sampat coraz rzadziej

angażuje się w trudne przypadki, które jej podsyła.

– Jest teraz zbyt zajęta. Jej pozycja wzrosła. Często jej nie ma.

Cytuje głośną sprawę z miasteczka Fatehganj, gdzie rodzice nie pozwalali młodym ludziom pobrać się z powodu przynależności do różnych kast.

– Sampat od lat działała na rzecz małżeństwa z miłości, a kiedy podsunęliśmy jej tę sprawę, zignorowała nas! – narzeka. Dziś szef redakcji lokalnej telewizji, który dawniej garnał się do Sampat tak jak inni dziennikarze, bo „potrzebny był ktoś, kto dobrze czuje się przed kamerą”, odwraca się od niej. – Prawie nikt już o niej nie pisze, no, może z wyjątkiem paru osób. Widzi pani, Sampat nie jest już tym samym człowiekiem co kiedyś.

Sampat nie bierze sobie tych krytycznych opinii do serca.

– Krytykują kobietę, jeśli robi się sławna. Powiem coś pani: na świecie wszyscy krytykują się nawzajem, ale jeśli zło nie trawi nas od środka, krytyka nie będzie miała na nas wpływu. Mnie na przykład za grosz nie obchodzi, kto mnie krytykuje. Dużo ludzi mnie krytykuje i dużo ludzi mnie chwali. A ja po prostu wiem, że jestem od środka dobra. Więc nie muszę się tym martwić. Gdybym się martwiła, nie byłabym w stanie nic zrobić – mówi Sampat.

Prycha z dezaprobatą, słysząc, że media odegrały ważną rolę w sukcesie Różowego Gangu.

– Mówią czasem, że Sampat-ji zawdzięcza im swój sukces. A ja pytam – dlaczego? Gdybym nie pracowała, o czym byście pisali? Jeśli zaś odniosłam sukces dzięki waszemu pisaniu, to lepiej zacznijcie pisać o swoich rodzinach, może też odniosą sukces! – mówi ze śmiechem.

Przyznaje jednak, że dziennikarze rzeczywiście pomagali w walkach Różowego Gangu.

– Media to środek wyrażania opinii przed całym światem – twierdzi. – Robię dobrą robotę i nigdy nie piszą o mnie nic złego. Bo gdzie by to znaleźli? Jeśli napiszą na mój temat coś złego, wtedy im nie odpuszczę. Jak dotąd nikt nic złego o mnie nie napisał.

Po południu, po konferencji prasowej, Achchhe wraz z Sampat udali się do redakcji Amita. Wzięli ze sobą tekst oświadczenia Achchhego przeciw posłowi. Publiczna deklaracja, że Achchhe otrzymywał pogróżki, miała ułatwić mediom wywieranie nacisku na Dwivediego, choć i tak musiały prowadzić sprawę ze szczególną ostrożnością.

– Amit powiedział mi: „Sampat-ji, to trudna sprawa. Policja sprzyja



posłowi” – przypomina sobie Sampat. Po chwili dodaje: – Amit nie pozwolił nam zwalniać nacisku i zaręczył, że będzie cały czas pisał o tej sprawie.

Kiedy Sampat wyznała Amitowi, że otrzymała zawołowane pogróżki od dziennikarza Jahpatha, dowiedziała się, że grożono i redaktorowi tytułu „Hindustan”.

– Podeszedł do mnie pewien mężczyzna i powiedział: „Aha, to pan jest tym gościem z «Hindustan»”! I zaczął przeklinać. Wypluł z siebie dużo przekleństw i gróźb. Przed redakcją stali ludzie z bronią. Popatrzyli, popatrzyli i poszli. Uznałem, że jeśli mnie zabiją, powiem: dobrze, przynajmniej zginąłem w słusznej sprawie. Rodzina i koledzy naprawdę mnie wspierali. Uprzedziłem kolegów, że gdyby coś się ze mną stało, mają zawiadomić rodzinę. W nocy chodziły mi po głowie takie myśli: „Jeśli coś się stanie, to przynajmniej piszę prawdę i stoję w obronie sprawiedliwości” – wspomina Amit.

W tamtym czasie Amit i Sampat bardzo się nawzajem wspierali.

– Dodawaliśmy sobie otuchy i odwagi, mówiliśmy sobie, że nie będziemy się bać – mówi z dumą Sampat. W obliczu takiego niebezpieczeństwa najważniejszy jest sojusznik, na którego można liczyć.

Po spotkaniu z Amitem Sampat spędziła kolejne dwie godziny w samochodzie. Zgodnie z obietnicą miała odwieźć Achchhego z powrotem do Shahbajpuru. Specjalnie po to wynajęła na cały dzień samochód z kierowcą. Kiedy wyruszyli w drogę powrotną do Atarry, było już zupełnie ciemno. Droga do wioski Achchhego zajęła im więcej czasu niż zwykle, więc Sampat czuła się nieswojo. Nie lubiła podróżować o tej porze. Shahbajpur dopiero od dziesięciu lat miał połączenie z główną drogą. Okolice wioski należały do najbardziej zacofanych i niebezpiecznych zakątków Bundelkhandu.

Zostawili Shahbajpur w tyle. Droga prowadziła teraz między rozrzuconymi samotnie chatami z suszonej cegły. Ich pobielone ściany lśniły upiornie w świetle księżyca. Droga nie była oświetlona. Nawet z domów nie dochodziło światło, nie miały one bowiem okien. Wokół chat nikt się nie kręcił – tu wszyscy kładli się spać tuż po zapadnięciu zmroku. Nawet gdyby tutejsi mieszkańcy chcieli prowadzić nocne życie towarzyskie, nie mieliby co robić na ciemnej, opustoszałej ulicy, całkowicie pozbawionej otwartych do późna barów czy straganów.

Kiedy z zasięgu wzroku zniknęły ostatnie domostwa, droga zrobiła się nieco szersza. Zbliżali się do mostu nad srebrzącymi się wodami płytkiego

kanalu o szerokich, łagodnie opadających brzegach. Zanim zaledwie parę lat wcześniej wybudowano w tym miejscu most, mieszkańcom, którzy chcieli dostać się do pobliskich miasteczek, by sprzedać liny i koszyki, które wyplatali, musiała wystarczyć mała, drewniana tratwa. Lata izolacji od reszty świata, urozmaicony, górzysty teren, kręte rzeki i szerokie wąwozy sprawiły, że Duaba, jak tubylcy nazywali tereny wokół Shahbajpuru, stało się ulubioną kryjówką wszelkiego rodzaju przestępców oraz wyrzutków społecznych. Mieszkańcy zaś, podejrzliwi i niechętni do współpracy z instytucjami porządku publicznego, dawali im schronienie. Okolice były więc wyjątkowo niebezpieczne.

Za mostem droga wiła się wokół wzniesień i pagórków, pojawiających się przed maską samochodu na każdym niemal zakręcie. Niewielu było rolników chętnych uprawiać tę trudną, niewdzięczną ziemię. Zarosła więc łąkami wysokich dzikich traw i chwastów, od czasu do czasu urozmaiconymi przez porzrzućane, zdawałoby się, przypadkowo, ogromne głazy. Dopiero gdy Sampat z kierowcą zbliżali się do głównej szosy, łączącej Naraini z Atarrą, na horyzoncie pojawiła się następna osada ludzka. Choć również składała się z glinianych chat i była pozbawiona elektryczności, wydawała się już mniej zacofana niż Shahbajpur. Przynajmniej – zgodnie z tym, czym chełpiły się wymalowane na metalowych żaluzjach reklamy – były tu sklepy oferujące rozmaite produkty, nawet coca-colę.

Po wyjechaniu z tej wioski, kierując się dalej w stronę głównej szosy, Sampat i jej kierowca zobaczyli zaparkowany na poboczu samochód stojący na włączonych światłach. Minęli go i skręcili w prawo na główną drogę. Wtedy dostrzegli za sobą światła wynurzającego się z za zakrętu pojazdu – tego samego, który przed chwilą mijali. Jechał na długich, które, bijąc w lusterka, całkowicie oślepiły Sampat i kierowcę. W zasięgu wzroku nie było żadnych innych samochodów. Za rosnącymi wzdłuż szosy srebrzystymi brzoźami jak okiem sięgnąć rozciągały się opustoszałe pola ryżowe.

Żołądek Sampat zacisnął się w ciasny, twardy węzeł. Ktoś ich śledził. Czego chciał? Spoglądając w lusterko wsteczne, nie mogła rozpoznać kierowcy pędzącego za nimi samochodu. Za każdym razem, gdy próbowała, musiała mrużyć oczy przed oślepiającym blaskiem jego reflektorów.

Jakby na potwierdzenie jej obaw, samochód dodał gazu i wyprzedził ich, po czym nieoczekiwanie gwałtownie zwolnił. Światła hamulców skąpały twarz i ręce Sampat w ostrzegawczym szkarłatnym blasku. Kierowca, który do tej

pory nie zdradzał oznak niepokoju, zareagował natychmiast.

– Co to ma znaczyć, Sampat-ji?

Próbował wyprzedzić nieznaną pojazd z prawej, ale nic z tego. W chwili, kiedy już mieli go wyminąć, tamten przyspieszył i zmienił pas tak, że samochód Sampat znalazł się teraz za nim. Następnie napastnik, zdając sobie sprawę, że trzyma kierowcę Sampat w szachu, znowu zwolnił, czym zmusił go, by zrobił to samo.

W tak odludnym miejscu wszystko może się zdarzyć, myślała Sampat, nerwowo spoglądając za okno. Odkąd wyjechali na główną drogę, nie minęli żadnej wioski, a nawet żadnego samotnego domu. Jeśli ludzie w drugim samochodzie chcą zepchnąć ich do rowu, prędzej czy później im się to uda. Ba, nawet gdyby chcieli ich zastrzelić, nikt by się nie dowiedział, kto i dlaczego to zrobił. Sampat była zdeterminowana, by uniknąć takiego obrotu rzeczy.

– Sampat-ji, zostawiam cię tu i wracam – powiedział ogarnięty paniką kierowca.

– Co ty opowiadasz? Nie możesz wysadzić mnie samej pośrodku pustkowia.

– To niebezpieczne... nie jadę dalej i...

– Jesteś mężczyzną! I tak bardzo się boisz? To moi wrogowie, nie twoi. Ja tu jestem, więc przestań się bać! – ryknęła na niego.

Sampat nie traciła czasu. Zdjęła z szyi dupattę i włożyła do niej trzy jabłka, które rano wzięła ze sobą z domu na drogę. Nastraszę ich, że mam bombę, pomyślała i przygotowała się, by otworzyć okno i udać, że rzuca ją w kierunku samochodu napastników.

Zanim jednak podjęła tę ostatnią próbę pozbycia się nieznanych prześladowców, wrzasnęła do kierowcy:

– Spróbuj jeszcze raz!

Ten zawahał się.

– Teraz! – ryknęła Sampat.

Kierowca gwałtownie skręcił kierownicą. Samochód zatoczył się i zjechał z pasa. Zanim jednak zdążył przyspieszyć, pojazd napastników dał nura naprzód, po czym ostro przyhamował. Samochód Sampat zatrzymał się gwałtownie. Wtedy obcy samochód dodał gazu i odjechał, zostawiając za sobą chmurę oświetlonego czerwonym blaskiem kurzu.

# *Rozdział siódmy*

## **DŹWIĘK ROGU**

KRĄŻY TA WIEŚĆ Z UST DO UST  
ZE POSEŁ Z NARAINI TO ZWYKŁY OSZUST.

– *Różowy Gang*

Dwudziestego ósmego grudnia Rajju Patel, przez prasę notorycznie nazywany gwałcicielem, porywaczem i „mężem-kochankiem” Sheelu, po raz pierwszy od aresztowania dziewczyny pokazał się w mediach. Ku powszechnemu zdziwieniu towarzyszył mu Dwivedi.

Tyczkowaty młodzieniec o falujących włosach miał na sobie błyszczącą burgundową koszulę, miętowy rozpinany sweter, a pod szyją biały szal. Spokojnym, wyważonym tonem oświadczył, że, wbrew doniesieniom, Sheelu faktycznie jest jego żoną. Tego dnia usiłował odwiedzić ją w więzieniu, ale strażnik odmówił mu wstępu. Rajju miał przy sobie list miłosny, który chciał jej przekazać. Podczas konferencji prasowej w następujący sposób opisał swój związek z Sheelu:

– Poznałem Sheelu w czasie wyborów. Zakochaliśmy się w sobie, a potem zabrałem ją do siebie, gdzie mieszkaliśmy przez około półtora miesiąca. Powiedziała ojcu, że nie chce wracać z nim do domu. Mówiła: „Nie, chcę zostać tutaj”. Potem zabrali ją ludzie posła i trzymali ją w Atarze. Kiedy to się stało, nie było mnie w domu. Zadzwoniła do mnie i powiedziała, że źle się beze mnie czuje, a ja odparłem, żeby postarała się stamtąd jakoś wydostać – mówił. Miał oczywiście na myśli dom Dwivediego. Dodał: – Chcę ożenić się z Sheelu. Chcę, żeby była moją partnerką na całe życie.

Sheelu uważa, że Rajju zgodził się wystąpić u boku posła, bo został przekupiony. W przeciwnym razie z jakiej racji miałby pokazywać się przed kamerami ramię w ramię z człowiekiem, który podobno zamordował mu ojca i skrzywdził kobietę, którą uważał za żonę? Oświadczenie Rajju, że on i Sheelu razem uciekli, było dla Dwivediego bardzo korzystne. Potwierdzało reputację dziewczyny jako osoby o swobodnych obyczajach, łamiącej powszechnie przyjęte zasady społeczne. Osoby, której zeznań złożonych w sądzie nie należy traktować poważnie.

„Hindustan”, nazywając Rajju „krętaczem”, zrelacjonował nietypową konferencję prasową z udziałem chłopaka i zadał swoim czytelnikom serię pytań.

„Jeśli Sheelu rzeczywiście go kochała, to czemu ukrywała to przed swoim ojcem? Gdzie był przez cały ten czas Rajju? Jeśli poślubił Sheelu, to dlaczego trzymał ją w ukryciu?”. Ostatnie pytanie sugerowało, że Sheelu przebywała w Patharze wbrew własnej woli.

Nikt nie znał odpowiedzi na te pytania, a policja, mimo ciążących na Rajju zarzutów, nie starała się go aresztować. Nie przeprowadzono też żadnego poważnego dochodzenia w sprawie rzekomego ślubu dwojga młodych, jak donosił „Hindustan”.

Jeżeli konferencja prasowa została rzeczywiście zwołana w celu zniszczenia wizerunku publicznego Sheelu, to była niczym w porównaniu z bezwzględnym atakiem na jej godność, który miał miejsce następnego dnia.

Skorumpowany urzędnik może na wiele sposobów starać się złamać ducha młodej dziewczyny, oskarżającej o gwałt znanego polityka. Jedną z najokrutniejszych form poniżenia, jakie ma do swej dyspozycji, nie została do tej pory zakazana przez prawo. Co więcej, powszechnie stosuje się ją w czasie rozpraw na indyjskich salach sądowych.

Indyjską kobietę, która zgłasza się na policję i utrzymuje, że została zgwałcona, często poddaje się poniżającemu, niemającemu nic wspólnego ani z nauką, ani z medycyną, „testowi palca”. Ma on na celu ustalenie jej reputacji, charakteru i postrzeganej rzetelności. By wykonać ów test, lekarz wsuwa dwa palce do pochwy ofiary gwałtu i określa, czy jest ona „wąska”, „przestronna”, „elastyczna” i tak dalej. Na podstawie tych cech lekarz wypełnia protokół Indyjskiego Towarzystwa Medycznego i wyciąga wnioski co do obyczajów seksualnych tej kobiety. Mogą one oczywiście zostać wykorzystane przeciwko niej na sali sądowej.

Test ten, rzecz jasna, jest metodą bardzo subiektywną. „Pochwa z trudem przyjęła jeden palec” czy „pochwa z ledwością przyjęła dwa palce” to przykłady komentarzy, jakie zamieszczają w swych raportach lekarze. Przeważająca większość lekarzy, którzy wykonują tego typu testy na kobietach, nie została wcale przeszkolona w zakresie zbierania dowodów sądowych lub przeszła niewystarczające szkolenie. To samo dotyczy umiejętności właściwego postępowania z ofiarą gwałtu. Zgodnie z informacjami zebranymi w raporcie Human Rights Watch, w niektórych szpitalach powszechną praktyką wobec kobiet, które zgłosiły się bezpośrednio po gwałcie, jest ich wielogodzinne przetrzymywanie w poczekalni bez udzielenia pomocy czy chociaż przeprowadzenia wywiadu. Na porządku

dziennym jest stosowanie wobec nich, w obecności innych pacjentów, określenia „przypadek gwałtu”.

W wyrokach indyjskich sądów najwyższych instancji z ostatnich lat częste są następujące określenia: „notoryczne współżycie płciowe”, „przywykła do współżycia płciowego”, „przyzwyczajona do seksu”, „częste stosunki”, „aktywna seksualnie”. Mają one opisać wnioski wyciągnięte z „testu palca”. A kiedy kobieta otrzyma etykietę „aktywnej seksualnie” lub „notorycznie współżyjącej”, jej dobre imię zostaje zakwestionowane publicznie, na sali sądowej. W sprawie z 2009 roku Sąd Najwyższy Indii ustalił, że kobieta, która twierdziła, że została zgwałcona, jest w rzeczywistości „przywykła do współżycia płciowego i rozwiązła”, a dodatkowo nie ma zahamowań, jeśli chodzi o „spotykanie się z ludźmi i swobodne przemieszczanie w celach rozrywkowych. Dlatego zostaje uznana za osobę o wątpliwej moralności”. W 2008 roku Wysoki Sąd w Biharze przywiązał wielką wagę do opinii lekarza, że ofiara gwałtu była „przyzwyczajona do seksu”. „Mimo że dziewczyna była panną w wieku między 20 a 23 lata, ustalono, że jest «przyzwyczajona do seksu». To przesądza o jej wątpliwej cnotce”.

Choć prawo indyjskie stanowi, że gwałciiciela można oskarżyć na podstawie samych zeznań ofiary, to jeśli sąd zaakceptuje jako dowody wyniki „testu palca”, „pewna” sprawa może przyjąć zupełnie inny obrót. Nie dość, że metoda ta negatywnie wpływa na morale ofiary, to jeszcze podważa jej obyczaje i dobre imię. Tego właśnie – nie ma wątpliwości – miał nadzieję dokonać wróg Sheelu.

Następnego dnia, 29 grudnia, dwie lekarki ze szpitala okręgowego – dr Vimla Sharma i dr Mary Singh przyjechały do więzienia, żeby zbadać Sheelu. Sheelu twierdzi, że od razu wiedziała, iż mają na uwadze dobro posła, nie pacjentki.

Sheelu miała już jedno negatywne doświadczenie, jeśli chodzi o kontakt z lekarzem wyznaczonym przez sąd. Dwudziestego grudnia przywieziono ją do szpitala w Bandzie na badanie lekarskie. Skarżyła się, według tego co donosiły gazety, na „bóle wewnętrzne”. Lekarz dyżurny, doktor Bhavna Sharma, rzekomo odprawiła ją machnięciem ręki i słowami:

– Nie mam czasu się z nią cackać.

Zapytana o ten incydent przez prasę, doktor Sharma broni się, że do zbadania dziewczyny niezbędny był nakaz sądowy, którego nie otrzymała.

Sheelu twierdzi, że obie lekarki, zanim przystąpiły do zbadania jej 29

grudnia w więzieniu, wywierały na nią nacisk, by wycofała zarzut gwałtu wobec pośła.

– Sheelu, nie rób z tego wielkiej sprawy i uspokój się. *Vidhayak* zostanie uwięziony bezpodstawnie – radziła jej dr Vimla Sharma. Potem próbowała podobno zmusić Sheelu do podpisania pustej kartki papieru, ale ta odmówiła.

– Powiedziałam sobie: nie podpiszę tego, nawet gdyby mieli mnie zabić.

Dopiero wtedy „rozzłoszczone” lekarki przeprowadziły badanie.

– Nie włożyły rękawiczek – wspomina Sheelu.

Trudno sobie wyobrazić, co czuje osoba badana wewnętrznie przez złośliwego lekarza, którego ukrytą intencją jest znalezienie w ciele pacjenta „dowodu”, by następnie wykorzystać go przeciw temuż pacjentowi. Jeśli Sheelu została zgwałcona, to inwazyjne badanie musiało boleśnie przypominać jej przeżyta traumę. Odmowa poddania się badaniu nie wchodziła w grę – lekarze często przyczepiają takim pacjentom etykietę „niechętny do współpracy”, co może zostać odebrane przez sąd jako „próba zatajenia istotnego faktu”.

Sheelu zamknęła oczy i próbowała myśleć o czym innym, podczas gdy lekarki przeprowadzały brutalne badanie w jej wnętrzu.

Sheelu twierdzi, że tego samego dnia, kiedy w więzieniu badały ją dwie lekarki, została również poddana pięciogodzinnemu przesłuchaniu, prowadzonemu przez Radhego Shyama Shukłę – oficera okręgowego w Bandzie oraz Anila Dasa – nadinspektora policji w Bandzie.

Podczas przesłuchania obaj oficerowie jakoby naciskali, by podpisała pustą kartkę i próbowali przekupić ją sześciuset tysiącami rupii, to jest około jedenastoma tysiącami dolarów. Sheelu przytacza następującą rozmowę między nią a Anilem:

– Weźmiesz pieniądze i zmienisz zeznania, a my już dopilnujemy, by sprawiedliwości stało się zadość – powiedział Anil. Miał na myśli zeznania o gwałcie, które Sheelu złożyła na policji.

– Jeśli wezmę pieniądze, to jak sprawiedliwości stanie się zadość? – pytała Sheelu.

Kiedy Sheelu upierała się, że zależy jej na tym, by Dwivedi został ukarana, Anil Das odparł rzekomo:

– Nie wciągaj w to *vidhayaka*-ji. On nie należy do tego typu ludzi.

Targi trwały godzinami – do czasu, kiedy ktoś z więzienia doniósł

o podejrzanym przesłuchaniu posłowi Indyjskiego Kongresu Narodowego z dystryktu Banda. Vivek Singh, przybywszy na miejsce, od razu stwierdził, że Anil Das nie wpisał się do księgi przepustek, w której mieli obowiązek rejestrować się wszyscy wchodzący na teren więzienia. Było to poważne naruszenie przepisów. Sugerowało, że Dasowi zależało na utrzymaniu spotkania z Sheelu w tajemnicy. Singh, po uprzedniej konsultacji ze strażnikami, wpisał więc do księgi orientacyjną godzinę przybycia Dasa. Pod nią zaś zanotował: „Za czyją zgodą przebywał tu pięć godzin?”. Zrobił także kopię księgi przepustek z zamiarem przekazania jej w ręce dziennikarzy.

Po wpisaniu powyższej adnotacji do księgi przepustek Vivek Singh wtargnął do pomieszczenia, gdzie przesłuchiowano Sheelu. Jak twierdzi dziewczyna, „wrzeszczał na nadinspektora jak oszalały”. Oskarżył policję o próbę zatuszowania przestępstwa. Zabronił jakichkolwiek wizyt u Sheelu, chyba że on sam osobiście wyrazi na to zgodę na piśmie.

Pierwszego stycznia 2011 roku, kilka dni po starciu Viveka Singha z nadinspektorem z powodu rzekomego naruszenia przepisów przez policjanta, policja po raz pierwszy przyznała publicznie, że Sheelu oskarża posła o gwałt. Nagłówek na pierwszej stronie gazety „Hindustan” był krótki i zwięzły.

### NAZWISKO POSŁA PADA W SPRAWIE GWAŁTU SHEELU

Autor artykułu przekonywał, że zarzuty Sheelu wobec posła były dotąd „tuszowane, ukrywane i ginęły w mroku policyjnych korytarzy”, ale wreszcie, w wyniku przesłuchania Sheelu przez Anila Dasa i Radhego Shyama, zostały ujawnione. Ponieważ Sheelu odmówiła wycofania zeznań, że została zgwałcona przez Dwivediego, policja miała nadzieję, że dziewczynę zdyskredytuje „sądowe badanie lekarskie”.

W tym samym artykule prezentowano po raz pierwszy wyniki badań lekarskich Sheelu. Według oficera medycznego kluczowym faktem było to, że Sheelu zakwalifikowała się do kategorii „nałogowo uprawiających seks”. „Hindustan” sugerował, że lekarze spreparowali wynik, by chronić posła.

Kumari Mayawati, premier stanu Uttar Pradeś, nie mogąc dłużej ignorować tego typu doniesień, poleciła skierować sprawę do Wydziału Kryminalnego Centralnego Biura Śledczego (CB-CID). Ze stolicy Uttar Pradeś, Lakhnau, przyjechali śledczy, którzy następnego dnia zaczęli dochodzenie w sprawie Sheelu.

Drugiego stycznia mandat Dwivediego został zawieszony na czas



dochodzenia. Na konferencji prasowej w Bandzie powiedział on dziennikarzom, że „oskarżenia o molestowanie seksualne mają podłoże polityczne”. Twierdził również, że ma dowody, iż oskarżenia o gwałt są bezpodstawne. Argumentował to swoją impotencją. Dodał:

– Jestem gotowy poddać się badaniu przez dowolnie wskazanego lekarza, i każdy potwierdzi moje słowa.

Żona Dwivediego, Asha, w złożonym później oświadczeniu powtórzyła argumentację męża. Twierdziła, że nie ma on fizycznej możliwości kogokolwiek zgwałcić, ponieważ cierpi na wysokie ciśnienie, cukrzycę i problemy z nerkami. Zażądała, by zbadali go lekarze i dodała:

– W moim domu są dwa pokoje. Jeden zajmują syn i synowa. Jak to możliwe, by mężczyzna zgwałcił dziewczynę na oczach żony, syna i synowej?

Podobnie jak mąż, Asha twierdziła, że oskarżenia wobec jej męża to nic innego jak tylko „zemsta polityczna”.

W wyniku szerokiego rozgłosu, jakiego nabrała sprawa Sheelu, jej młodszy brat Santoo – drugie z kolei dziecko Achchhego – znalazł się w świetle reflektorów. Pod nieobecność ojca, który wraz z kolejnymi falami pogroźek ze strony ludzi posła pojawiał się i znikał, chłopak zmuszony był przejąć obowiązki głowy rodziny.

Podobnie jako ojciec naturę ma nieśmiałą, choć nie można nazwać go naiwnym. Z wyglądu jest bardzo podobny do ojca – o wysokich kościach policzkowych, silnie zarysowanej szczęce i zdecydowanej linii brwi, jednak typ jego urody można by określić jako znacznie łagodniejszy. Jako młodzieniec o niewyszukanych potrzebach, Santoo najbardziej lubił spędzać czas na oczekiwaniu, aż na dworze się ochłodzi, by móc wyruszyć na trwający aż do wieczora „spacer” po wiosce, po czym wrócić, zjeść coś i pójść spać. Z przyjemnością też ścigał się z kolegami, biegając po pobliskiej drodze.

Santoo zawsze starał się jednak wracać do domu przed zachodem słońca. Shahbajpur nie miało elektryczności ani latarni ulicznych, więc po zmroku zapadały tam gęste, nieprzeniknione ciemności. Późną nocą widywał często w oddali błyski latarek. Był przekonany, że to bandyci, czyli *badmash*, kryjący się w pobliskich lasach i jarach.

– Kręcą się po okolicy, ale nikomu nic złego nie robią. W ciągu dnia się kryją, odchodzą dalej. W nocy powracają bliżej wioski. To muszą być *badmash*, któż inny wałęsałby się po nocy? – rozmyśla na głos Santoo.

Jak długo Santoo sięgał pamięcią, nigdy nie zdarzyło się, aby któryś z *badmash* wyrządził krzywdę komukolwiek w Shahbajpurze. Mimo to chłopak zawsze pamiętał, że stanowią zagrożenie i zachowywał czujność.

– Ci, którzy nie mają co jeść, kradną, zabijają, napadają na banki.

Perspektywa, że budzący przerażenie, czający się w ciemności zbrojcy mogliby skrzywdzić jego siostrę, stanowiła jedną z największych obaw chłopaka.

Santoo ubóstwiał Sheelu. Jako dziecko bawili się razem godzinami. Dziewczynka zawsze wygrywała – czy to w berka, czy w gonitwach po drzewach, gdzie linią mety była ostatnia, najwyższa gałąź („Sheelu częściej była pierwsza”). A potem, kiedy umarła ich matka, a Sheelu musiała rzucić szkołę, by zająć się młodszymi braćmi, Santoo jeszcze bardziej się z nią związał. Jako jedyna kobieta w rodzinie zastąpiła braciom matkę.

– Siostra uprawiała ogródek, miała tam warzywa i nas karmiła. Mieliśmy krowę, która dawała mleko. Sheelu kosiła trawę dla tej krowy – wspomina jej zasługi Santoo.

On też, jako najstarszy z braci, zapewne w największym stopniu zdawał sobie sprawę z poświęcenia Sheelu dla dobra rodziny. Szukał więc sposobów, aby jakoś jej się odwdzińczyć. To on potajemnie uczył siostrę jeździć na skuterze kuzyna, by zaspokoić jej pragnienia swobody.

– Widziała w mieście dziewczyny na skuterach, więc sama też chciała jeździć. Powiedziałem, okej, nauczę cię.

Nigdy nie złościł się na Sheelu, kiedy bez pozwolenia brała skuter i jeździła nim wokół wioski.

Santoo uwiecznił swą miłość i przywiązanie do siostry, tatuując sobie na przedramieniu jej imię, a nad nim serduszko. Wkrótce potem Sheelu zaczęła spędzać coraz więcej czasu poza domem. Pomieszkiwała u krewnych w innych wioskach. Tak jak przedtem Sheelu, teraz Santoo musiał rzucić naukę i zastąpić nieobecnego ojca – jedyne go żywiciela rodziny. Ojciec kazał mu zostawić szkołę i wysłał go do New Delhi w poszukiwaniu pracy. Tam chłopak codziennie spędzał długie godziny w fabryce firmy Bata, międzynarodowego producenta obuwia.

– Buty pakuje się w pudełka. Ja nakładałem przykrywkę na pudełka, a na to szła cena – lakonicznie opowiada o swoich obowiązkach.

W wolnym czasie natomiast życie w stolicy obfitowało w rozrywki.

– Są tam ładne domy, ładne ulice, ładne ogrody i ładne parki. Lubię się tam powłóczyć. Jest ładnie. Raczej czysto. Nie ma smrodu z *mullahs* – opowiada z uśmiechem, mając na myśli oczywiście rynsztoki.

Kiedy tylko Santoo wracał do domu, wypytywał o siostrę. Miał nadzieję, że jest bezpieczna i ma się dobrze. Często o niej myślał. „Incydent” z jej udziałem zdarzył się właśnie podczas jednego z pobytów chłopaka w domu. Był to największy cios, jaki spotkał Santoo od czasu śmierci matki.

\*

Wkrótce po tym, jak sprawa Sheelu trafiła do gazet, Santoo spotkał się z człowiekiem nazwiskiem Vishambhar Prasad Nishad, posłem z partii Samajwadi z dystryktu Tindwari. Była to ta sama partia, która rządziła stanem Uttar Pradeś za czasów Goonda Raj.

Czemu Santoo po tym, co spotkało jego siostrę, szukał pomocy u polityka z partii o reputacji bandytów i złodziei, czy w ogóle u jakiegokolwiek polityka? Nishad, podobnie jak Santoo, należał do kewatów – kasty skutników. Pochodzili z tej samej społeczności, Santoo wierzył więc, że Nishad zrobi wszystko, by pomóc jego siostrze. Myślenie takie nie było niczym niezwykłym, ponieważ wspólna przynależność kastowa odgrywa olbrzymią rolę, zwłaszcza w polityce. Wielu wyborców jest zdania, że polityk z tej samej społeczności lepiej zadba o ich interesy. Nie bez przyczyny istnieje powiedzenie, że „*In India you don't cast your vote, you vote your caste*” (W Indiach nie oddajesz (*cast*) głosu, ale głosujesz na kastę). Nishad zapewnił Santoo, że cała partia stanie za nim i za Sheelu murem. Rozumiał, że wizerunek polityczny – zarówno jego samego, jak i jego partii – skorzysta na pomocy dziewczynie, której niedola stała się najgłośniejszym tematem w mediach.

– Powiedział: „Nie martw się. Pomożemy wam, jak dalece tylko zdołamy. Przeniesiemy tę walkę stąd do Delhi. Twoją siostrę spotkała niesprawiedliwość” – przypomina sobie Santoo. Nishad uważał też, że to Santoo, nie Sampat, powinien ubiegać się o zwolnienie Sheelu za kaucją. Obiecał, że partia Samajwadi zapewni dziewczynie pochodzącego z tej samej kasty prawnika, który będzie ją reprezentował. Natomiast prośba o zwolnienie za kaucją złożona przez Santoo będzie konkurencyjna wobec tej złożonej przez Sampat w imieniu Achchhego. To Sheelu miała zdecydować, z której zechce skorzystać. I choć decyzja ta nie będzie miała znaczenia

w oczach prawa, to będzie świadczyć o lojalności dziewczyny.

Santoo udał się na widzenie z siostrą w więzieniu. Tam, prócz innych kwestii, rozmawiali o zwolnieniu za kaucją. W zamian za lojalność Sheelu Nishad mógł zaproponować jej więcej niż tylko wolność.

– Zapewnił, że załatwi nam mieszkanie w Kanshiram Colony – przypomina sobie Santoo. Kanshiram Colony to budowane na koszt państwa nowoczesne osiedle. Biorąc pod uwagę, jak mało takich osiedli powstaje, jak mało domów budowanych na takich osiedlach dostępnych jest dla ogółu społeczeństwa i jak długie są listy oczekujących, trudno wyobrazić sobie odrzucenie takiej oferty – zwłaszcza jeśli składa ją polityk, gotowy dzięki swym wpływom zafundować rodzinie takie lokum.

Czwartego stycznia, w dniu rozprawy, Sheelu pojawiła się na sali sądowej. Oznajmiła, że jeśli sąd wyda zgodę na jej zwolnienie za kaucją, chce skorzystać z kaucji, wykładanej przez jej własną kastę za pośrednictwem Nishada. Sampat wraz z jednym z prawników Różowego Gangu, Bholą Dwivedim, byli obecni na sali rozpraw. Oczekiwali, że Sheelu przyjmie ich propozycję kaucji. Taki rozwój wydarzeń postawił Sampat w niezręcznej sytuacji miłosiernego Samarytanina, który wścibia nos w nie swoje sprawy, choć nikt nie prosi go o pomoc. Właśnie tego chciała uniknąć, prosząc Achchhego o zgodę na wnioskowanie, by Sheelu zwolniono za kaucją. Nie chciała zostać posądzona o to, że niepotrzebnie się wtrąca. Nie spodziewała się jednak, że brat Sheelu wystąpi przeciw własnemu ojcu. Bardziej niż poniżenie, jakiego doznała, zirytował ją bezczelny oportunizm partii Samajwadi, która dla własnych korzyści właśnie spychała ją sobie z drogi.

Dla Sampat Vishambhar Praksad Nishad był nikiem innym, jak przestępcą. Jego policyjna kartoteka dorównywała gorszącej reputacji partii Samajwadi. Przeciw Nishadowi toczyło się w rzeczywistości wiele spraw sądowych, w tym za inicjowanie rozruchów, zbrojnych zamieszek oraz za bezpodstawne uwięzienie. Z poprzednich doświadczeń Sampat doskonale wiedziała, że Nishad nie zwykł okazywać podobnej wrażliwości na niesprawiedliwość. Czy nie zwracała się do niego, kiedy Sonam, którego mały domek spłonął, potrzebował pomocy? Sonam mieszkał przecież w jego okręgu wyborczym. Niestety poza obietnicą, że przyjrzy się sprawie, Nishad nie kiwnął nawet palcem. Sampat uważała za niedorzeczne, by polityk o tak barwnej przeszłości przestępczej utrzymywał, iż nie leży mu na sercu nic innego, jak tylko dobro niewinnej dziewczyny.

Kiedy Sheelu przyjęła jego propozycję kaucji, Nishad w otoczeniu swych partyjnych kolegów wziął udział w konferencji prasowej przed budynkiem sądu. Wówczas Sampat wtargnęła w tłum i krzyknęła:

– Jeden polityk już ją zgwałcił! Teraz ty chcesz ją wykorzystać niczym marionetkę? Nie pozwolimy na to. Jesteś *vidhayak* tak jak Dwivedi, nie zapomnij o tym. Niech ci się nie wydaje, że kupisz Sheelu za swoje pieniądze!

– Sheelu należy do tej samej kasty – zaczęła Nishad.

– Wielu ludzi jest z tej samej kasty, i co, wszystkim tak samo pomagasz? – zawołała Sampat.

Nishad szybko zakończył konferencję prasową i wyszedł, a media tymczasem skupiły się na Sampat.

– Sampat, ta dziewczyna nie szanuje własnego ojca, nie szanuje też ciebie. Co w związku z tym ma pani zamiar zrobić? – zapytał jeden z dziennikarzy.

Sampat machnęła ręką i odparła krótko, po swojemu, bez ogródek:

– Wszystko mi jedno, czyją kaucję wybierze. Kiedy wyjdzie z więzienia, nie chcę, żeby klepała mnie po plecach. W przeciwieństwie do całej reszty nie zajmuję się tą sprawą z chęci zysku. Nie chcę niczego innego, tylko by ją wypuścili. Jestem kobietą i chcę pomóc Sheelu jako drugiej kobiecie. To mój obowiązek. Kiedy Sheelu stała się krzywda, kiedy została potraktowana niesprawiedliwie, nikt z jej rodziny nie przyszedł z pomocą. Dopiero po mojej interwencji zaczęli działać inni. Santoo nie jest nawet pełnoletni, a politycy już wykorzystują go dla własnych celów. Czy to moralne?

Przerwała na chwilę, po czym dodała:

– Tak czy inaczej, ja postanowiłam uwolnić ją bez wpłacania żadnej kaucji. Dlaczego ma płacić, jakby była przestępcą?

Sampat żądała jednego – oczyszczenia dziewczyny z zarzutów. Sama miała zamiar przeprowadzić zapowiedziany na następny dzień, 5 stycznia, protest. Podkreślała, że „rozpocznie akcję”, która nie ustanie, dopóki Sheelu nie wyjdzie na wolność.

\*

Mniej więcej w czasie, kiedy sprawa Sheelu na oczach całego społeczeństwa nabierała dramatycznego tempa, Geeta w swoim dystrykcie pracowała nad sprawami wymagającymi jej niezwłocznej uwagi. Otrzymała ostatnio niepokojący telefon od Geety Kori i jej męża Bhulwy, którzy twierdzili, że starszy mężczyzna z sąsiedztwa zgwałcił ich córkę, niemą

dziewczynkę w wieku jedenastu lat. Kiedy państwo Kori, którzy żyją na granicy nędzy, zadzwonili na policję, oczekując pomocy, policjanci odmówili interwencji. Rodzina Kori była zbyt uboga, by zapłacić policji łapówkę za zbadanie okoliczności gwałtu. Geeta Kori jest najemną robotnicą, a jej mąż, którego kończy systematycznie zjada trąd, jest niezdolny do pracy. Nie wiedząc, do kogo się zwrócić, rodzice zgwałconej dziewczynki udali się do redakcji telewizji Sahara Samay w Karvi, blisko Chitrakoot, gdzie mieszkają. Zdesperowani obywatele często szukają pomocy u dziennikarzy, którzy mają opinię ludzi społecznie świadomych, a równocześnie są wystarczająco wykształceni, by udzielać porad prostakom. Wielu prostych ludzi pokłada swą ostatnią nadzieję w mediach – jeśli te nagłośnią ich ciężki los, pojawia się nadzieja na sprawiedliwość. Wprawdzie kanał telewizyjny nie zdecydował się na publikację historii o zgwałconej dziewczynce, ale dziennikarze poradzili jej rodzicom, by skontaktowali się z Różowym Gangiem i dali im numer Geety.

– Matka zaczęła płakać i błagać o pomoc – Geeta przypomina sobie ich pierwszą rozmowę przez telefon. Potem rodzice przyjechali do niej na spotkanie. Przywieźli ze sobą dziewczynkę, która wciąż krwawiła. Geeta wysłuchała całej historii. Dowiedziała się przy okazji, że ów starszy człowiek molestował inne kobiety z wioski, zapłaciwszy ponoć policji trzydzieści tysięcy rupii, by się nie wtrącała. Następnie wzięła za słuchawkę i zadzwoniła na posterunek, żądając informacji, dlaczego policja nie poczyniła żadnych postępów w śledztwie w sprawie gwałtu na jedenastolatce. Dyżurny policjant odpowiedział, że to „sprawa niewielkiej rangi” i że wkrótce doprowadzą ją do końca.

– Niech pan lepiej aresztuje tego gwałciiciela, bo inaczej pański mundur będzie wisiał na kołku i zdobił ściany – ucięła Geeta, grożąc podpaleniem posterunku.

Geeta wraz z poszkodowaną rodziną udała się do szpitala okręgowego, ale pielęgniarki nie otoczyły wylęknionej dziewczynki właściwą opieką.

– Powiedziałam im: „Albo opatrzą mnie natychmiast, albo zaraz wrócę tu z całym gangiem”.

Dopiero wtedy pielęgniarki niezwłocznie zajęły się dziewczynką. Geeta pokryła koszt zabiegu – pięćset rupii – z własnej kieszeni.

– Zapłaciłam, bo byli bardzo biedni – wyjaśnia.

Geeta ustaliła z państwem Kori, że przenocuje małą u siebie na wypadek, gdyby trzeba było ponownie jechać do szpitala, który znajdował się niedaleko.

Rodzice bali się też zabrać córkę do domu, kiedy gwałciiciel wciąż chodził na wolności. Następnego dnia został jednak wsadzony za kratki. Wystarczyło, że Geeta poszła na posterunek i zagroziła akcją Różowego Gangu, jeśli miejscowy inspektor nie podejmie wreszcie działania.

– Bardzo się nas boją – mówi Geeta z uśmiechem. – Robią, co trzeba, ale tylko jeśli im się pogrozi.

Kiedy 4 stycznia po południu Sampat zadzwoniła do Geety i potwierdziła, że nazajutrz ma się odbyć protest w sprawie Sheelu, szefowa dystryktu Chitrakoot przebywała w Atarze u teściów. Zanim wróciła do domu, już się ściemniło. Na indyjskich wsiach nie ma latarni ulicznych, dlatego po zapadnięciu zmroku w bezksiężycowe noce ludziom muszą wystarczyć latarki i nikły blask ekranów komórek. Było już późno, a Geeta musiała jeszcze zawiadomić kobiety ze swego dystryktu o jutrzejszym porannym proteście.

Wiele z nich nie miało telefonów lub dostępu do prądu, by je naładować. Dlatego Geeta opracowała prosty, ale skuteczny sposób przekazywania wiadomości wewnątrz Gangu. Sama kontaktowała się z pięcioma najważniejszymi członkiniami, każda z nich z kolejnymi pięcioma i tak dalej, aż wiadomość dotarła do wszystkich. Spośród ścisłego grona najbardziej zaangażowanych, lojalnych członkiń, Geeta utrzymywała najbliższy kontakt z Mayą Goswami. To do niej zwracała się o pomoc przy wykonaniu „zadań specjalnych”. Należały do nich między innymi nocne wizyty u innych członkiń, którym trzeba przekazać ważną informację po zapadnięciu zmroku.

Maya, ofiara straszliwej przemocy domowej, wstąpiła do Gangu miesiąc po tym, kiedy Geeta została szefową dystryktu. Była jedną z pierwszych przyjętych przez nią członkiń. Po raz pierwszy spotkały się na posterunku policji. Do Geety doszły wieści, że brutalnie pobita przez teściów Maya prosi Różowy Gang o pomoc. Wraz z inną znajomą, Pinki, na rowerach pojechały na posterunek.

– Kiedy przyjechałyśmy, Maya siedziała samotnie na ławce. Wzięłam dla niej ciastka, herbatę i środki przeciwbólowe. Była pokaleczona tłuczonym szkłem i posiniaczona. Głaskałam ją po włosach i mówiłam, żeby się nie martwiła. Powiedziałam, że od dziś jesteśmy przyjaciółkami i że zawsze może na mnie liczyć – wspomina Geeta.

Zanim doszło do tego spotkania, Maya – matka czworga dzieci – latami cierpiała bez niczyjej pomocy. Jej kłopoty zaczęły się, kiedy pierwszy mąż, który z zawodu był kornakiem, opiekunem słoni, został zdeptany na śmierć

przez jednego ze swych podopiecznych. Brat zmarłego zaproponował jej małżeństwo, uwalniając tym samym Mayę od typowych kłopotów, które spotykają indyjską wdowę – wzmożonej przemocy pod dachem teściów lub nawet przymusowej wyprowadzki z ich domu. Dopiero później Maya zdała sobie sprawę, że propozycja szwagra była w rzeczywistości intrygą teściowej, pragnącej odzyskać kawałek ziemi, który Maya odziedziczyła po mężu. Po ślubie ziemia gładko przeszła na własność drugiego męża, a kiedy już kobieta utraciła swą jedyną własność, wypędzono ją na ulicę. Teściowa rzekomo groziła jej, że jeżeli wróci, obleje ją zrącem kwasem. Była to częsta groźba stosowana wobec kobiet w głębi kontynentu.

Teściowa, chcąc odzyskać spadek należny Mai po mężu, zmusiła również synową do przyjęcia środków poronnych, kiedy okazało się, że ta jest w ciąży z drugim mężem. Starsza kobieta nie życzyła sobie, by ktokolwiek – nawet jej przyszły wnuk – mógł nabyć prawa do ziemi po pierwszym, tragicznie zmarłym synu. Po jednej z wielu podobnych, brutalnych konfrontacji z teściową, poturbowana Maya zwróciła się o pomoc do Gangu.

– Myślałam, że w życiu spotka mnie jeszcze dużo dobrego, ale teraz mam same problemy – mówiła ze łzami, a Geeta próbowała ją pocieszyć. Następnego dnia zwołała wszystkie członkinie swego świeżo zwerbowanego Gangu. Ubrane w różowe sari kobiety z *laathi* w rękach, wykrzykując, otoczyły dom teściów Mai. Geeta, wspierana przez resztę kobiet, wysunęła się naprzód i zagroziła, że wróci tu z tysiącami innych kobiet i że wspólnie zmiotą chatę z powierzchni ziemi, jeśli teściowa Mai nie przyjmie jej z powrotem pod dach i nie zostawi w spokoju. W obliczu druzgoczącej przewagi przeciwniczek starsza kobieta zmieniła front i na oczach zebranych kobiet przeprosiła synową. Obiecała, że nigdy już nie uczyni jej krzywdy i, pod pełnym oczekiwaniem spojrzeniem wielu dziesiątek oczu, uścisnęła płaczącą Mayę.

Od tej chwili Maya zawsze, niezależnie od pory, była do dyspozycji Geety. Różowy Gang pomógł jej odzyskać wiarę w siebie i siłę do przetrwania wszelkich trudności.

– Bóg dał mi ręce i nogi. Nie muszę już cierpieć. Potrafię się o siebie zatroszczyć – mówi teraz Maya.

W nocy 4 stycznia Geeta i Maya jechały razem na rowerze, by rozesłać wici o zaplanowanym na następny poranek masowym proteście w sprawie



Sheelu. O tym, ile kobiet weźmie udział w danym proteście, decyduje budżet organizacji, gdyż koszty przejazdu i wyżywienia pokrywają same członkinie i szefowe dystryktów. Średnio licząc, udział stu kobiet w proteście, wraz z dojazdem w tę i z powrotem, to koszt około pięciuset rupii.

– Jeśli nie mamy pieniędzy, wysyłamy mniej kobiet – opowiada Geeta o finansowej stronie akcji Różowego Gangu. Jeśli kobietom się poszczęści, na większe protesty dojeżdżają pojazdami użyczonymi przez życzliwe im instytucje. Zdarzało się, że Różowy Gang podróżował na przyczepach traktorów, starymi karetkami pogotowia lub wycofanymi z użytku autobusami szkolnymi.

Choć kobiety muszą same pokryć koszt dojazdu autorikszą z wioski na stację kolejową, to podróżując pociągiem w większej grupie, często nie płacą za przejazd.

– Konduktorzy nie proszą nas o bilety. Za bardzo się boją – chichocze Geeta.

To Sampat nauczyła ją tej sztuczki.

– Jeśli jedziemy walczyć o kobietę, musimy wsiąść do autobusu. Stawiamy więc dziesięć kobiet na poboczu. Zatrzymujemy autobus i jedziemy na gapę. A jeśli kierowca nie chce nas wziąć, blokujemy drogę – opowiada i dodaje, że kierowcy autobusów zwykle chętnie je przyjmują. „To Sampat Pal z Różowego Gangu? Okej, w porządku, w porządku”. I pozwalają nam wsiąść. Stanowimy siłę. Jeśli jest nas, kobiet, powiedzmy sto, kierowca nie może nas powstrzymać. Słyszymy wtedy: „Wsiadajcie, dokąd to Różowy Gang się dziś wybiera?”. Dawniej było naprawdę trudno. A dziś, jeśli przy drodze stoi kobieta w różowym sari, pytają tylko: „Szanowna pani, dokąd pani sobie życzy?”. Pracujemy przecież dla dobra społecznego. Robimy dobre uczynki – mówi Sampat.

Geeta i Maya poinformowały resztę kobiet, że mają się stawić o szóstej rano na dworcu autobusowym w Chitrakoot. Stamtąd zostaną dowiezione autorikszami na stację kolejową, gdzie wsiadą do pociągu do Bandy. Choć w Indiach spóźnianie się na spotkania jest na porządku dziennym, w Różowym Gangu obowiązuje punktualność.

– Kobiety nigdy nie spóźniają się na wiece. A nawet przychodzą wcześniej niż trzeba – mówi z dumą Geeta.

Prócz Geety i jej podwładnych z Chitrakoot, do Bandy z różnych stron stanu podróżowało jeszcze siedem szefowych dystryktów ze swymi podwładnymi. Wszystkie miały wziąć udział w pikiecie 5 stycznia. Podróż, jak zwykle, była głośna. Kiedy Gang wsiada do pociągu, pasażerowie wykręcają szyje, byle tylko zobaczyć najsłynniejsze postaci Bundelkhandu.

– Patrzcie, patrzcie, to Różowy Gang – szepczą.

Ci, którzy mają komórki z aparatem fotograficznym, robią zdjęcia. W indyjskich pociągach podróżnym nie brakuje rozrywki. Mistycy suficy wykonują *qawwali* (muzykę dewocyjną), grając na harmonium i wydobywając z głębi brzucha charakterystyczne dźwięki. Eunuchowie proszą o jałmużnę i grożą, że jeśli jej nie dostaną, uniosą spódnice. Kiedy jednak pociągiem jedzie Różowy Gang, to nikt nie może z nim konkurować, jeśli chodzi o urozmaicenie podróży.

Siedząc w zatłoczonym wagonie, kobiety z Gangu zaczęły rozgrzewać struny głosowe przed czekającym je całym dniem wznoszenia okrzyków. Szefowe okręgów prowadziły skandowanie, podając hasło, na które ich podwładne odpowiadały w ustalony z góry, odpowiedni do celu pikiety, sposób.

– *Gully gully mein shor hai, Naraini Vidhayak chor hai!* Z ulicy na ulicę niesie się wieść, że poseł z Naraini to złodziej! *Gulabi Gang Zindabad! Zindabad! Zindabad!* Niech żyje Różowy Gang! Niech żyje! Niech żyje! *Dwivedi Vidhayak Murdabad! Murdabad! Murdabad!* Precz z Dwivedim! Precz! Precz!

Wysiadłszy z pociągu, od razu wmieszały się w tłum innych członkiń Różowego Gangu, które już przyjechały z pobliskich dystryktów. Kiedy kobiety wysiadały, drzwi wagonów przypominały otwarte rany, z których sączą się bladoróżowe strużki krwi. Wiele kobiet miało przy sobie kije, też pomalowane na różowo. Niektóre niosły na głowach pakunki z prowiantem.

Sampat oczekiwała ich na peronie. Z dumą patrzyła na swój Gang. Kiedy zebrały się wszystkie grupy, stację zalewało falujące, różowe morze, a od ścian budynków dworca odbijały się echem bojowe okrzyki.

– Perony wypełniały setki kobiet. Było ich tyle, że policja nie kryła zdumienia. Całe miasto nie mówiło o niczym innym – wspomina Sampat, która tę noc spędziła właśnie na dworcu wraz z Babujim i przybyłymi poprzedniego dnia późną nocą kobietami z miasta Orai.

– Było bardzo zimno. Wszystkie przywiozły ze sobą koce i jedzenie, butelki

z wodą. Jedna wzięła *sabzi poori* – warzywa ze smażonym w głębokim tłuszczu płaskim chlebkiem, inna – *lai*. Miały zapasy na dwa dni. Były przygotowane na długotrwałą bitwę – mówi Sampat.

Zgodnie z wcześniejszym planem kobiety z Orai miały przenocować w tanim pensjonacie blisko stacji, ale Sampat zmieniła decyzję, bo „ze strachu przed posłem nie chciano mnie widzieć w żadnym domu”. Babuji wybrał się do pensjonatu Jain Dharamshala, by zapytać o wolne pokoje.

– Właściciel zapytał, czy chodzi o Różowy Gang. Poinformowaliśmy go, że organizujemy protest i szukamy miejsca, gdzie kobiety mogłyby przenocować. On na to, że niestety nie ma wolnych pokoi. Wiedziałyśmy, że kłamał – mówi Sampat.

Pierwszego dnia protestów Różowy Gang przemaszerował ulicami miasta. Sampat szła na czele, z szefowymi dystryktów u boku. Nie chciała, by Babuji rzucił się w oczy podczas manifestacji, i kazała mu trzymać się z tyłu. Sampat wciąż obawia się, że mężczyźni towarzyszący kobietom w czasie publicznych zgromadzeń są znacznie bardziej narażeni na brutalność policji, jeśli tylko można ich posądzić o przywództwo. Tego dnia było zimno. Rano padało, więc na ziemi zrobiło się błoto. Kilkanaście kobiet poślizgnęło się, upadło i ubrudziło sari. Jedna z nich, zawstydzona upadkiem, podniosła się, otrzepała i obracając sytuację w żart, wypaliła:

– Nie jestem nawet w połowie taka brudna jak sumienie Dwivediego!

Kobiety zatrzymały się na Ashok Lad – położonym w pobliżu sądów niewielkim placu, przeznaczonym specjalnie do organizacji wszelkiego rodzaju wieców i manifestacji. Pośrodku Ashok Lad stoi kapitel Ashok Lion – kolumna w kolorach flagi indyjskiej z czterema posągami lwów – godłem narodowym Indii – na szczycie. Pod godłem znajduje się kamienna tablica upamiętniająca poległych w walce o niepodległość Indii.

Po obu stronach Ashok Lad stoją potężne betonowe filary, które w przyszłości mają podtrzymywać wiadukt. Na razie ze wszystkich stron sterczą z nich stalowe pręty. Na poboczu tłoczą się sprzedawcy warzyw. Kierowcy riksów rowerowych, piesi, rowerzyści, włączając się krowy, bezdomne psy, samochody i motorowery konkurują między sobą o każdy skrawek ulicy. Misternie poukładane w piramidy młode bakłażany, pomidory i ogórki sprawiają wrażenie, jak gdyby w każdej chwili miały runąć, pchnięte przez napierający ze wszech stron tłum.

Na Ashok Lad Sampat odwróciła się twarzą w stronę kobiet i krzyknęła do nich, by usiadły na przylegającej do placyku ulicy i zablokowały ruch. Ponieważ po porannym deszczu asfalt wciąż był mokry, kobiety przykucnęły. Młodsze pomogły starszym, które z trudem, powoli przysiadły w kucki. Kiedy wszystkie się usadowiły, zabrzmiała pieśń wolności, której nauczyła je Sampat.

Kierowcy motorowerów i samochodów, którzy w Indiach i tak trąbią dużo więcej niż trzeba, nie zdejmowali rąk z klaksonów. Trąbienie co najmniej dwudziestu pojazdów zlało się w jeden ogłuszający ryk.

– *Chalo! Chalo!* – krzyczał jakiś niecierpliwy motocyklista, stojący na samym początku zatoru. – Kobiety, ruszcie się!

Sampat i reszta ani drgnęły. Na przekór pomstującym kierowcom podniosły do góry kije, skandując:

– *Shee-lu Zin-da-bad!* – Niech żyje Sheelu! *Gu-la-bi Gang Zin-da-bad!* – Niech żyje Różowy Gang!

Korek sięgał już po horyzont. Zebrał się też spory tłum gapiów, ciekawych przyczyny zamieszania.

– Nie pozwólcie niewinnym córkom siedzieć w więzieniu! – nawoływały kobiety. – Uwolnić Sheelu! – krzyczała Sampat. – Uwolnić Sheelu! – odpowiadał żywiołowo jej Gang.

Następnie wstały i znowu skierowały się w stronę więzienia, gdzie przetrzymywano Sheelu. Kiedy maszerowały, starając się mimo dojmującego chłodu zachować pełen optymizm, Geeta zapytała Sampat, czy mogłyby zatrzymać się w świątyni Hanumana, by złożyć ofiarę. Wiele członkiń Różowego Gangu czciło małe bóstwo i wierzyło, że może ono pobłogosławić manifestację i zapewnić jej sukces. Sampat zgodziła się, wiedząc, że świątynia leży po drodze i że mają wystarczająco dużo czasu.

Świątynia Hanumana pomalowana była na kolor pudrowy. Wejście tworzył ogromny łuk, na którym siedział Hanuman w koronie i girlandzie, z uniesioną w powitalnym geście prawą ręką. Na dziedzińcu kompleksu świątyni wisiały plakaty przedstawiające polityków z dłońmi złożonymi w geście szacunku i czci wobec bóstwa.

Świątynia nie była duża. Większość kobiet została więc na zewnątrz, a Sampat z kilkoma towarzyszkami weszła do środka, by w ich imieniu złożyć ofiarę z kadzidełka i *landu*. Wręczyły ją kapłanowi, czyli *pujari*, który z kolei

złożył ją u stóp bożka. Po chwili otrzymały część ofiary, teraz już pobłogosławionej przez Hanumana, z powrotem, podzieliły ją między siebie i każda zjadła po kawałku.

Wzmocnione na duchu, pomaszerowały dalej w stronę więzienia. Kiedy przybyły, czekało tam już wielu dziennikarzy, których zwabiła sensacja Różowego Gangu. Kobiety zatrzymały się przed największą z bram więzienia, zamkniętą i chronioną przez dwóch uzbrojonych strażników.

Sampat podeszła do jednego z nich i uprzejmie poinformowała, że przyszła zobaczyć się z Sheelu. Strażnik nie wpuścił jej. Wezwano strażnika więziennego V.K. Singha.

– Oto nasze żądania! – poinformowała go Sampat. – Przesłuchać vidhayaka. Natychmiast zakończyć sprawę Sheelu. Jak najszybciej uwolnić dziewczynę i wypłacić jej dziesięć *lakh* rupii – milion rupii – odszkodowania – wyliczyła, po czym wręczyła strażnikowi żądania Różowego Gangu na piśmie. Taką samą kartkę z żądaniami zatknęła na bramie.

Następnym punktem manifestacji była wizyta u pana Tripathi, zastępcy naczelnika policji. Od czasu aresztowania Sheelu Sampat bywała u niego regularnie, naciskając, by dokładniej przyjrzał się zarzutom wobec dziewczyny. Ten za każdym razem przyjmował Sampat i uprzejmie wysłuchiwał jej żądań, ale po kolejnej obietnicy, że zbada okoliczności uwięzienia Sheelu, Sampat straciła do niego cierpliwość.

Sampat zapowiedziała podwładnym, że kolejny przystanek na trasie będzie polegał na „wiecu *thoo-thoo*”, czyli manifestacji z wykorzystaniem plucia, na co wskazuje sama onomatopeja.

– Policja jest bezużyteczna. Nie słucha nas. Jeśli użyjemy siły, wpakujemy się w tarapaty. Postanowiłam więc narobić im wstydu. Ogłosiliśmy, że nie odezwiemy się do funkcjonariuszy ani słowem, po prostu oplujemy im ściany – mówi Sampat ze śmiechem. Babuji wymyślił również ulotki poniżające szefa miejscowej policji.

– Porozwieszaliśmy na ścianach plakaty głoszące: „Nie jesteś naczelnikiem, nie zasługujesz na tę pracę, nie jesteś mężczyzną”.

W trakcie swej pracy na rzecz sprawiedliwości społecznej Sampat często posługiwała się taktyką poniżania. W 2006 roku zorganizowała pikietę z psami. Przeszła wtedy w towarzystwie swego nowo powstałego Gangu, który przyprowadził ze sobą dziesiątki psów ulicą Bisanda na posterunek

policji w Atarze. Tam oznajmiła, że ponieważ policja jest bezużyteczna i skorumpowana, powinna ją zastąpić „psia policja”, która sprawdzi się „lepiej niż ta, którą mamy teraz”. Innym razem Sampat zorganizowała dużą puja – hinduską ceremonię modlitewną, podczas której kobiety prosiły bogów, by przywrócił zdrowie umysłowe dowódcy policji Vikramowi Singhowi. Człowiek ten oskarżył wcześniej Sampat o to, że należy do naksalitów – ekstremistycznego ugrupowania maoistowskiego.

Wkrótce po tym, jak kobiety rozpoczęły protest z wykorzystaniem plucia, zastępca naczelnika zaczął upierać się, by weszły do środka rozstrzygnąć spór. Mimo postawionego przez niego warunku, że wejść mogą tylko dwie osoby, Sampat zabrała ze sobą do środka wszystkie szefowe dystryktów. Zażądała odpowiedzi na serię pytań – począwszy od tego, dlaczego niezwłocznie po uwięzieniu Sheelu nie przeprowadzono badań lekarskich, a skończywszy na tym, dlaczego aresztowano ją nocą, co jest wbrew przepisom. Sampat twierdzi, iż zastępca naczelnika przyznał, że „wobec Sheelu postąpiono bezprawnie”, ale uprzedził, że nie może zająć stanowiska przeciw „nieuczciwym politykom”. Sampat nie zadowolili taka wymówka.

– Powiedziałyśmy: załóżmy, że jutro kto inny obejmie rządy. Komu pan służy: prawu czy rządzącym? – przypomina sobie Sampat.

Zastępca naczelnika zażądał podobno, by kobiety przestały pluć i zdjęły ośmieszające go plakaty. Dodał, że jeśli będą kontynuowały swoją akcję, „jemu również łatwiej będzie podjąć stosowne działania”.

Szpital państwowy w Bandzie mieścił się w jednopiętrowym betonowym budynku, pomalowanym na spłowiały brzoskwiniowy kolor. Na asfalcie przed wejściem siedzieli pacjenci z nadzieją, że zostaną przyjęci na leczenie. Naprzeciwko nich, na opustoszałym parkingu, szwendały się, poszczekując, bezpieczne psy. Inne spały pod wrakami wycofanych z użytku karettek pogotowia.

Mroczne, duszne wnętrze szpitalnego holu przenikała atmosfera rozpacz i beznadziei. Na plastikowych krzesłach siedzieli z chusteczkami przy ustach i nosach członkowie rodzin chorych. Ci z kolei czekali na badanie lekarskie na porozkładanych bezładnie na podłodze matach.

Do tego ponurego, pogrążonego w letargu pomieszczenia wkroczyło kilkadziesiąt kobiet z Różowego Gangu. Domagały się informacji, gdzie mogą znaleźć dr Bhavnę Sharmę – kobietę, która odmówiła zbadania Sheelu. Nagle

ciemny i wąski hol wypełnił się ludźmi. Zapanował chaos – stojące za Sampat kobiety czekały na polecenia, niecierpliwie ściskając w dłoniach swe *laathi*. Sampat wahała się – nie wiedziała, gdzie szukać lekarki, która dopuściła się naruszenia zasad.

Przed akcjami Różowego Gangu nie planuje się i nie omawia ich strategii. Sampat nie zbiera szefowych dystryktów, by ustalić z nimi szczegółowy plan działania. Nie patrzy im w oczy i nie mówi: „Mitu, chcę, żebyś prowadziła skandowanie na tyłach kolumny” czy „Geeta, dopilnuj, byśmy nie zapomnieli o tym czy o tamtym”. Sampat po prostu rzuca się w wir wydarzeń i podejmuje decyzje na bieżąco. Ślepo lojalny Gang bez namysłu wykonuje jej polecenia.

W szpitalnym holu na chwilę zapanowała cisza. Wtedy Sampat natychmiast odwróciła się do kobiet, by zagrzać je do boju.

– Niech żyje Różowy Gang! – zawołała. – Precz z doktor Bhavną! – krzyknęła, unosząc pięść.

– Precz z nią, precz! – podchwycił jednogłośnie gang.

Tłum pacjentów i ich krewnych daleki był od narzekania na hałas. Jedni siedzieli pogrążeni w apatii, inni gestem i słowem zapewniali wsparcie.

– Siostró, mnie również skrzywdzono – powiedziała jedna z kobiet, podchodząc do Sampat. – Od wielu dni nie możemy uzyskać pomocy. W ogóle nie obchodzą lekarzy. Traktują nas jak psy – lamentowała. Inni przytakiwali jej, kiwając głowami.

– Wszyscy państwowi lekarze handlują na boku lekarstwami! Lekarstwa są przeznaczone dla biednych, ale czy ktokolwiek z was widział je kiedyś na oczy? – pytała Sampat, wodząc wzrokiem po zlekceważonym tłumie chorych.

– Nie, siostró – ktoś odpowiedział. – Masz rację! Nigdy ich nie dostajemy!

– Powiedz, dlaczego sprzedają te lekarstwa? – zapytała znowu Sampat, oczekując odpowiedzi od słuchaczy, ale nie wytrzymała i uprzedziła ich. – Bo są zachłanni, niezadowoleni ze swoich zarobków! – wykrzyknęła z kaznodziejskim zapałem.

Umiejętność rozpalania ducha w słuchaczach, którą posiada Sampat, często odbija się rykoszetem. Pewnego razu udała się do szpitala w Fatehpur z zamiarem publicznego wystąpienia przeciwko lekarzom, którzy odmówili pomocy choremu kierowcy rikszy. Jeden z nich próbował – bez sukcesu – przekupić Różowy Gang, by zaniechał akcji.

– Jeśli nic nie zrobimy, on umrze, Sampat-ji – w panice mówiła przez telefon Sushila, szefowa dystryktu Fatehpur.

Kiedy Sampat pojawiła się w szpitalu, dodała odwagi oczekującym tam godzinami lub zlekceważonym, źle potraktowanym pacjentom. Jedna z kobiet – krewna chorego, który nie został przyjęty do szpitala – rozgniewana rzuciła się na obecnego podczas protestu lekarza, przez co wpakowała Sampat w kłopoty. Ostatecznie kierowca rikszy otrzymał jednak należną pomoc i opiekę.

– Okazało się, że człowiek ten był sierotą. Teraz twierdzi, że od tamtego dnia jestem dla niego jak matka – mówi Sampat z dumą.

W końcu, po krótkiej rozmowie z tłumem, ktoś wyszedł do Sampat ze wskazówkami, jak trafić do gabinetu dr Bhavny.

– Chodźmy więc! Wysłuchajmy, co ma do powiedzenia! Może są jakieś powody, dla których zachowała się tak, a nie inaczej? – zawołała Sampat, oczywiście nie całkiem serio. Kiedy dotarła pod wskazane drzwi, okazało się, że są zaryglowane od środka.

– Doktor Bhavna? Jest pani tam? – zapytała Sampat, stukając do drzwi. – Czego pani się tak boi? Przecież nie zrobiła pani nic, czego trzeba się wstydić, prawda? Jeśli rzeczywiście tak było, to dlaczego pani się ukrywa? Przyszliśmy tylko porozmawiać. Chcę usłyszeć, co pani ma do powiedzenia – ciągnęła Sampat.

Nie było żadnej odpowiedzi.

– Nie odjedziemy stąd, więc proszę wyjść, kiedy pani uzna za stosowne. Zostajemy tu. Prawda? – zapytała głośno, odwracając się do zgromadzonych za swymi plecami kobiet.

– Nigdzie nie idziemy! – krzyknęły w odpowiedzi.

– Miejcie dla mnie miłosierdzie! – pisnął głos zza drzwi.

– Proszę wychodzić, proszę przestać się chować! – odparła Sampat.

Lekarka wyszła ze skrzyżowanymi w obronnym geście ramionami.

– Dlaczego wcześniej nie wykonano Sheelu badań lekarskich? – zagrzmiała Sampat.

– To nie moja wina – pisnęła lekarka.

– Och, rozumiem. Może w takim razie moja? – warknęła Sampat, wywołując chichot wśród gapiów.

– Ja nic nie wiem! Czego ode mnie chcecie? – zapytała lekarka podniesionym głosem.



– Chcemy, aby właściwie wykonywała pani swoją pracę. Uczciwie, słyszy pani? Widzi pani tych ludzi? Wszyscy na panią narzekają. Na panią i na całą resztę lekarzy. Nie ma pani wstydu, żeby traktować ludzi w ten sposób? – ciągnęła Sampat.

Zanim lekarka zdążyła odpowiedzieć, Sampat machnęła ręką i wyprowadziła kobiety ze szpitala.

– Skończyliśmy z nią. Już zrozumiała, o co chodzi, prawda? – spytała groźnie.

– Tak, tak... oczywiście, siostró – odparła dr Bhavna i zatrzęsnęła drzwiami przed nosem wciąż wyczekującego tłumu.

# *Rozdział ósmy*

## **WALKA O SHEELU**

Z HISTORII SHEELU ZROBIŁA SIĘ GRA POLITYCZNA.

– „*Hindustan*”, 5 stycznia 2011

Piętnasty stycznia 2011 roku powinien zyskać miano najszcześniejszego dnia w roku dla pani Mayawati – premier stanu Uttar Pradeś. Był to dzień jej pięćdziesiątych piątych urodzin. Jak przystało na polityka, który ozdobił stolicę stanu – Lakhnau – niezliczonymi pomnikami własnej osoby, pani Mayawati „dla dobra ludu” ogłosiła ten dzień Dniem Dobrobytu. Święto postanowiono obchodzić z należną pompą. Częścią obchodów miało zaś być ujawnienie sześciuset projektów rządowych.

Pani premier planowała na ten dzień inaugurację inicjatyw rządowych, których łączny budżet wynosił czterdzieści miliardów rupii, czyli siedemset dwadzieścia sześć milionów dolarów, przeznaczonych według jej słów „na rzecz biednych i ciemżonych”. Obejmowały one między innymi pomoc finansową dla rodzin walczących z niedostatkiem, środki na usprawnienie opieki medycznej na terenach wiejskich, a także uwolnienie starych bądź chorych więźniów. Kilkanaście agencji rządowych – w tym Agencja Rozwoju Lakhnau, Rada Miejska Lakhnau i Departament Robót Publicznych Uttar Pradeś – otrzymało zadanie przygotowania miasta na ten dzień. Podpisano umowy z firmami z New Delhi, które miały iluminować pomniki, ogrody i skrzyżowania. Zatrudniono „ekspertów” do udekorowania kwiatami pomników przywódców z kasty dalitów, w tym również pomników samej Mayawati. Dla pani premier upieczono dwa torty, z których każdy ważył pięćdziesiąt pięć kilogramów – kilogram za każdy rok życia. Sporą część miasta, zwłaszcza ulice nazwane na cześć polityków z niższych kast, oświetlono i przystrojono kwiatami i wstęgami. Wezwano grupę mnichów buddyjskich, by pobłogosławili premier w tym szczególnym dniu. Wszystko to przypominało uroczystości królewskie, lecz stronnicy Mayawati wciąż uważali ją za skromną „królową dalitów”.

Nie było do końca jasne, ile kosztowały wszystkie te fanfary. Dawniej w tym dniu obowiązywała inna praktyka – członkowie partii jeździli po całym stanie, zbierając datki na organizację urodzin Mayawati. Zaprzeszono jej jednak, kiedy jeden z posłów dystryktu Auraiya, Shekhar Tiwari, torturował, a potem zamordował pewnego inżyniera, który „odmówił zapłaty datków na

organizację urodzin pani premier w grudniu 2008 roku”, w wyniku czego został aresztowany, a potem skazany na karę śmierci. Po aresztowaniu Tiwariego Mayawati ogłosiła, że „zwyczaj gromadzenia funduszy na organizację moich urodzin został zaniechany i począwszy od przyszłego roku nie będzie więcej stosowany”.

Piętnastego stycznia 2011 nad obchodami urodzin pani premier zawisł cień, który nie miał nic wspólnego z pochodzeniem środków na ten cel. Mianowicie kilka dni wcześniej, 10 stycznia, ogłoszono wyniki wstępnego badania zarzutów wobec Sheelu przez Wydział Kryminalny Centralnego Biura Śledczego. Śledczy po odsłuchaniu nagrań zeznań kilkunastu osób doszli do wniosku, że Dwivedi zgwałcił Sheelu i zrobił ją w sfingowaną kradzież. O naruszenie etyki zawodowej oskarżono również policję w Bandzie. Dwunastego stycznia sąd wydał decyzję o aresztowaniu Dwivediego. Kiedy następnego dnia policjanci eskortowali go na posterunek, poseł uśmiechnął się i z niezmaconym spokojem oświadczył dziennikarzom, że „zemści się” na tych, którzy „wepchnęli go w to gówno”.

Aresztowanie Dwivediego miało miejsce zaledwie kilka dni przed uroczystymi obchodami urodzin Mayawati. W związku z tym wszystkie kanały telewizyjne, prowadzący wiadomości i komentatorzy omawiający uroczystości urodzinowe na antenie, nie mogli zignorować kontrowersyjnej afery z udziałem posła.

– Koszty urodzin Mayawati zawsze przyciągały sporo uwagi, więc premier jest przyzwyczajona do krytyki. W tym roku jednak na obchodach kładzie się cieniem fakt, że jej poseł z dystryktu Banda został oskarżony o gwałt na nieletniej dziewczynie z kasty dalitów – relacjonował NDTV, główny indyjski kanał wiadomości. Materiał na temat urodzin premier opatrzone tytułem „Depresja urodzinowa”.

Aby jeszcze bardziej popsuć pani premier urodziny, Wysoki Sąd w Allahabadzie, który sprawuje najwyższą jurysdykcję w stanie Uttar Pradeś, w trakcie uroczystości jubileuszowych podjął zadziwiającą decyzję. Otóż sędziowie wydali nakaz natychmiastowego zwolnienia Sheelu, która, mimo złożonych w jej imieniu próśb o zwolnienie za kaucją, wciąż przebywała w areszcie. W kilkanaście minut po ogłoszeniu powyższego werdyktu, kiedy Mayawati dokonywała właśnie otwarcia nowej oczyszczalni ścieków, sekretarz jej rządu Shashank Shekhar Singh zwołał nieoficjalną konferencję prasową. Ogłosił na niej, że nakaz uwolnienia niewinnej dziewczyny pochodzi

od samej Mayawati. W oddzielnym oświadczeniu na temat Dwivediego, wydanym tego samego dnia, Mayawati powiedziała: „Za rządów BSP nikomu nie wolno przejmować prawa we własne ręce. Przeciwno wszystkim, którzy tak postąpią – niezależnie od pozycji i funkcji tych osób – zostaną podjęte ostre kroki”.

Niektórzy zauważyli z drwiną, że choć pani premier wydała swe oświadczenie po nakazie sądu, to „dawało ono do zrozumienia, że wypuszczenie niesłusznie uwięzionej dziewczyny na wolność było dobroczynnym gestem, wykonanym przez premier w dniu swych urodzin”, jak napisał jeden z dziennikarzy. Mayawati nie była jednak jedyną, która próbowała przypisać sobie wygraną Sheelu. W nadchodzących dniach walka o to, do kogo „należało” zwycięstwo Sheelu, miała stać się jeszcze bardziej zażarta.

Sampat otrzymała informację o zwolnieniu Sheelu z więzienia od Amita.

– Odniosłaś sukces w walce. Rząd się ciebie boi i zwolni Sheelu. Sampat-ji, wygrałaś, bo wzbudziłaś wielkie poruszenie tą sprawą – powiedział jej przez telefon. Odkąd Różowy Gang rozpoczął manifestacje w Bandzie, minęło dziesięć dni. Sampat była zadowolona zwłaszcza z tego, że nie doszło do zwolnienia Sheelu za kaucją „jak przestępcy”, ale że wszelkie zarzuty przeciw niej zostały wycofane.

– Ty również pomogłaś Sheelu – powiedziała Sampat do przyjaciela. – Publikowałaś prawdziwe informacje i nie uległaś niczyjej presji. Spójrz tylko, jak zachowała się reszta mediów. Wszystkie były w rękach przestępczych. Przecież niektórzy dziennikarze chcieli nawet nas zastraszyć! – dodaje, wspominając zawołane pogróżki ze strony dziennikarza „Dainik Jagran”. Sampat nie była odosobniona w swojej opinii na temat rzetelności pracy Amita. Po pamiętnym grudniu, dzięki publikacjom na temat sprawy Sheelu, jego gazeta zyskała pięciuset nowych czytelników.

Sampat czuła się dumna z powodu swoich zasług na rzecz uwolnienia dziewczyny.

– Najpierw my zaczęliśmy walczyć w sprawie Sheelu. Dopiero po nas włączyły się do protestu wszystkie partie polityczne. Na początku nikt oprócz mnie się za nią nie wstawił. Ostatecznie ci, którzy przedtem byli niezadowoleni z vidhayaka, cieszyli się, że Sampat Pal zrobiła kawałek dobrej roboty – mówi.

Lokalne stacje telewizyjne, które w poprzednich miesiącach ograniczyły

materiały na temat Różowego Gangu z powodu nieporozumień z Sampat, teraz wznowiły programy poświęcone działaniom i protestom grupy. Nie mogłyby przecież nadać niczego dotyczącego Sheelu, pomijając udział Sampat.

Po konsultacji z Amitem Sampat skontaktowała się z szefowymi dystryktów odpowiedzialnymi za zebranie swych podwładnych na manifestację 15 stycznia – Mitu Devi, szefową dystryktu Banda, i Suman Singh, szefową dystryktu Mahoba. Przez ostatnich dziesięć dni członkinie Różowego Gangu z dziesięciu dystryktów protestowały niemal bez przerwy, nie zwalniając nacisku na władze, ale by nie przeciążać kobiet, Sampat podjęła decyzję o rotacyjnym udziale w manifestacji. Dzięki temu poszczególne dystrykty Gangu mogły manifestować i odpoczywać na zmianę.

W dniu zwolnienia Sheelu na plac przed więzieniem, który powoli zapełniał się grupami przedstawicieli poszczególnych partii, dziennikarzami i przechodniami, przybyło około pięćdziesięciu członkiń Różowego Gangu. Na czele grupy szła Sampat w ciemnoczerwonym sari (różowe musiało już iść do prania) i czarnym swetrze, zarzuconym na ramiona. Jej czarne włosy związane były w koński ogon, a złoty kolczyk w nosie lśnił w popołudniowym świetle, kiedy nabierała powietrza przy okrzyku. Po jej prawej ręce kroczyła Suman Singh w blad różowym *salwar kameez*. Sampat pozwoliła Suman – szefowej dystryktu, z którą miała trochę na pieńku, prowadzić skandowanie. Suman wykrzykiwała slogan, a kobiety odpowiadały.

– Sprawiedliwy policjant to nasz brat! Policjant, który nie szanuje kobiet, do niczego się nie nadaje! Żądamy sprawiedliwości dla Sheelu! Żądamy kary dla przestępcy! – krzyczała Suman głosem ochryłym z wysiłku.

– Żądamy kary! Żądamy kary! – odpowiadały członkinie Gangu. Słysząc było, że gardła wielu z nich są schrypnięte i obolałe, zapewne z zimna i od długotrwałego wyęźniania głosu.

Suman, podobnie jak inne kobiety, pomiędzy okrzykami masowała sobie gardło. W czasie dwutygodniowej kampanii kobiety niewiele jadły.

– Przez cały ten czas nie jadłam porządnego obiadu. Kiedy wracałam do domu, było za późno na jedzenie, poza tym nic już nie zostawało. W dzień piłam soki i coś jadłam. Ale nie czułam głodu. Czułam ból wewnętrzny, że władze nie chcą nas słuchać, a biedni są tak niesprawiedliwie traktowani – wspomina Sampat.

Kiedy Sampat, a za nią cały Gang, zatrzymali się przed bramą więzienia, dziennikarze i gapie utworzyli wokół nich ciasny krąg. Sampat wzięła udział w improwizowanej konferencji prasowej. Wyraziła swą wściekłość na Dwivediego za publiczne pogróżki wobec oponentów i knucie intryg, w wyniku których wylądował w więzieniu.

– Dwivedi mówi „zemszczę się na wszystkich z partii i na wszystkich, którzy maczali w tym palce”. Jak się zemścisz, ciekawa jestem? Lepiej zmień zwyczaje, o wiele lepiej na tym wyjdiesz! Z jakiego powodu miałbyś się mścić? Przecież to ty jawnie popełniłeś przestępstwo! – krzyczała do otaczających ją dziennikarzy.

Nie tylko Sampat przyciągała uwagę dziennikarzy. Nieopodal, przed wejściem do więzienia, zgromadzili się inni protestujący. Większość przyszła tu pod wodzą polityków, wymachując flagami i skandując slogany. Łączyło ich jedno – okrzyk: „Precz z Mayawati! Precz z vidhayakiem z Naraini!”. Członkowie partii Samajwadi, prowadzeni przez Vishambhara Nishada (tego samego, który złożył wniosek o zwolnienie Sheelu za kaucją), wymachiwali czerwono-zieloną flagą z symbolem partii – rowerem. Obok nich stali hinduscy konserwatyści z partii BJP, a nad ich głowami powiewały flagi z lotosem. Klaskali i wznosili płomienne okrzyki „Precz z Mayawati” z takim zapałem, że w pewnej chwili kobieta (tego dnia wszystkie partie wypchnęły na czoło działaczki płci żeńskiej), która prowadziła skandowanie, wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć z wysiłku. Obok grupy z BJP zgromadziła się garstka miejscowych członków Indyjskiego Kongresu Narodowego z flagą w narodowych kolorach Indii i symbolem partii – otwartą dłonią, robiąc wszystko, by nie przysłonili ich inni aktorzy występujący na scenie przed więzieniem.

– Byli z nami ludzie z Kongresu, pracowaliśmy ramię przy ramieniu – mówi Sampat. Choć inne partie posądzała o oportunizm, to troskę Kongresu o dobro Sheelu uważała za szczerą i właściwą, zwłaszcza że Kongres był partią wiodącą koalicji rządzącej.

Ze wszystkich partii politycznych, zgromadzonych tego dnia przed budynkiem więzienia, największe zasługi dla uwolnienia Sheelu przypisywała sobie partia Samajwadi pod przywództwem Vishambhara Nishada. Kiedy grupa pięćdziesięciu mężczyzn z tej partii, prowadzona przez jedną przypadkową kobietę, wykrzykując hasła przeciw Mayawati, podeszła pod więzienie, Nishad w czasie krótkiej konferencji prasowej wyraził swoją opinię

na temat okoliczności uwolnienia Sheelu.

– Partia Samajwadi protestowała przed więzieniem, a Achchhe Lal, ojciec Sheelu, napisał list do ministra. Na tej podstawie stwierdzono, że Sheelu jest niewinna i została niesłusznie oskarżona o kradzież.

Następnie Nishad wygłosił niepochlebłą opinię na temat głowy gabinetu ministrów.

– Sheelu, mimo że była niewinna, od miesiąca tkwi w więzieniu, gdy tymczasem Mayawati obchodzi urodziny i kroi tort.

Konferencję prasową zakończył stwierdzeniem, które sprawiło, że w Sampat krew się zagotowała.

– Dziękuję mediom i wszystkim innym, którym na sercu leżała sprawa Sheelu. Od dziś partia Samajwadi przejmuje opiekę nad tą dziewczyną.

Krążyły pogłoski, jakoby Nishad zaproponował Sheelu mieszkanie na wybudowanym przez rząd osiedlu. Zrobił to poprzez jej brata Santoo, który później to potwierdził. Sampat postanowiła, że nie pozwoli szukającym zasług politykom wykorzystywać Sheelu i dopilnuje, by dziewczyna wróciła wraz z ojcem do domu. Doszła do wniosku, że Achchhe mimo swych licznych wad zaopiekuje się nią lepiej niż politycy.

Mijały godziny, a wciąż nie było wiadomo, kiedy dziewczyna zostanie faktycznie wypuszczona. Ochłodziło się i ściemniło. Sampat zasugerowała kobietom z Gangu, by rozeszły się do domów.

– Sądzę, że chcą ją wypuścić dopiero, kiedy odejdziemy. Dlatego tak zwlekają – zgadywała. – Ale ja się stąd nie ruszę, dopóki jej nie zobaczę – powiedziała do Mitu, Suman i kilku innych. Razem z Sampat postanowili czekać Babuji i Lakhan, a także dziennikarze, ciekawscy gapie i członkowie partii, którzy wyczerpali już cały zasób sloganów i wywiadów, jakich byli w stanie udzielić w ciągu jednego dnia.

Na scenie brakowało tylko jednej osoby – Rajju. Nie było go wśród stojących u wrót więzienia, by powitać ukochaną. Ponieważ odmawiano mu widzenia, zaniechał wszelkich prób kontaktu z Sheelu. Jeśli rzeczywiście wcześniej łączyło ich uczucie, to z całą pewnością wygasło ono w chwili, kiedy Rajju pokazał się u boku Dwivediego, co zrobił, jak twierdziła później Sheelu, w zamian za konkretną kwotę. Dwudziestego czwartego stycznia pojawił się za to na manifestacji, organizowanej przez żonę Dwivediego Ashę i jego syna Mayanka w obronie niewinności pośła.

Wokół ponurych terenów więziennych mrugały żółte latarnie uliczne, ale

sama droga dojazdowa do zakładu karnego, jak również niewybetonowany plac przed nim, były nieoświetlone.

Po zmroku pojawili się Achchhe Lal i Santoo.

Gdy podjechali samochodem i wysiedli, zapanowało pewne zamieszanie. Achchhe wszedł za bramę więzienia, zatrzymał się jednak przed budynkiem. Kazano mu zaczekać na zewnątrz, podczas gdy Sheelu podejmie decyzję, czy chce wracać z nim do domu.

Wkrótce po przybyciu Achchhego rozpuszczono plotkę, że jest pijany. Nikogo by to nie zdziwiło, ponieważ było powszechnie wiadomo, że nie stronił od alkoholu.

– Dlatego nie wpuszczono go do więzienia. Według przepisów ludzie pod wpływem środków odurzających nie mają tam wstępu – wyjaśnił później zięć Sampat, Tirath. Atmosfera wzajemnych podejrzeń między poszczególnymi partiami gęstniała. Niektórzy, a wśród nich Sampat, skłonni byli podejrzewać, że partia Samajwadi specjalnie upoiła Achchhego, by wzmocnić przekonanie, że taki ojciec nie nadaje się na opiekuna córki. W związku z tym opiekę nad dziewczyną lepiej powierzyć samej partii.

– Partia dała mu darmowy alkohol, żeby milczał i żeby nic przeciwko nikomu nie powiedział. A gdyby przypadkiem coś powiedział, to i tak nie można było mu wierzyć, bo był pijany – twierdzi Sampat. – Nawet jeśli ojciec Sheelu pije, to nikt inny nie zyskuje tym samym prawa do opieki nad jego córką. Nie daje to nikomu prawa do czynienia zła – dodaje.

Dziennikarze powtykali mikrofony przez pręty bramy więziennej, kierując je w stronę zdenerwowanego Achchhego, i zasypali go gradem pytań:

– Co mówi Sheelu? Dlaczego nie chce z panem iść? Przecież to pańska córka! Co na to prawnik? Co ona na to? Dlaczego dziewczyna nie chce wracać z panem do domu?

Achchhe był bardzo zdenerwowany. Trzymał się za głowę i chodził w tę i z powrotem. Wykrzykiwał coś w stronę dziennikarzy, ale znaczenia jego słów nie dawało się zrozumieć.

– Chcecie znowu wepchnąć mnie w to samo gówno? – wołał pełnym desperacji, błagalnym głosem. – Chcę wracać do domu! – krzyczał do zgromadzonych po drugiej stronie bramy dziennikarzy i żyłastymi rękami chwycił się za głowę.

Sampat obawiała się, że Sheelu może dać się omamić perspektywie nowoczesnego mieszkania, które oferował jej Vishambhar Nishad. Podeszła



więc do pełniących służbę policjantów i zdradziła im swe podejrzenia.

– Vishambhar Nishad z partii Samajwadi próbuje ją nakłonić, aby poszła do jego domu! Przekonuje jej ojca i brata, że to dobry pomysł. Oddajcie Sheelu ojcu. Dziewczyna nie potrzebuje pomocy żadnych *neta* – tłumaczyła.

Policjanci wyjaśnili, że zgodnie z postanowieniem sądu „nikt prócz rodziców nie ma prawa zabrać dziewczyny” i że „sprawa jest zakończona”. Jak się jednak wkrótce okazało, droga do jej zakończenia była jeszcze bardzo daleka.

W więzieniu od wielu godzin trwały przygotowania do zwolnienia Sheelu. Na służbę stawily się dodatkowe, zwołane z całego okręgu siły policji. Oczekiwano dużego zamieszania w chwili wypuszczenia dziewczyny za bramy zakładu karnego. Policjanci w spodniach khaki i zielonych wojskowych koszulkach stali teraz beczynnie na placyku przed więzieniem i żartowali, popatrując od czasu do czasu na protestujących, którzy tak samo jak oni drżeli w nocnym chłodzie.

Tirath przez cały dzień słyszał okrzyki protestujących zza swojego biurka. I on, jak wszyscy, nie mógł sobie przypomnieć, kiedy wokół więzienia tyle się działo: telefon dzwonił bez przerwy, do starszych rangą urzędników więziennych nieustannie dobijali się dziennikarze, a wszyscy jak jeden mąż zastanawiali się, co pociągnie za sobą ta cała sprawa. Od czasu aresztowania Dwivediego wszyscy pytali, czy pracownicy więzienia, którzy wiedzieli o gwałcie popełnionym na Sheelu, a mimo to nie podjęli żadnych działań, poniosą konsekwencje. Teraz, kiedy prawnicy Sheelu postawili na swoim i sprawę przejęło Centralne Biuro Śledcze – ogólnopaństwowa agencja śledcza, a miejscowy wydział śledczy usłyszał zarzuty stronniczego działania, chaos narósł już za bardzo, by dało się zamieść wszystko pod dywan. Tirathowi wydawało się, przynajmniej tego dnia, że całe państwo obserwuje więzienie okręgowe w Bandzie.

Przesłuchania pracowników więzienia już się rozpoczęły. Ósmego stycznia doniesiono, że koleżanka Tiratha, pracownica więzienia Shahjehan Begum, ta sama, która jako pierwsza powiedziała mu o gwałcie na dziewczynie, wyznała śledczym z Centralnego Biura Śledczego, iż już tego samego dnia, kiedy Sheelu trafiła do aresztu, zgłaszała, że padła ofiarą gwałtu. Begum oraz inna pracownica więzienia nazwiskiem Rama Shankar Shukla zostały ostro skrytykowane przez dziennikarza „Indian Express” za zatajenie tego faktu.

W wywiadzie, udzielonym 17 stycznia IBNLive, Begun broniła się, mówiąc, że zgłosiła sprawę zwierzchnikom, ale została zignorowana.

– Sheelu powiedziała mi, że poseł zachował się wobec niej tak i tak. Co do słowa przekazałam to kierownikowi więzienia. On nie wziął moich słów poważnie, zaśmiał się tylko i poszedł do domu – mówiła. Twierdziła też, że kiedy nalegała, aby podjęto jakieś działania na rzecz skrzywdzonej dziewczyny, zagrożono jej utratą pracy i życia. Podobnie jak z nabrzmiałego wrzodu powoli sączy się ropa, przenikająca sprawę Sheelu bezduszość, znieczulica i korupcja miały wychodzić na jaw w ciągu najbliższych tygodni, kiedy to śledczy i media mieli stopniowo dowiadywać się o rozmiarach zaniedbań i naruszeń w więzieniu.

W końcu Sheelu trafiła do biurka Tiratha. Do jego obowiązków należało przeprowadzenie formalności związanych z wyjściem więźnia na wolność. Wtedy miał okazję po raz pierwszy przyjrzeć się jej z bliska.

– Jak wszystkich wokół, i mnie zżerała ciekawość, żeby ją zobaczyć – przypomina sobie. Tego dnia Sheelu miała na sobie *salwar kameez* w kolorze papai, a na głowie rdzawy, haftowany szal. Jej oczy promieniowały radością.

Urzednicy więzienni zapytali Sheelu, czy chce pójść do domu z ojcem, mimo że ten jest pod wpływem alkoholu.

– Przed więzieniem czeka wielu polityków, z których każdy zaprasza cię do siebie – powiedział jej jeden z nich.

Sheelu kusilo, by skorzystać z propozycji. Ponad rok wcześniej z powodu konfliktu z ojcem opuściła rodzinny dom. Nieporozumienia między nimi bynajmniej nie zostały załagodzone – przeciwnie, w ciągu ostatnich tygodni wręcz narosły. Mimo to dziewczyna postanowiła przynajmniej na razie wrócić do domu.

Kiedy wyjaśniła się kwestia miejsca jej pobytu, Tirath wstał i podszedł do metalowego *almirah*, na którym trzymał pieczęcie, artykuły piśmiennicze i formularze więzienne. Wybrał stosowną na tę okazję pieczęć z napisem *Jail Se Mukat* – „Zwolniony z więzienia”.

Przycisnął stempel do poduszki z tuszem, po czym poprosił Sheelu, by wystawiła rękę i odbił znak wolności na jej skórze – jeden raz na dłoni, a drugi od wewnętrznej strony przedramienia.

– Muszą go teraz podpisać dwie osoby – kierownik więzienia i jego zastępca. Potem trzeba go pokazać strażnikowi na bramie – wyjaśnił Tirath.

– I jesteś wolna.

Gdy Sheelu opuściła w końcu mury zakładu karnego, była już jedenasta w nocy. Mimo chłodu i późnej pory tłumy ludzi, w większości dziennikarzy i działaczy politycznych, czekały na to wydarzenie.

Pojawiła się w otoczeniu eskorty policjantów. Ci nie wypuszczali jej ze zwartego kręgu, podczas gdy trwały ostatnie przygotowania do jej odjazdu. Jakiś mężczyzna przeglądał jeszcze ostatnie strony w grubym segregatorze, najwyraźniej sprawdzając, czy wszystko się zgadza. Kiedy dał sygnał, że mogą jechać, Achchhe przyklęknął i kilkakrotnie dotknął jego stóp na znak wdzięczności, po czym chyłkiem przemknął za plecy policjantów i urzędników otaczających Sheelu. Do tej pory ojciec i córka nie nawiązali ze sobą żadnego kontaktu. Tylko Santoo z reklamówkami pełnymi ubrań siostry stał u jej boku.

Ktoś nałożył dziewczynie na szyję wieniec z kwiatów, niczym uwielbianemu politykowi. Następnie Sheelu podeszła do bramy więzienia, za którą znajdowała się szeroka, kiepsko oświetlona rzesza ludzka, wymachująca flagami, skandująca slogany i błyskająca fleszami aparatów. Wszystko zagłuszały jednak krzyki dziennikarzy.

– Sheelu, pomachaj do nas! Sheelu, właśnie wychodzisz na wolność, powiedz, jak się czujesz? Hej, Sheelu, podejdź trochę do przodu. Proszę pozwolić nam z nią porozmawiać! – sypały się ze wszystkich stron prośby, pytania i rozkazy. Dziewczyna błysnęła olśniewającym, zwycięskim uśmiechem i łaskawie machała ręką. W tamtej chwili postawą i zachowaniem rzeczywiście przypominała polityka. Kiedy jednak eskorta wyprowadziła ją za bramę, radość gwałtownie znikła z jej twarzy. W jednej chwili pochłonął ją rozwrzeszczany tłum. Dziewczyna zaczęła panikować. Kurczowo złapała się brata. Zgiełk i zamieszanie zupełnie ją przytłoczyły.

Nie tylko dziennikarze głośno walczyli o uwagę Sheelu. Robili to również przedstawiciele świata polityki.

– Kiedy Sheelu wyszła na wolność, przed więzieniem czekali wszyscy *neta* i przekrzykiwali się nawzajem. Jedni wołali: „Dostanie od nas dom!”, inni: „Nie, od nas dostanie dom!”. My krzyczeliśmy: „Nie, nie pójdziemy do nikogo, zostaniemy we własnym domu”. Pojechaliśmy więc do domu – wspomina Santoo. – *Neta* myśleli, że będzie o nas głośno, że zostaniemy *vidhayakami*, że ze względu na Sheelu ludzie będą chcieli na nas głosować. Powiedzieliśmy

więc, że pomoc, którą do tej pory otrzymaliśmy, jest wystarczająca. Że będziemy mieszkać u siebie – przypomina sobie później. Dodaje: – Powiedziałem, że przecież wciąż żyjemy – jej brat i ojciec żyją – więc jak moglibyśmy pozwolić siostrze iść do domu jakiegoś vidhayaka? Powinna mieszkać z nami. Moja siostra była wtedy niepełnoletnia, więc nie mogła iść mieszkać do kogoś i nikt nie mógł brać jej do siebie. Oni – mówi Santoo, mając na myśli sędziów – powiedzieli, że Sheelu ma być oddana z powrotem pod opiekę ojca, bo jest niepełnoletnia.

Sheelu, Santoo i ich ojciec Achchhe wsiedli do furgonetki policyjnej i odjechali do Shahbajpuru.

Dwa dni po zwolnieniu Sheelu Sampat wybrała się do Shahbajpuru, aby się z nią spotkać. Nie rozmawiały ze sobą od pamiętnego dnia przed sądem, kiedy zrobiono im wspólne zdjęcie. Nisha, która rzadko towarzyszyła matce w tego typu wyprawach, zapytała, czy tym razem mogłaby z nią pojechać. Na pytanie o przyczynę odpowiedziała:

– Cały świat chce ją zobaczyć, więc dlaczego nie ja?

Sampat wzięła ze sobą równiutko złożone różowe sari. Nie spodziewała się wprawdzie, że Sheelu wstąpi do Różowego Gangu, ale i tak chciała zaproponować jej członkostwo i wszelką pomoc, jakiej tylko może potrzebować. Nie miała dziewczynie za złe, że nie skorzystała z wystawionego przez nią wniosku o zwolnienie za kaucją. To jeszcze dziewczynka, pomyślała.

Kiedy Sampat przybyła do Shahbajpur, zastała Sheelu w otoczeniu dziennikarzy i kilkudziesięciu umundurowanych policjantów, wyznaczonych do jej całodobowej ochrony. Osobista ochrona była niezbędna. Tej samej nocy, kiedy Dwivedi został aresztowany, zaklinał przed kamerami, że zemści się na wrogach. Drugim powodem przydzielenia rodzinie ochrony było złożone przez Achchhego pismo, że grożono mu utratą życia.

Dwa policyjne posterunki kontrolne sprawdzały pojazdy wjeżdżające do wioski. Z lokalnych miasteczek, na przykład z Bandy, ale również z Lakhnau i nawet ze stolicy państwa, New Delhi, napływali dziennikarze. Wąską uliczką prowadzącą do domu Sheelu posuwały się duże, białe furgonetki z antenami satelitarnymi na dachach i wielkimi logo stacji telewizyjnych na drzwiach. Parkowały na polach, na podwórzu szkolnym i na malutkim placu tuż przed domem Achchhego.

Tego dnia Sheelu miała na sobie truskawkowy bawełniany sweter i biały szal.

Na widok Sampat bardzo się ucieszyła.

– *Didi!* – krzyknęła. – Jak się masz?

Rozmawiały przez „około pół godziny”, jak wspomina Sampat. Szefowa Różowego Gangu wypytywała Sheelu o zdrowie, o to, czy policja zapewnia jej dobrą ochronę, i jakie ma nadzieje na przyszłość.

– Powinnaś się uczyć, to ważne. Jesteś wciąż młoda. Jeszcze nie jest za późno, żeby zdobyć wykształcenie – przekonywała ją.

– Jak mogłabym teraz iść do szkoły? Nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o tej sprawie. Jestem nią całkowicie pochłonięta. No i jak weszłabym do klasy z sześcioma ochroniarzami u boku? To się nie uda – stwierdziła ponuro Sheelu. Wiedziała, że czeka ją zeznawanie przed sądem przeciwko Dwivediemu, a z powodu kulawego systemu wymiaru sprawiedliwości w Indiach mogą minąć lata, zanim zapadnie wyrok.

– Poproszę o pomoc Sonię-ji. Może dostaniesz indywidualnego nauczyciela? To byłoby dobre wyjście, więc się nie martw – odparła Sampat, myśląc oczywiście o Soni Gandhi.

Potem udzieliła Sheelu rady.

– Partie polityczne próbują wszystko skomplikować. Myśl o przyszłości, ale nie angażuj się w żadne polityczne przepychanki. Politycy chcą tylko wykorzystać bezradność i naiwność młodej dziewczyny. Jeśli zależy im na tym, żeby ubić na tym własny interes, to czy kiedykolwiek doczekamy się sprawiedliwości? Musisz być ostrożna. Nie daj się w to wszystko wciągnąć. Nie pozwól, by cię wykorzystano – nalegała.

Sheelu skinęła głową.

Szefowa Różowego Gangu wyciągnęła wtedy torbę i wyjęła z niej różowe sari.

– To nasz mundur – powiedziała, podając dziewczynie strój. – Z nami wywalczysz sprawiedliwość dla siebie i dla innych kobiet. Praca na rzecz innych byłaby w twoim przypadku bardzo wskazana, ale decyzja należy do ciebie. Nie spiesz się, pomyśl. Jeśli się zdecydujesz, czekamy – mówiła Sampat.

Po wyjściu Sampat Sheelu udzieliła szeregu wywiadów. Nakreśliła w nich wizerunek samej siebie jako duchowej dziedziczki Phoolan Devi, osławionej indyjskiej Królowej Bandytów, później parlamentarzystki. Pomściła ona dokonany na niej zbiorowy gwałt zabiciem dwudziestu dwóch mężczyzn

z wyższej kasty, których uznała za sprawców.

Przez miesiąc pobytu w więzieniu Sheelu była całkowicie odizolowana od reszty świata. W tym czasie zezwolono jej tylko na kilka widzeń i spotkań z prasą. Siedemnastego grudnia, podczas jednego z pierwszych wywiadów telewizyjnych, jakich udzieliła, wciąż wyglądała na bezbronną dziewczynę, szeroko otwartymi oczami wpatrującą się w zebranych wokół niej dziennikarzy. Zapytana, co się stało, najpierw spojrzała w lewo, następnie w prawo, jakby szukała drogi ucieczki, a dopiero potem, po chwili wahania, odpowiedziała rozedrganym, łamiącym się głosem.

– Co zrobisz, jeśli sąd nie wyda sprawiedliwego wyroku? – zapytał jeden z dziennikarzy telewizyjnych.

– Sama poszukam sprawiedliwości. Zostanę banitą. Będę jak Phoolan Devi – odparła schrypniętym głosem. – Sprawców należy powiesić... miałabym ochotę sama to zrobić – dodała po chwili przerwy. Może wyglądała na przestraszoną, ale była też zła i złość tę odzwierciedlały jej słowa. – Niech mnie zabiją, proszę bardzo, ale nie będę dłużej siedzieć cicho... Jestem gotowa z nimi walczyć, aż wywalczę sprawiedliwość. A wywalczę ją dopiero, kiedy sprawcy zostaną ukarani.

Zbuntowany ton i wzmiankę o Phoolan Devi można było odebrać jako sygnał, że Sheelu myśli o życiu wyrzutka, lecz bardziej prawdopodobna interpretacja jej słów podpowiada chęć naśladowania Devi jako parlamentarzystki. Jako polityk mogłaby odegrać rolę obrończyni sprawiedliwości, ale, co ważniejsze, polityka byłaby dla niej najprostszym sposobem wydostania się z Shahbajpuru. Nie było wątpliwości, że nie może wrócić do dawnego życia. Największą szansę na to, by jej życie nie zatrzymało się w miejscu, dawało zaakceptowanie dotychczasowych doświadczeń, i zrobienie z nich właściwego użytku – o ile to możliwe – dla własnego dobra.

– Jestem teraz sławna – zastanawiała się Sheelu w jednym z wywiadów. – Wszyscy będą na mnie patrzeć i myśleć: Oto dziewczyna, której udało się wsadzić vidhayaka do więzienia.

Otwierał się przed nią nowy, niebezpieczny rozdział – polityka. Telefon dzwonił nieustannie. Często byli to lokalni przywódcy polityczni z propozycjami pomocy. Wszyscy chcieli sprawić, by poczuła się ważna i pożądana. Nagle po wyjściu z więzienia życie Sheelu wypełniły nowe możliwości, obietnice sukcesu i postępu.

– Może pewnego dnia sama zostanę posłem... – mówiła potem.

Następnego dnia do Shahbajpur wlała się fala członków partii Samajwadi. Było ich tak wielu – prawdopodobnie więcej niż samych mieszkańców wioski – że całkowicie zablokowali główną drogę. Na czele ich pochodu maszerowało dwadzieścia parę kobiet, a resztę stanowili mężczyźni.

Kiedy tylko kobiety z Samajwadi odnalazły Sheelu, otoczyły ją zwartym kręgiem i objęły ramionami. Prawie przez cały czas trwania ich wizyty po obu bokach dziewczyny tkwiły dwie kobiety, z których jedna otaczała ją ramieniem.

Rzeczony wydarzeń śledziły kamery lokalnej telewizji.

Wszystkie kobiety z partii Samajwadi próbowały jednocześnie rozmawiać z Sheelu, udzielając jej porad, współczując, przytulając i poklepując po głowie.

– Nie ma potrzeby płakać. Nie płacz, kochana. Wszystkie jesteśmy z tobą. Nie płacz – mówiła jedna, ocierając równocześnie łzy Sheelu.

– Nie płacz, jesteśmy z tobą – mówiła inna.

– Sheelu musi odpocząć – twierdziła kolejna.

– Sheelu, masz jakiś problem? Powiedz nam – prosiła następna. Było ich tyle, że zamieszanie trwało dobrą chwilę.

Sheelu wyglądała na nieszczęśliwą i opuszczoną.

– Z jednego więzienia wsadzili mnie do drugiego – poskarżyła się. Prawdopodobnie nie chodziło jej o konieczny nadzór policji, ale też o czuwające nieustannie przed jej domem media.

Sheelu została zaprowadzona na ławeczkę, na której już usadowiły się kobiety z partii Samajwadi. Za nimi ustawił się Vishambhar Nishad – poseł, który proponował Sheelu mieszkanie na nowoczesnym osiedlu. Najstarsza z kobiet, ze srebrzystym warkoczem, ubrana w białe sari i duże okulary, odwróciła się do polityka i wyciągnęła rękę. On gestem pokazał jej, że ma czekać. Po chwili kobieta odwróciła się znowu. Wtedy jeden z ludzi polityka sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyciągnął trzy grube zwitki banknotów i podał je kobiecie w białym sari. Ta chwyciła gazetę, którą trzymała Sheelu, i owinęła w nią pieniądze.

– Oto trzy *lakh* rupii od partii Samajwadi, w podarku na poprawę życia – oznajmiła, wysuwając w stronę Sheelu pospiesznie przygotowany pakunek. Kobieta, która siedziała po przeciwnej stronie dziewczyny i opiekuńczo otaczała ją ramieniem, wyciągnęła rękę i chwyciła pakunek z drugiej strony. Na ten sygnał więcej kobiet wyciągnęło ręce i złapało zawiniątko tak, jakby

zbiorowo wręczały je Sheelu. Były i takie, które próbowały wyrwać je z rąk innych i podać poszkodowanej osobiście.

Mieszkańcy wioski, policjanci i reszta członków partii Samajwadi zacieśnili krąg wokół widowiska, wyciągając szyje, przepychając się i potrącając, by lepiej widzieć.

Nagle w rękach tego samego mężczyzny, który wyciągnął z wewnętrznej kieszeni pieniądze, znalazła się czerwona sportowa torba. Podał ją komuś stojącemu obok. Torba przechodziła z rąk do rąk nad głowami tłumu, by w końcu wylądować u stóp Sheelu. Leżała tam, wciąż zamknięta.

– Ona musi dostać co najmniej pięćdziesiąt *lakh*, dom, wykształcenie i ochronę – odezwała się srebrnowłosa kobieta, która wręczyła Sheelu pieniądze w gazecie. – Domagamy się, by władze wypełniły nasze żądania! Jeżeli tego nie zrobią, partia Samajwadi będzie o nią walczyć! Musi dostać dom, może być wynajmowany, z prawem do wykupu, a czynsz powinien płacić rząd, Mayawati albo *vidhayak*. Jeśli te warunki nie zostaną spełnione, partia Samajwadi wyjdzie na ulice! Zaczną się strajki!

Następne słowa siwowłosej kobiety skierowane były przeciwko politycznym oponentom partii Samajwadi.

– Mayawati musi odejść. Gwałt na nieletniej to hańba dla rządu Uttar Pradeś. Mayawati jest kobietą, co robiła przez tych piętnaście dni? – zapytała. Miała na myśli piętnaście dni, które upłynęły od upublicznienia zarzutów wobec posła do nakazu zwolnienia Sheelu z więzienia. – Rząd nie może wykręcać się od odpowiedzi. W jakim społeczeństwie my żyjemy? – ciągnęła.

Kiedy już wszystkie prezenty zostały rozdane, a przemówienia wygłoszone, nadszedł czas na pożegnalny pokaz przesłodzonych oznak sympatii i przyjaźni – uścisków, poklepywań po plecach i objęć – po czym kobiety, teraz już uśmiechnięte i zadowolone z dobrze spełnionej misji, wyprowadziły horde członków partii Samajwadi z wioski.

Pustkę po nich natychmiast zapełnili dziennikarze z lokalnych stacji telewizyjnych. Kręcili się wszędzie z kamerami, by jak najlepiej oddać niezwykłą atmosferę panującą w wypełnionej policjantami wiosce. Przed szkołą w Shahbajpurze parkowało co najmniej osiem dżipów policyjnych, a na każdym rogu stali umundurowani funkcjonariusze z *laathi* i bronią palną. Niektórzy mieli na sobie hełmy z kamuflażem i kamizelki kuloodporne. Sprawiali wrażenie przygotowanych na zamieszki i chuligańskie wybryki.



Szwendali się bez celu w tę i z powrotem, a zdumieni nagłą popularnością ich osady wieśniacy przepędzali zatłoczoną główną drogą swe potężne bawoły.

Siódmego lutego Sheelu poznała najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego widziała w życiu. Siedziała w domu, kiedy wszedł ojciec i oznajmił, że przyjechał do niej Rahul Gandhi, syn Soni Gandhi, dziedzic dynastii Gandhich. Słyszała już to nazwisko, ale nie potrafiła związać go z żadną twarzą.

– Gdyby moja rodzina popierała Indyjski Kongres Narodowy, przynajmniej wiedziałabym, jak on wygląda – mówi.

Indyjski Kongres Narodowy nie mógł jednak pochwalić się popularnością wśród mieszkańców Shahbajpuru, podobnie zresztą jak całego Uttar Pradeś. Właśnie dlatego w wiosce pojawił się Rahul Gandhi, który odzyskanie tego ogromnego stanu dla partii uznał za swą osobistą misję. Publicyści i politycy zachowywali czujność – za piętnaście miesięcy nadchodziły wybory, które miały pokazać, czy pan Gandhi nadaje się na premiera. Gandhi zainwestował w nie tyle, że, według indyjskiej gazety „Mint”, „uzależnił swą przyszłość polityczną od odrodzenia popularności swej partii w tym silnie zaludnionym północnym stanie”.

Sheelu wyszła z domu i podniosła wzrok na wysokiego mężczyznę o kremowobiałej skórze i zielonych oczach, w którego policzkach przy uśmiechu pojawiały się urocze dołeczki. Przybył on w konwoju potężnych białych dżipów, które wzbudziły na jedynej drodze dojazdowej do Shahbajpuru tumany ceglatego kurzu. W białym, wykrochmalonym *kurta pajamas* wyglądał olśniewająco.

Podszedł do dziewczyny, uściśnął jej rękę i powiedział:

– Ty jesteś Sheelu? Mam na imię Rahul, przyjechałem z Delhi.

Sheelu w zetknięciu z wyrafinowanymi manierami i łagodną naturą pół-Włocha omal nie zemdląca.

– Jego ręka była taka miękka! Jak ciasto zanurzone w wodzie – mówiła później. Tego dnia w Shahbajpurze panował spokój, nie było też mediów. Cała okolica została odcięta przez policję, dostęp zaś do wioski – ograniczony na czas wizyty VIP-a ze stolicy.

– Nie martw się, pomożemy ci – odezwał się Rahul.

Sheelu i jej przystojny gość usiedli na *charpoy* pod drzewem. Dziewczyna bardzo się martwiła, że zachowała się niegrzecznie, nie zapraszając go do

domu. Nikt jej nie nauczył, jak należy postępować w towarzystwie tak wysoko postawionego dygnitarza.

– Zapraszam do mojego domu – zaproponowała.

Rahul zerknął na swego sekretarza, który sprawdził grafik zajęć i po angielsku odpowiedział, że nie mają czasu. Sheelu nie kryła rozczarowania.

– Bardzo proszę. Co ludzie powiedzą, jeśli nawet pana niczym nie poczęstuję? – nalegała.

– Kiedy przyjadę następnym razem, zjem z tobą posiłek – obiecał.

– W takim razie zgoda... – odparła. – Proszę chwilę poczekać. – Podniosła się gwałtownie i szybko weszła do domu. W chwilę później pojawiła się z metalowym kubkiem i bańką na mleko. Napełniła kubek mlekiem.

– Proszę przynajmniej się napić – powiedziała, podając mu kubek.

Rahul przyjął go z wdzięcznością i wychylił do dna. Sheelu naląła mu następny, który również wypił duszkiem.

– Kiedy dorosnę, chcę wstąpić do pańskiej partii, bo to od was otrzymałam największą pomoc – wyznała dziewczyna, nawiązując do czeku na dwieście tysięcy rupii, który dostała kilka dni wcześniej od Viveka Singha – przewodniczącego lokalnej komórki Indyjskiego Kongresu Narodowego. – Należę do kasty dalitów. To Mayawati powinna mi pomóc! To ona rządzi naszym stanem. Mogła od razu zacząć dochodzenie! – narzekała.

– Proszę, oto mój numer – powiedział Rahul. – Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy, zadzwoń do mnie.

Osiem miesięcy po wyjściu Sheelu z więzienia Sampat otrzymała od najwyższego kierownictwa Indyjskiego Kongresu Narodowego pewną propozycję. Sam Rahul Gandhi zapytał, czy w przyszłorocznych wyborach nie zechciałaby ubiegać się o mandat w zgromadzeniu ustawodawczym z ramienia Kongresu.

Sampat poznała Gandhiego w maju 2011 roku. Towarzyszył wówczas premierowi Manmohanowi Singhowi, który przyjechał do Bundelkhandu promować nowe projekty budowlane swej partii. Przedtem Sampat odbyła już trzy spotkania z Sonią Gandhi, nigdy jednak nie miała okazji poznać jej syna. W czasie wizyty Gandhiego w Bundelkhandzie brała wprawdzie udział w jego krótkim spotkaniu z działaczami społecznymi i aktywnymi członkami społeczeństwa obywatelskiego, ale osobiście ze sobą nie rozmawiali. Tymczasem następnego dnia sekretarz Gandhiego zadzwonił do Sampat z wiadomością, że Rahul Gandhi zaprasza ją do siebie do New Delhi.

Tak samo jak w przypadku wizyt u Soni Gandhi, asystenci Rahula ustalili z Sampat wszelkie sprawy organizacyjne, związane z podróżą jej i Babujiego do stolicy. Szefowa Różowego Gangu nie kryła radości perspektywą rozmowy z najważniejszą dla niej postacią indyjskiej polityki. Wybrała na tę okazję najlepsze ubrania.

Na spotkanie przybyła z albumem zdjęć dokumentujących manifestacje, protesty i uroczystości Różowego Gangu. Pan Gandhi przejrzał je z zainteresowaniem. Zadawał pytania o wykształcenie Sampat i o historię jej organizacji.

– Rahul-ji, nie ma pan czasu na wysłuchanie historii powstania Gangu od początku do końca. Posłucha pan chwilę, a potem pan sobie pójdzie – powiedziała bezczelnie. Zaśmiał się i odparł, że jednak chciałby jej wysłuchać. – Wyznał, że śledzi to, co robię, i było to miłe z jego strony.

– Jest pani silną kobietą – rzekł w końcu. – Chcielibyśmy, aby wystartowała pani w wyborach.

Sampat była na to przygotowana. Nie chciała jednak robić sobie złudnych nadziei, ponieważ już raz dostała tę samą propozycję, a ostatecznie skończyło się na niczym. Teraz zalało ją morze skrajnych emocji – od podniecenia po strach. „Nie chcę się w to wszystko mieszać. Nie chcę być ich niewolnicą”, myślała sobie w pociągu, w drodze do New Delhi.

Sampat nigdy dotąd nie wykonywała niczyich poleceń – nie była posłuszna ani mężowi, ani rodzicom. Ani nawet policji, jeśli czuła, że policjanci się mylą. Bała się, że wejście w świat polityki będzie oznaczało presję i konieczność kompromisów. Babuji często porównywał politykę do sceny pełnej skorumpowanych, samolubnych aktorów. Sampat zgadzała się z jego opinią, ale zamiast unikać sceny, wolała stanąć na niej i rozpocząć występy.

– Wejście do polityki nie byłoby takie złe – rozumuje. – Jeśli polityką zaczyna się parać taki działacz społeczny jak ja, zawsze będzie to z bezpośrednią korzyścią dla ludzi. To bardzo ważne, by dobrzy ludzie mogli się dostać do polityki. Dopóki tak nie zacznie się dziać, źli będą dzielić łupy między siebie i sprzedadzą kraj – mówi.

Rozmyślała o długiej drodze, jaką musiała przejść, by znaleźć się w tym miejscu, w którym była dzisiaj i o wszystkim, co w życiu osiągnęła. O tym, jak wyprowadziła się z domu teściów, uciekła z Gadarian Purvy i zaczęła nowe życie w Badausie, założyła organizację słynącą w całych Indiach z walki z niesprawiedliwością – i to wszystko mimo braku wykształcenia. Różowy

Gang również dużo osiągnął. Pomógł kobietom wywalczyć udział w życiu publicznym, dodał im pewności siebie, nauczył, że i one mają władzę i głos – nawet w Bundelkhandzie.

Rozmyślała też i o słabościach Gangu.

– Różowy Gang jest naprawdę świetny, ale prawo nie stoi po naszej stronie. Różowy Gang jest bardzo duży, lecz walczymy tylko kijami. Zdajesz sobie sprawę, ile by to znaczyło dla dziewcząt z Gangu, gdybym uczciwie wygrała wybory i zdobyła mandat? – zastanawia się głośno.

Przychodziły jej do głowy rozmaite scenariusze.

– Jeśli Sonia Gandhi wezwała mnie do współpracy, powinnam iść i dobrze pracować. Jeżeli poprosi mnie, żebym zrobiła coś złego, odmówię. Będę robić tylko to, co uważam za dobre. Nie mam przekonania, że powinnam być jej posłuszna bez względu na to, o co mnie poprosi. Kiedy ludzie robią złe rzeczy, my ich nie słuchamy. Mogą nawet wyrzucić mnie z partii, wszystko mi jedno – postanowiła sobie w duchu. Zamyśliła się do tego stopnia, że przejechała swoją stację i nie wysiadła.

– Nawet jeśli wyrzucą mnie z partii, nie wstąpię do innej. Będę pracować sama, po swojemu. Nie pozwolę, by polityka zniszczyła mój własny charakter.

Sampat zdawała sobie sprawę, że i partia Kongres Indii, podobnie jak pozostałe ugrupowania, ma swój udział w korupcji świata polityki. Jak by się czuła, mając za kolegów takich ludzi? Czy nie musiałyby tolerować ich bezprawnego postępowania?

– Jeśli w Kongresie ktokolwiek zrobi coś złego, nie pozwolę, aby uszło mu to płazem. Złajam go i spytam: dlaczego tak robisz? Dziś tylko Rahula i Sonię Gandhich uważam za swych przywódców. Innych zdrajców nie uznaję. Jestem im przeciwna. Powiem Rahulowi-ji, że niszczą jego partię.

Sampat miała niezłomną wiarę we własną integralność – myślała, że cnoty, które wyznaje, ochronią ją przed pułapkami, w jakie wpadli inni.

– Jeśli tylko kierujesz się chciwością, nie będziesz w stanie zrobić nic dobrego dla innych. We mnie nie ma chciwości – myślała, pewna swego.

Sampat była zdania, że wszystkie pokusy, którym w życiu stawiała czoło, jak również wszyscy ludzie, którzy próbowali ją przekupić, w tym także *vidhayak*, ponieśli klęskę.

– Bardzo często dostaję propozycje, by zrobić coś złego. Ale ja nie jestem zła. Dlatego nie każdy zostaje Sampat Pal. Tak. Trudno jest zostać Sampat

Pal.

Na liderkę ruchu na rzecz sprawiedliwości społecznej, podobnie jak na polityka, czyha wiele pokus.

– To, czy dam się skorumpować, zależy tylko ode mnie. Od nikogo więcej. Moja dusza sprawiła, że jestem uczciwa. I jeśli dusza mówi mi, że pozostanę uczciwa, to taka pozostanę. Zrobię to, co każe mi własna wola. Moim mistrzem jest moja własna dusza.

# EPILOG

Rok, który nastąpił po wypuszczeniu Sheelu z więzienia, przyniósł wiele wydarzeń. Dwudziestego stycznia 2011 roku Wydział Kryminalny Centralnego Biura Śledczego wniósł formalne oskarżenie przeciw Dwivediemu. On i jeszcze czterej podejrzani, jego współnicy: Suresh Neta, Rajen Shukla, Ram Naresh (alias Rawan) i Virendra Garg, usłyszeli zarzuty gwałtu, okaleczenia, bezpodstawnego zatrzymania oraz zatrzymania i szantażu na tle kryminalnym.

We wrześniu tego samego roku Sąd Najwyższy Indii rozkazał przekazać dochodzenie w sprawie zarzutów postawionych przez Sheelu z Wydziału Śledczego stanu Uttar Pradeś w ręce narodowego Centralnego Biura Śledczego. Doszło do tego na wniosek prawników Sheelu, którzy twierdzili, że bezstronne dochodzenie jest niemożliwe do przeprowadzenia w Uttar Pradeś. Sprawa toczy się nadal. Dwivedi w czasie pisania tej książki pozostaje w zakładzie karnym w Bandzie. Wciąż zaprzecza wszelkim zarzutom.

\*

Przez pierwszy rok po wyjściu z więzienia siedemnastoletnia bohaterka tej historii mieszkała w Shahbajpurze z ojcem i sześcioma ochroniarzami, przydzielonymi im przez władze na czas trwania sprawy przeciwko Dwivediemu. Santoo znowu zatrudniał się w różnych miejscach jako wędrowny robotnik. Pracował w fabrykach i na budowach w Delhi, Mumbaju i Suracie.

W lutym 2012, w ponad rok po wyjściu z więzienia, Sheelu skończyła osiemnaście lat i przyjęła propozycję miejscowego pradhana z Nishad, który chciał za darmo udostępnić jej i Santoo swój drugi dom w Bandzie. Sheelu i Santoo przeprowadzili się tam, dzieląc dom z wieloma innymi lokatorami.

Rodzeństwo w nowym miejscu pragnęło ułożyć sobie życie na nowo, z dala od ojca i jego alkoholizmu. Nigdy dotąd nie mieszkali w takim domu: każde miało własny pokój z łóżkiem i wbudowaną szafą, był prąd, a przede wszystkim – łazienka z ceramiczną toaletą, umywalką i bieżącą wodą. Takie luksusy w niczym nie przypominały ręcznej pompy na centralnym placu Shahbajpuru.

Ochroniarze Sheelu, którzy mieli obowiązek strzec jej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, również wprowadzili się do nowego domu. Już po miesiącu doszło do poważnych tarć na tym tle. Żona pradhana była zmęczona

wiecznym kręceniem się ochroniarzy, żujących *paan* – rodzaj tabaki i plujących po ścianach strumieniami czerwono zabarwionej śliny. Uznała, że ich obecność w szybkim tempie przyczynia się do zniszczenia jej posiadłości.

W marcu, zaledwie miesiąc po tym, jak się wprowadzili, Sheelu i Santoo poproszono, by się wynieśli.

– Dokąd teraz pójdę? Nie mogę przecież wrócić do Shahbajpuru! – lamentowała Sheelu. Była zapewne przekonana, że wyjeżdżając do Bandy, raz na zawsze pożegnała się z ojcem i życiem na wsi. – Może powinnam się otruć i umrzeć? Takie myśli chodzą mi po głowie – wyznała pewnego razu.

Nie minął miesiąc, a rzeczywiście próbowała odebrać sobie życie, zjadając farbę do włosów. W porę jednak zabrano ją do szpitala na płukanie żołądka. Wydarzenie to przyciągnęło, rzecz jasna, uwagę mediów i nazwisko Sheelu znów znalazło się na pierwszych stronach gazet. Zainteresowanie dziennikarzy było jednak mniejsze niż wtedy, gdy wychodziła z więzienia. Nie poświęcili jej już tyle czasu i uwagi. Wkrótce wszystko wróciło do stanu poprzedniego.

Kiedy Sheelu doszła do siebie, wróciła do Shahbajpuru. Do tego czasu ojciec ukończył budowę prostego domu z cegieł, którą rozpoczął za pieniądze podarowane córce przez partie polityczne. Dziś w nowym domu, stojącym dokładnie naprzeciwko szkoły, w której przez kilka krótkich lat dzieciństwa mogła uczyć się Sheelu, mieszka jej ojciec i rodzeństwo.

Ona sama została w starej, glinianej chacie, w której dorastała, po drugiej stronie osady. Większość czasu spędza w jej mrocznym wnętrzu, dzwoniąc do nowych znajomych, często dziennikarzy i ludzi polityki, których poznała rok wcześniej. Telefon komórkowy zapewnia jej całą rozrywkę – na nim słucha dewocyjnych piosenek hinduskich i ogląda ekranizacje świętej hinduskiej księgi Ramajany.

Choć nowy dom znajduje się blisko starej chaty, Sheelu niezmiernie rzadko odwiedza rodzinę i odzywa się do ojca. Prawie każda ich rozmowa kończy się kłótnią.

– Gdyby nie on, nie doszłoby do tego wszystkiego – mówi z goryczą.

W tym samym miesiącu, kiedy Sheelu próbowała popełnić samobójstwo, Sampat wystartowała w wyborach do zgromadzenia ustawodawczego Uttar Pradeś w dystrykcie Manikpur, na wschód od Chitrakootu. Indyjski Kongres Narodowy nie wystawił jej bynajmniej w łatwym dystrykcie – swe ostatnie

zwycięstwo na tym terenie partia notowała dwadzieścia jeden lat wcześniej. Manikpur to okolica nękana przez świat przestępczy, kontrolujący lukratywne uprawy drzew *tendu*, z których produkuje się popularne papierosy zwane *beedi*. Jak pisał jeden z dziennikarzy indyjskiego magazynu „Frontline”, okolice Manikpuru to tereny znane ze strzelanin i niepokojów społecznych, których rzeczywistymi sprawcami są politycy.

Trwająca miesiącami kampania wyborcza była wyczerpująca. Geeta, szefowa dystryktu położonego najbliżej Manikpuru, mobilizowała swoje podwładne z Różowego Gangu, by agitowały za Sampat i, o ile to możliwe, towarzyszyły jej w czasie niezliczonych wizyt w maleńkich wioskach na terenie całego okręgu wyborczego. Kobiety robiły to z chęcią.

– Jeśli *didi* wygra, wszystkim nam będzie bardzo dobrze – twierdziła Geeta.

Nie wszyscy w Gangu byli jednak równie entuzjastycznie nastawieni. Sampat często spierała się z Babujim, od samego początku sceptycznie nastawionym do jej udziału w wyborach. Nie podobało mu się zaangażowanie rodziny Sampat, która czasem towarzyszyła jej podczas spotkań i wieców wyborczych. Był wśród nich i Tirath, zwolniony z więzienia za kaucją.

– Gdzie oni byli wcześniej? Nigdy nie wspierali naszych działań. Dlaczego więc teraz są tacy zaangażowani? – narzekał Babuji.

Kampania wyborcza obudziła też uspione, ale wciąż tłące się dawne niesnaski. Suman Singh, szefowa dystryktu Mahoba, oskarżyła Sampat, że nie zadbała o awans najstarszych członkiń Gangu. Poprosiła Sampat, by ta wymogła na Indyjskim Kongresie Narodowym, żeby jej nazwisko również dodać do listy wyborczej. Winą za odmowę obarczyła Sampat, w dodatku za jej plecami.

– Żadna inna kobieta nie poprosiła wtedy o mandat. Dlaczego więc zrobiła to Suman? Bo ma w sobie tę niezwykłą chciwość – twierdzi Sampat.

Kiedy podliczono głosy, Sampat dowiedziała się, że przegrała z kandydatem z partii Dwivediego – BSP. Była czwarta spośród dwudziestu trzech kandydatów. Otrzymała dwadzieścia trzy tysiące trzy głosy – więcej, niż udało się zdobyć jakimukolwiek kandydatowi z ramienia Kongresu w ostatnich latach.

Tej nocy siedziała na swoim patio pod gwiazdami, w otoczeniu najbliższych, którzy poświęcili na jej kampanię wyborczą kilka ostatnich



miesiący, i płakała.

– Dobry człowiek nigdy tu nie wygra – lamentowała, potrząsając głową.

Wyniki wyborów zmartwiły większość mieszkańców Uttar Pradeś. Partia Mayawati dostała niezłe lanie. W zgromadzeniu ustawodawczym miała ją zastąpić partia Samajwadi, okryta złą sławą ze względu na powiązania ze światem przestępczym.

Następnego dnia w popularnym indyjskim show telewizyjnym *Headlines Today* padło pytanie, które po cichu zadawali sobie wszyscy. *Powrót Goonda Raj w Uttar Pradeś?* – brzmiał tytuł części programu poświęconej wynikom wyborów. Podobne nagłówki królowały w gazetach w całym kraju.

Już pierwszego dnia po objęciu władzy przez partię Samajwadi w Uttar Pradeś zaczęły dziać się niepokojące rzeczy. Stronnicy partii, nie kryjąc trzymanej w ręku broni, maszerowali w paradach zwycięstwa i tarasowali drogi, co powodowało, że mieszkańcy w obawie przed zagrożeniem zamykali się w domach. Zabłąkana kula któregoś z popleczników partii Samajwadi, który oddawał salwę w powietrze, zabiła siedmioletnie dziecko. Pod nowymi rządami doskonale czuli się ludzie związani niegdyś z Goonda Raj. Człowiek nazwiskiem Vijay Mishra, wcześniej aresztowany za atak bombowy na swego politycznego rywala, zasiadł w zgromadzeniu ustawodawczym stanu. Co gorsza, Raghuraj Pratap Singh, znany także jako Raja Bhaiyya, polityk, który za rządów BSP odbywał karę pozbawienia wolności, objął stanowisko ministra więziennictwa. Swe urządowanie zaczął od poprawy warunków, w jakich byli przetrzymywani skazani politycy. Wyposażył ich między innymi w telefony.

Ludność stanu, i tak już nękanego korupcją zarówno wśród policji, jak i polityków, przygotowała się na epokę jeszcze gorszego bezprawia. Być może dlatego niektórzy stronnicy Różowego Gangu, w tym również Babuji, odczuli ulgę, że Sampat jednak nie wygrała. Dzięki temu mogła przynajmniej w pełni poświęcić się walce o praworządność w Bundelkhandzie. Nic nie przeszkadzało jej pociągać do odpowiedzialności urzędników pracujących z nadania zwycięskiej partii.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że w dzisiejszych czasach mocny Różowy Gang jest jeszcze bardziej potrzebny niż kiedykolwiek dotąd. Przestępczość wśród polityków urosła do rangi problemu narodowego i stanowi wielkie wyzwanie. Politycy, podsycani perspektywą wielkich fortun,

które można zarobić na liberalizacji gospodarki, jaka dokonała się w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, stają się w swych poczynaniach coraz bardziej łupieżczy.

Może dlatego właśnie sytuacja kobiet w Indiach wciąż się pogarsza? To one najbardziej odczuwają skutki korupcji w sądach i policji. Gwałt stał się najpowszechniejszym przestępstwem w kraju i jego skala rośnie. W ciągu ostatnich czterdziestu lat zanotowano wzrost liczby zgłoszonych przypadków gwałtu o 792 procent. Za to liczba skazanych wciąż spada. To samo dotyczy przemocy w rodzinie, która w tym czasie wzrosła o 30 procent. Liczba przestępstw, których ofiarami są kobiety, nadal się zwiększa.

Skala problemu, który wydaje się nie do przewyciężenia, sprawia, że Sampat z jeszcze większą zaciekłością angażuje się w walkę o sprawiedliwość społeczną. Wydaje jej się, że wie, jak można ją osiągnąć. Czerpie z mądrości, której nauczyła się jeszcze jako dziecko, kiedy po raz pierwszy stanęła przeciwko potężniejszemu od siebie właścicielowi ziemskiemu. Mówi:

– Jeśli problem jest duży, my musimy być więksi od niego. Nasza siła leży w jedności. Dlatego politycy się nas boją.

Nie żyje już jednak nadzieją, że zreformuje nierzetelnych polityków. Teraz chce ich zastąpić.

– Będę startować w następnych wyborach. I zobaczycie – tym razem nie przegram.

# KOMENTARZ AUTORKI I PODZIĘKOWANIA

Książka ta opowiada przede wszystkim o Sampat Pal i niezwykłej grupie kobiet, którą powołała do życia. Sporo uwagi poświęca również sprawie Purushottama Naresha Dwivediego i Sheelu Nishad.

Przytoczona tu wersja wydarzeń oparta jest na niezliczonych wywiadach, artykułach z gazet i oświadczeniach prasowych dotyczących tej sprawy. Oznacza to, że przedstawiony tu obraz jest tylko jednym z wielu. Dwivedi twardo zaprzecza wszelkim złym czynom, których rzekomo miałyby się dopuścić. Nie ma też jasności co do prawdziwej natury związku Sheelu Nishad z Rajju Patelem.

Większość dialogów w tej książce opiera się na wspomnieniach uczestników zdarzeń, których prawie zawsze cytuję dosłownie. Niestety zebranie relacji od obu uczestników konkretnego dialogu nie zawsze było możliwe. W takich przypadkach polegałam na pamięci tego z nich, z którym udało mi się przeprowadzić wywiad.

Zebranie materiału do tej książki zajęło mi dwa lata (od sierpnia 2010 do sierpnia 2012). Mieszkałam wtedy na stałe w Indiach. Po roku ciągłych podróży do Bundelkhandu dwukrotnie gościłam u Sampat, w jej domu rodzinnym w Badausie (było to w sierpniu i grudniu 2011). Z tego czasu zachowałam wiele miłych wspomnień. Wszyscy kąpaliśmy się pod tą samą pompą ręczną. Podpatrując innych, nauczyłam się, jak można się wykąpać, będąc mniej więcej w pełni ubranym. Wiele wieczorów spędziłam z córkami i siostrzenicami Sampat. Razem gotowałyśmy, żartowałyśmy i śpiewałyśmy piosenki przy ogniu, kiedy wyłączano prąd. Małych bratanków Sampat bardzo pociągał mój turystyczny ekwipunek – uwielbiali okręcać się moskitierą, chodzić w moich gumowych klapkach i bawić się kieszonkową latarką (które to przedmioty zostały oczywiście w ich domu). Dużo czasu spędziłam na rozmowach z teściem Sampat, który z samego rana uwielbiał jeść jalebis i popijać je szklanką gorącego chai. No i oczywiście sama Sampat – jedna z najbardziej fascynujących osób, które dane mi było w życiu poznać. Czasem czułam się tak, jakby to ona przeprowadzała ze mną niekończący się wywiad. Chciała wiedzieć wszystko – począwszy od tego, czy w moim kraju są tęcze, a skończywszy na tym, czy wyszłam za mąż z miłości. Rozmowy z nią pozostaną na zawsze jednym z moich najcenniejszych wspomnień. Mając

nieustannie w pamięci ogromne zaufanie, jakim zostałam obdarzona, będąc dopuszczoną do prywatnego życia Sampat i jej rodziny, w pracy nad książką przywiązywałam wagę do tego, by odróżniać tekst pochodzący „z nagrań” (czyli to, co zostało powiedziane przy mrugającej na czerwono lampce dyktafonu), od tego, co usłyszałam prywatnie. Kiedy gościłam w domu Sampat, nie przyświecała mi potrzeba zebrania konkretnych anegdot z jej życia i jeszcze większej liczby cytatów. Chciałam po prostu lepiej, głębiej zrozumieć ją samą i zobaczyć pełen obraz jej życia. Miałam nadzieję, że wiedza ta doda wartości informacyjnej wywiadam z bohaterami, a ostatecznie – całej tej opowieści.

Sampat i Jai Prakash Shivare (Babuji) również zatrzymali się na tydzień w moim domu w New Delhi (w czerwcu 2012). Czas spędzony z Sampat w stolicy uświadomił mi jej rosnące wpływy polityczne. Świadczyły o nich liczne spotkania z wysoko postawionymi przedstawicielami poszczególnych partii, które odbyła w stolicy. Prócz ciężkiej pracy nasze wspólne dni wypełniały również przyjemności. Należały do nich oczywiście bezcenne rozmowy z Sampat, za które jestem jej wdzięczna.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że spędziwszy tyle czasu w towarzystwie Różowego Gangu, bardzo polubiłam Sampat i jej kobiety. Wsparłam też budżet Różowego Gangu z nadzieją, że mój wkład przyczyni się do wzmocnienia organizacji, która w moim pojęciu wykonuje świetną robotę, a wciąż potrzebuje pieniędzy. Mimo szczerzej sympatii, jaką darzę Gang, zdaję sobie oczywiście sprawę z jego niedoskonałości i wyzwań, z jakimi się boryka. Bez wahania opowiedziałam o nich w książce. Wciąż jestem w kontakcie z Sampat i Babujim, którzy na bieżąco informują mnie o swej pracy.

W czasie wyjazdów do Bundelkhandu dużo czasu spędziłam w Shahbajpurze na rozmowach z Sheelu, która pozwoliła mi używać w tej książce swego pełnego nazwiska, podobnie zresztą jak Achchhe i Santoo. Wszyscy troje cierpliwie odpowiadali na moje niekończące się pytania i dostarczali informacji niezbędnych do napisania tej książki. Zresztą z Sheelu wciąż utrzymuję stały kontakt telefoniczny. To niezwykle silna dziewczyna – mknie przez życie z prędkością wiatru.

W tym miejscu powinny paść pewne wyjaśnienia w sprawach językowych. Podczas pobytu w Indiach opanowałam hindi wystarczająco, by samodzielnie rozmawiać z ludźmi. Wszystkie wywiady na potrzeby tej książki zostały przeprowadzone w hindi, z wyjątkiem paru rozmów z Babujim, który bardzo

dobrze mówi po angielsku. Podczas większości wywiadów towarzyszyło mi kilkoro znakomitych tłumaczy, których nazwiska wymieniam dalej. Pod koniec pracy badawczej byłam już w stanie samodzielnie jeździć po Bundelkhandzie i przeprowadzać wywiady. Z myślą o jak największej dokładności zostały one, podobnie zresztą jak prawie wszystkie pozostałe, nagrane, a następnie przetłumaczone i zapisane przez Cuttingedge Translation Agency – firmę, która świadczy profesjonalne usługi językowe.

Jest wiele osób, bez których powstanie tej książki nie byłoby możliwe. Przede wszystkim chciałabym podziękować Sampat Pal, która dała mi tak wiele siebie samej, i Babujiemu – za to samo. Jestem wdzięczna każdemu człowiekowi z Bundelkhandu, z którym przeprowadzałam wywiad i który zechciał podzielić się ze mną swoim życiem i poświęcić mi swój cenny czas. Należą do nich: Sheelu Nishad, Achchhe Lal Nishad, Santoo Nishad, Lakhan Upadhyay, Bola Dwivedi, Dr Khanna, Jai Karan Bhai, Geeta Singh, Deepak Singh, Munni Lal Pal, Munna Pal, Beenu Pal, Nisha Pal, Champa Pal, Prabha Pal, Tirath Pal, Mahima Pal, Seema Pal (Guru-ji), Mitu Devi i Hemlata Patel. Szczególne podziękowania kieruję pod adresem Amita Tripathiego z gazety „Hindustan”, który poświęcił mi swój czas i udzielił wielu cennych wskazówek. Jestem też głęboko zobowiązana Arunowi Dixitowi z redakcji Sahara Samay TV w Bandzie za niezwykle hojne udostępnienie mi cennego materiału filmowego.

Ta książka narodziła się z artykułu, który napisałam w 2010 roku dla magazynu „Slate”. Uwagę, jaką przyciągnął, zawdzięczam entuzjastomowi Hanny Rosin, współautorki publikowanego przez „Slate” bloga Double X i jej talentom redaktorskim. Jestem wdzięczna Hannie za profesjonalizm w pracy nad tekstem i za to, że dała mi szansę. Gdyby nie ona, książka ta zapewne nigdy by nie powstała.

Chcę też podziękować wielu osobom za przyjaźń, radę i zachętę, jakich mi nigdy nie szczędzili. Są to: Ansie, Maryanna Abdo, Carlo Invernizzi Accetti, Consuelo Accetti, Prashant Agarwal, Helen Alexander, Brendan Allthorpe, Massimiliano Altabella, Sarah Andries, Lucy Archibald, Shyamantha Asokan, Vikas Bajaj, Sheetal Baliga, Paul Beckett, Aadya Bedi, Marina Benedetti, Jessica Bennett, Andre Béteille i rodzina Béteille, Surya Bhattacharaya, Rhys Blakely, Adam Blencowe, Cass Briggs, Emma Broughton, Tom Burgis, Tapas Chakravorty, Chandrahas Choudhury, Antonio Coello, James Crabtree, Elisabetta Cutillo, Giampaolo Cutillo, Matthew Daniels, Siddharth Das, Ruth

David, Rodrigo Davies, Will Davies, Xin Chen Davies, Deepali, Augusto Di Giacinto, znajomi Narimana Pointa, Annette Ekin, Elise Foster Vander Elst, Antonio Fasano, Iona Fergusson, Romano Fontanella i Dolores Fouche, Henry Foy, Arjun Gadkari, Lucy Gadkari, Pia Gadkari, Ratan Gaikwad, Padmaparna Ghosh, Anand Giridharadas, Jeff Glekin, Franka Godina, Michael Edison Hayden, Ellion Hannon, Abhishek Honawar, Andrea Ianetta, Anita Jain, Kaveri Jain, Mehboob Jeelani, Joemon Joseph, Sunitha Joseph, Amy Kazmin, Sid Khanna, Nayantara Kilachand, Erika Kinetz, Sruthijith KK, Shefali Kothari, Priyanka Kripalani i rodzina Kripalani, Julien Lafleur, Hannah Lambert, Claire Lamont, James Lamont, Joe Leahy, pracownicy Le Pain Quotidien w Gateway of India, Tanja Lightfoot, Lukhimai Linnebank, Prisca Llagostera, pan Lobo, Anand Mahadevan, Krista Mahr, Naresh Kumar Mahrolia, Rakesh Mani, Myles Mayall, Sean McLain, Diah Mehera, Nikhil Mehera, Annalisa Merelli, Susmita Mohanty, Tony Munroe, Neil Munshi, Kishan Negi, Jane Ong, Akshata Pai, Ritesh Pandey, Francesca Parini, Dipesh Pandya, Tom Parker, Akshay Kolse-Patil, Rohan Patki, Basharat Peer, Dan Pimlott, Snigdha Poonam, Dino Prevede, Manju Rajan, Prasad Ramamurthy, Eric Randolph, Anjali Raval, Stephane Reissfelder, Andrea Rodrigues, Rosy, Kevin Conroy Scott, David Shaftel, Naina Shah, Mihir Sharma, Varun Sood, Mehul Srivastava, Margherita Stancati, Flora Stubbs, Aishwarya Subramanyam, Priya Tanna, Hannah Thistlethwaite, Ben Thompson, Heather Timmons, Héloïse Toffaloni, Colin Walker, Aarti Wig i Marco Zolli.

Pracując w terenie, korzystałam z pomocy wielu wspaniałych tłumaczy.

Jestem głęboko zobowiązana Sureshowi Panjabiemu, którego znajomość Bundelkhandu i świetny kontakt z Sampat okazały się dla mnie bezcenne. Razem spędziliśmy niezliczone godziny w podróży po maleńkich, oddalonych od reszty świata osadach złożonych z glinianych chat. Notorycznie nie jadaliśmy lunchu i wracaliśmy do domu po zmroku. Biorąc pod uwagę fakt, że okolice te nękają przestępcy, nie należało to do przyjemności, a jednak Suresh nigdy nie narzekał. Zawsze udzielał mi wsparcia i wiedząc, że sukces końcowy będzie należał także i do niego, w pełni zaangażował się w mój projekt. Jego wkład w powstanie tej książki jest bezcenny. Jestem mu niezmiernie wdzięczna za pełną poświęcenia pracę.

Pomoc utalentowanej Unnati Tripathi, tłumaczki i researcherki, jest również nie do przecenienia. Unnati posiada niezwykłą umiejętność

oddawania najmniejszych nawet niuansów mowy swego rozmówcy. Okazała się też cennym źródłem prawdziwie inspirujących obserwacji. Poczyniła kilka wnikliwych spostrzeżeń, jeśli chodzi o rozdziały, które dostała do przeczytania. Podziwiałam jej wytrwałą, rygorystyczny stosunek do pracy, na którym zresztą bardzo skorzystałam. Jestem jej wdzięczna, że tak szybko po naszym pierwszym spotkaniu, które niestety miało miejsce pod sam koniec zbierania materiałów do książki, z pełnym zaangażowaniem rzuciła się w wir projektu. To osoba, która nie zna słowa „porażka”.

Sanghmitra Ghosh, niezwykle uzdolniona tłumaczka ustna i pisemna, przyszła mi na pomoc pod sam koniec przygotowywania materiałów do książki. Z szybkością błyskawicy obrabiała nagrania wywiadów, które przeprowadziłam na własną rękę w Bundelkhandzie. Chociaż niestety nie poznałyśmy się osobiście, czego do dziś żałuję, zawsze wiedziałam, że mogę na niej polegać – nawet kiedy nawał pracy przygniatał. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

Pod koniec mojej pracy badawczej Seema Gurnani, moja „tłumaczka – rezydentka” godzinami przesłuchiwała nagrania i przeglądała materiał filmowy dostarczone przez Sahara Samey TV, dokonując tłumaczeń prawie z dnia na dzień. Wkład Seemy, z którą dziś łączy mnie przyjaźń, był nieoceniony. Jestem jej wdzięczna, że pojawiła się w moim życiu dokładnie wtedy, kiedy trzeba.

Oczywiście cała wyteżona praca – moja i tylu innych osób – poszłaby całkowicie na marne, gdybym nie znalazła wydawcy, który uznał tę historię za wartą opowiedzenia. Alane Salierno Mason z wydawnictwa W.W. Norton od pierwszej chwili miała porywającą wizję tej książki, i dzięki niej moja praca wyszła daleko poza ramy, jakich oczekiwałam. Dziękuję Alane za cierpliwość, mądrość i czas, który dała mi na zbieranie materiałów, a później na pisanie. Jestem też wdzięczna Denise Scarfi, bardzo zdolnej asystentce redakcji w W.W. Norton. To ona wpuściła w mój rękopis iskrę życia. Dziękuję też Jessie Purcell, dyrektorce do spraw marketingu w W.W. Norton za to, że dopilnowała, by owoce naszej wspólnej pracy zostały zauważone.

Na specjalne podziękowania zasługuje dwóch agentów literackich. Po pierwsze, Leslie Kaufman, która wyłowiła mój artykuł w „Slate” i dostrzegła w nim potencjał. Leslie pracowała ze mną na początkowym etapie powstawania książki. Potem zrezygnowała z pracy agenta literackiego na rzecz swojego drugiego powołania – medycyny. Na zawsze pozostanę jej

wdzięczna, że zasiała we mnie to ziarenko. Życzę jej samych sukcesów w nowej pracy. Po odejściu Leslie miałam szczęście spotkać Sophie Lambert z Conville&Walsh. Sophie ma w sobie wszystko, czego tylko autor mógłby oczekiwać od agenta. Zawdzięczam jej więcej, niż mogłabym tu zmieścić. Dziękuję jej zwłaszcza za znakomite redakcje pierwszych szkiców książki, nieskończoną liczbę pomysłów i informacji zwrotnych. Dzięki jej przychylności nie utraciłam zdrowych zmysłów podczas zniechęcającego, mozolnego trudu pisania. Chciałabym też wyrazić wdzięczność dla Jamesa Puseya, znakomitego specjalisty w dziedzinie praw autorskich, a także Sophie Hignett i Kevina Conroya Scotta z Tibor Jones.

Oczywiście nie pisałabym dzisiaj tych słów, gdyby nie moi wyjątkowi rodzice – Khalid i Marian Khan. Prócz rodzicielskiej miłości obdarzyli mnie jeszcze innym darem – porządny wykształceniem, bez którego nie byłabym w stanie podjąć się tego projektu. Wraz z upływem czasu coraz bardziej doceniam ich mądrość i poświęcenie. Mam nadzieję, że są dumni, widząc, jak wykorzystuję możliwości, które dzięki nim zyskałam. Moi brat i siostra, Zahra i Karim, inspirowali mnie przez cały czas pisania tej książki. Obserwując, jak uzbrojeni w talenty i wiarę w siebie ścigają swe marzenia, miałam odwagę podążyć za własnymi.

Jak mam podziękować mojemu kochającemu mężowi, Jamesowi Fontanelli-Khanowi, za to, co już zrobił i co dalej dla mnie robi? Szukam właściwych słów, ale znajduję tylko jedno, które odbija się echem w czasie: Anëssuau.



# **Gang różowego sari**

**Spis treści**

Okładka

# Karta tytułowa

# Dedykacja

# Mapa

# *Prolog* JAK PO MAŠLE

*Rozdział pierwszy* RÓŻA NA PUSTYNI

*Rozdział drugi* BANDYCI NA LISTACH WYBORCZYCH



## *Rozdział trzeci* CZERWONY POKÓJ

## *Rozdział czwarty* MIŁOŚĆ W BUNDELHKANDZIE

## *Rozdział piąty* STAŁO SIĘ CAŁE ZŁO

*Rozdział szósty* EGZORCYSTA Z SHAHBAJPURU

## *Rozdział siódmy* DŹWIĘK ROGU

## *Rozdział ósmy* WALKA O SHEELU

## *EPILOG*

# KOMENTARZ AUTORKI I PODZIĘKOWANIA



# Karta redakcyjna

Tytuł oryginału  
THE PINK SARI REVOLUTION

Redakcja

*Dominika Cieśla*

Korekta

*Jadwiga Piller*

*Elżbieta Jaroszuk*

Copyright © Amana Fontanella-Khan, 2013

Copyright © for the translation by Katarzyna Roslan, 2013

Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2013

Wielka Litera Sp. z o.o.

ul. Kosiarzy 37/53

02-953 Warszawa

ISBN 978-83-64142-22-2



[wielkalitera.pl](http://wielkalitera.pl)

Odwiedź  
nas na 



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)

[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)